

Jules Verne

Wspaniałe Orinoko

Tłumaczenie Waclaw Leszek Kobiela

Tytuł oryginału: Le superbe Orénoque

SPIS TREŚCI

Część 1 3

I Señor Miguel i jego dwaj koledzy 4

graph-definition>

II Sierżant Martial i jego siostrzeniec 9

graph-definition>

III Na pokładzie Simona Bolívara” 14

graph-definition>

IV Pierwszy kontakt 17

graph-definition>

V „Maripare” i „Gallinetta” 21

graph-definition>

VI Z wyspy na wyspę 25

graph-definition>

VII Między Buena Vistą a Urbana 28

graph-definition>

VIII Tuman kurzu na horyzoncie 31

graph-definition>

IX Trzy pirogi żeglują wspólnie 37

graph-definition>

X U ujścia Mety 40

graph-definition>

XI Odpoczynek w wiosce Atures 46

graph-definition>

XII Kilka spostrzeżeń Germaina Paterne 50

graph-definition>

XIII Czciciele tapira 53

graph-definition>

XIV Chubasco 57

graph-definition>

XV San Fernando 62

[Część 2 68](#)

[I Kilka słów o przeszłości 69](#)

graph-definition>

II Pierwszy etap 74

graph-definition>

III Dwudniowy postój w Danaco 78

graph-definition>

IV Ostatnie rady señora Manuela Assomptiona 81

graph-definition>

V Drętwy elektryczne 85

graph-definition>

VI Straszliwe obawy 88

graph-definition>

VII Obozowisko pod Pic Maunoir 93

graph-definition>

VIII Mały Indianin 97

graph-definition>

IX Sierra 102

graph-definition>

X Bród Frascaés 106

graph-definition>

XI Misja Santa Juana 112

graph-definition>

XII W drogę 116

graph-definition>

XIII Dwa miesiące w misji 120

graph-definition>

XIV Pożegnanie 126

Część 1

I

Señor Miguel i jego dwaj koledzy

Panowie, naprawdę nic nie wskazuje na to, by ta dyskusja mogła się rozsądnie zakończyć — powiedział *señor** Miguel, starając się rozdzielić wzburzonych adwersarzy.

— Zapewne... ona się nigdy nie zakończy... — westchnął zmęczony już *señor* Felipe — a w każdym razie ja nie uznaję poglądów *señora* Varinasa.

— Ani ja nie wyrzeknę się mych poglądów na korzyść *señora* Felipe!

Od ponad trzech godzin, ci dwaj uparci uczeni, dyskutowali, nie chcąc w niczym sobie ustąpić, nad biegiem rzeki Orinoko*. Czy ta sławna rzeka Ameryki Południowej, główna arteria Wenezueli, w pierwszej części swego biegu faktycznie płynie ze wschodu, jak podają najnowsze mapy, czy przypadkiem nie z południowego zachodu? W takim razie, czy Guaviare lub Atabapo nie są mylnie uznawane za dopływy?

— To Atabapo jest właściwym Orinoko — oznajmił stanowczo *señor* Felipe.

— To Guaviare — stwierdził nie mniej stanowczo *señor* Varinas.

Natomiast *señor* Miguel zgadzał się ze współczesnymi geografami. Ich zdaniem źródła Orinoko znajdują się w tej części Wenezueli, która graniczy z Brazylią i z Gujaną Brytyjską i w ten sposób rzeka jest wenezuelska w całym biegu. Ale na próżno *señor* Miguel próbował przekonać swych dwóch przyjaciół, którzy nie zgadzali się poza tym w innym punkcie, nie mniej ważnym.

— Nie — powtarzał pierwszy — Orinoko ma swe źródła w Andach na terenie Kolumbii i Guaviare, którą bierze pan za dopływ, to w istocie po prostu Orinoko, kolumbijskie w górnym biegu, a wenezuelskie w dolnym.

— Błąd — zapewniał drugi — to Atabapo jest Orinoko, a nie Guaviare.

— Pomyłka, moi przyjaciele! — wtrącił *señor* Miguel. — Jedna z najpiękniejszych rzek Ameryki zrasza tylko nasz kraj, żaden inny!

— Tu nie chodzi o patriotyzm — ripostował *señor* Varinas — lecz o prawdę geograficzną. Guaviare...

— Nie... Atabapo! — krzyczał *señor* Felipe. I dwaj przeciwnicy, wstając gwałtownie, patrzyli na siebie roziskrzonymi oczyma.

— Panowie... panowie! — powtarzał *señor* Miguel, wspaniały i z natury bardzo pojednawczy człowiek.

Mapa, która była przyczyną tej kłótni, wisiała nieruchomo na ścianie. Widać było na niej Wenezuelę, o powierzchni 972 tys. km². Jakże zmieniły ją wydarzenia polityczne w stosunku do 1499 roku, gdy Hojeda, współtowarzysz Florentyńczyka Ameriga Vespucciego, lądując na wybrzeżu zatoki Maracaibo, odkrył zbudowaną na palach wśród lagun osadę i nadał jej nazwę Wenezuela, to znaczy Mała Wenecja! Po wojnie niepodległościowej, której bohaterem był Simon Bolivar, po stworzeniu kapitanii generalnej Caracas, po podziale ziem dokonanym w 1839 roku między Kolumbią i Wenezuelą — podziale, który z tej ostatniej uczynił niepodległą republikę — mapa była zgodna z Ustawą Zasadniczą. Barwne linie dzieliły stan Orinoko na trzy prowincje: Varinas, Gujana, Apure. Ukształtowanie jego systemu orograficznego* i hydrograficznego objawiało się wyraźnie licznymi kreskami sieci rzek i strumieni. Widać było, jak się powiększają w kierunku Morza Karaibskiego, morskiej granicy prowincji Maracaibo, z miastem o tej samej nazwie jako stolicą, aż do ujścia Orinoko, które oddziela ją od Gujany Brytyjskiej.

Señor Miguel oglądał mapę, która, co nie ulegało żadnej wątpliwości, właśnie jemu przyznawała rację, a nie jego kolegom — Felipe i Varinasowi. Wielka rzeka, bardzo starannie narysowana, kreśliła regularne półkole na obszarze Wenezueli. Od pierwszego zagięcia, gdzie wlewał swe wody dopływ Apure, aż do drugiego zakrętu, gdzie Guaviare i Atabapo dostarczały wody z Kordyliery Wschodniej*, była w całym swym biegu ochrzczona wyłącznie wspaniałym imieniem Orinoko.

Dlaczegóż więc panowie Varinas i Felipe upierali się, próbując szukać źródeł tej części rzeki w górach Kolumbii, a więc w masywie *Sierra Parima* sąsiadującym z górą Roraima, gigantycznym słupem milowym, wysokim na dwa tysiące trzysta metrów, o który wspierały się narożniki trzech państw południowoamerykańskich: Wenezueli, Brazylii i Gujany Brytyjskiej?

Dla sprawiedliwości trzeba wspomnieć, że ci dwaj geografowie nie byli jedynymi, którzy wygłaszali taką opinię. Nie wystarczały twierdzenia odważnych badaczy, którzy pieli się w górę Orinoko prawie do źródeł: Diaza de la Fuente w 1760, Babadilly w 1764, Roberta Schomburgka w 1840 roku. Ani badania przeprowadzane przez Franciszka Chaffanjona, tego nieustraszonego podróżnika, który wbił flagę francuską na stokach Parima, skąd sączyły się pierwsze krople Orinoko. Mimo tych stwierdzeń, które wydawały się być ostatecznymi, dla pewnych upartych umysłów, wyznawców św. Tomasza, tak samo wymagających dowodów jak ten patron nieufności, kwestia nie była ostatecznie wyjaśniona.

Jednakże byłoby wielką przesadą twierdzenie, że kwestia ta w 1893 roku pasjonowała nadmiernie ludność w tym rejonie. Oto niedawno, przed dwoma laty, Hiszpania została powołana jako arbiter i wykorzystując tę okazję ustaliła ostatecznie granicę między Kolumbią i Wenezuelą. Na dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, wśród których było trzysta dwadzieścia pięć tysięcy Indian, ucywilizowanych lub niezależnych w głębi lasów i sawanny, pięćdziesiąt tysięcy czarnych, wielu Metysów i pewna grupa białych: cudzoziemców lub farangos angielskich, włoskich, holenderskich, francuskich, niemieckich, tylko mniejszość podniecała się tą hydrograficzną tezą. Wśród tej mniejszości znalazło się przynajmniej dwóch Wenezuelczyków, wyżej wymieniony Varinas, żądający prawa dla Guaviare i wyżej wymieniony Felipe, popierający prawo dla Atabapo do nazywania się Orinoko, nie licząc kilku zwolenników, którzy w razie potrzeby udzieliliby im zbrojnej pomocy.

Nie należy sądzić, że *señor* Miguel i jego dwaj przyjaciele przypominali w czymkolwiek starych,

zaskorupiały w swej wiedzy uczonych, o łysych czaszkach i białych brodach. Najstarszy, *señor* Miguel, liczył sobie czterdzieści pięć lat, pozostali dwaj o kilka lat mniej. Byli mężczyznami bardzo energicznymi, otwartymi i nie wypierali się swego baskijskiego pochodzenia. Tegoż pochodzenia był także sławny Bolívar* i większość białych w republikach Ameryki Południowej, mających czasami w swych żyłach dodatek krwi korsykańskiej i indiańskiej, lecz nigdy — murzyńskiej.

Trzej geografowie spotykali się codziennie w bibliotece uniwersyteckiej w Ciudad Bolívar*. Tamże panowie Varinas i Felipe wchodzili w nie kończącą się dyskusję na temat Orinoko; byli w swych przekonaniach tak zapamiętali, że mogli ją rozpocząć w każdej chwili... Nawet po tak przecież przekonujących badaniach wspomnianego francuskiego podróżnika obrońcy Atabapo i Guaviare upierali się przy swoich zdaniach. I dysputa rozwijała się wartko wbrew *señorowi* Miguelowi, który nie był w stanie powściągnąć zaciętrzewienia swych dwóch kolegów.

Señor Miguel był mężczyzną, który mógł imponować wysokim wzrostem, szlachetną arystokratyczną postawą, ciemną brodą przetykaną srebrzącymi się włosami, powagą pozycji społecznej i cylindrem, okrywającym mu głowę podobnie jak fundatorowi niepodległości krajów południowoamerykańskich. Również tego dnia, jak zawsze, powtarzał głosem donośnym, spokojnym, przenikliwym:

— Nie unoście się moi przyjaciele! Czy płynie ze wschodu czy z zachodu, Orinoko jest wszakże rzeką wenezuelską, matką rzek naszej republiki...

— Nie chodzi o to, aby wiedzieć czyją jest matką — odrzekł poirytowany Varinas — lecz czym jest dzieckiem, czy rodzi się w masywie Parima, czy w Andach kolumbijskich...

— W Andach... w Andach! — odciął się *señor* Felipe wymachując rękoma.

Oczywiście żaden z nich nie ustąpił ani na jotę. Każdy uparcie chciał przypisać rzece inne pochodzenie.

— Popatrzcie, drodzy koledzy — podjął *señor* Miguel, chcąc doprowadzić ich do zgody — wystarczy rzucić okiem na tę mapę, aby rozpoznać całą rzecz: jeżeli Orinoko płynie ze wschodu — tworzy bardzo regularny łuk, półkole o wiele lepiej rysujące się niż ten źle dopasowany zygzak, który tworzyłyby Atabapo lub Guaviare...

— Ach! a czy to ważne, że rysunek jest zharmonizowany lub nie... — krzyknął *señor* Felipe.

— Jeśli w ogóle jest dokładny i zgodny z rzeczywistością! — dorzucił *señor* Varinas.

— No dobrze — powiedział *señor* Miguel — nie przedstawiamy tak sprawy. Więc utrzymujesz, Felipe (i to z jaką zaciętością!), że Atabapo, zamiast być jednym z dopływów naszej wielkiej rzeki, jest tą właśnie rzeką...

— Tak utrzymuję.

— A ty, Varinas, twierdzisz (i to z jakim uporem!), że jest przeciwnie, że to Guaviare jest Orinoko.

— Tak twierdzę.

— No dobrze — podjął *señor* Miguel, którego palec przesuwiał się po mapie wzdłuż biegu rzeki, będącej przedmiotem dyskusji. — Dlaczegoż to nie możecie się mylić obaj?...

— Tylko jeden z nas się myli — odrzekł *señor* Varinas. — I to nie jestem ja!

— Słuchajcie więc — powiedział *señor* Miguel — i nie odpowiadajcie przed wysłuchaniem wszystkiego. Oprócz Guaviare i Atabapo istnieją inne dopływy Orinoko: Caura w części północnej, Apure i Meta w części zachodniej, Cassiquiare i Içapao w części południowej. Odnaleźliście je tu, na tej mapie?... No to pytam was, dlaczego jeden z tych dopływów nie mógłby być Orinoko zamiast twojej Guaviare, mój drogi Varinas, i zamiast twojej Atabapo, drogi Felipe?

Taka koncepcja po raz pierwszy została sformułowana i nie trzeba się dziwić, że dwaj oponenti w pierwszej chwili zamilkli. Jak to, więc problem nie leży jedynie między Atabapo i Guaviare?... Więc są inne pretendenci?

— Coś podobnego! — krzyknął *señor* Varinas. — To niepoważne, to bezsensowne co pan mówi, *señor* Miguel...

— Przeciwnie, bardzo sensowne, naturalne, logicznie prowadzące do przyjęcia opinii, że i inne dopływy mogą się ubiegać o honor bycia prawdziwym Orinoko...

— Pan żartuje! — odciął się *señor* Felipe.

— Nigdy nie żartuję, jeśli chodzi o problemy geograficzne — odparł z godnością *señor* Miguel. — Na prawym brzegu w górnym biegu jest Padamo...

— Pańska Padamo jest zaledwie strumykiem wobec mojej Guaviare! — ze złością odrzekł *señor* Varinas.

— Strumyk, który geografowie uznają za tak samo ważny jak Orinoko — odpowiedział *señor* Miguel. — Na lewym brzegu jest Cassiquiare...

— Pańska Cassiquiare jest tylko potokiem w porównaniu z moją Atabapo! — krzyknął *señor* Felipe.

— Potok, który łączy baseny wenezuelski i amazoński! Na tym samym brzegu jest także Meta...

— Pańska Meta jest niczym innym jak kranem w fontannie...

— Kranem, z którego wypływa woda, widziana przez specjalistów jako przyszła droga między Europą i terytoriami kolumbijskimi.

Señor Miguel, uzasadniwszy dokładnie wszystkie swoje pomysły, kontynuował:

— Po tej samej stronie mamy także Apure, rzekę llanosów*, po której statki mogą płynąć pięćset kilometrów w górę.

Ani *señor* Felipe, ani Varinas nie zakwestionowali tych twierdzeń. A to dlatego, że byli na w pół ogłuszeni pewnością siebie *señor* a Miguela.

— Dalej — dodał tenże — po prawej stronie jest Cuchivero, Caura, Caroni*...

— Kiedy skończy pan wyliczać ten spis... — przerwał *señor* Felipe.

— ...wtedy podyskutujemy — dodał *señor* Varinas, skrzyżowawszy ramiona.

— Już skończyłem — odrzekł *señor* Miguel — a jeśli chcecie poznać mą własną opinię...

— A czy warto?... — odciął się z wielką ironią *señor* Varinas.

— Jest to mało prawdopodobne! — stwierdził *señor* Felipe.

— Jednakże oto ona, moi drodzy koledzy. Żaden z tych dopływów nie może być uznany za główną rzekę, do której należy prawowicie nazwa Orinoko. A więc, moim zdaniem, miano to nie może być nadane ani Atabapo, zalecanej przez mego przyjaciela Felipe...

— To błąd! — stwierdził tenże.

— Ani Guaviare, polecanej przez mego przyjaciela Varinasa...

— Herezja — wtrącił się drugi.

— I kończąc — dodał *señor* Miguel — nazwa Orinoko musi być zastrzeżona dla górnego biegu rzeki, której źródła znajdują się w masywie Parima. Płyne ona całkowicie przez terytorium naszej republiki i nie zrasza żadnej innej. Guaviare i Atabapo muszą się niestety zadowolić rolą zwykłych dopływów, co jest w sumie sytuacją geograficzną zupełnie do zaakceptowania...

— Ale której ja nie akceptuję! — zareplikował *señor* Felipe.

— A którą ja odrzucam! — dodał *señor* Varinas.

Kłótnia trwała jeszcze godzinę i być może nigdy nie miałaby końca, gdyby *señor* Felipe z jednej strony, a *señor* Varinas z drugiej, nie krzyknęli zgodnie:

— No więc... jedźmy!

— Jechać?... — zdziwił się *señor* Miguel, który nie spodziewał się wcale takiej propozycji.

— Tak — dodał *señor* Felipe — pojedziemy do San Fernando i tam udowodnię wam ostatecznie, że to Atabapo jest Orinoko...

— A ja — ripostował *señor* Varinas — pokażę wam naocznie, że Orinoko to Guaviare...

— Natomiast ja — powiedział *señor* Miguel — postaram się przekonać was, że Orinoko to właśnie Orinoko.

Oto w jakich okolicznościach trzech geografowie zdecydowali się przedsięwziąć podróż. Być może ta nowa ekspedycja ustali w końcu bieg wenezuelskiej rzeki, przyjmując, że nie zrobili tego definitywnie dawniejsi podróżnicy.

Nie chodziło tylko o to, by popłynąć w górę aż do osady San Fernando, do tego zakola, gdzie Guaviare i Atabapo wlewają swe wody. Jeśli zostanie ustalone, że ani jedna, ani druga nie były, nie mogły być niczym innym, jak tylko zwykłymi dopływami, konieczne będzie przyznanie racji *señorowi* Miguelowi. Nie dziwny się zatem, że postanowienie, zrodzone w czasie burzliwej dyskusji, zostało natychmiast urzeczywistnione.

Wywołało ono w świecie nauki, wśród wyższych klas Ciudad Bolivar, prawdziwy szum i pasjonowało wkrótce całą republikę wenezuelską.

Czy podróż w górę rzeki była niebezpieczna? W pewnej mierze tak, zwłaszcza dla podróżników, którzy musieliby ograniczyć się jedynie do własnych środków. Lecz czy tak ważna kwestia nie zasługuje na to, żeby rząd poniósł pewne ofiary dla jej rozwiązania?

Jednak panowie Miguel, Felipe i Varinas nie prosili ani o pieniądze, ani o ludzi. Zdecydowali, że odbędą podróż na własny koszt, bez żadnej eskorty oprócz peonów*, llanerosów*, żeglarzy, przewodników, którzy zamieszkują wzdłuż brzegów rzeki. Zresztą nie muszą płynąć dalej niż do osady San Fernando, zbudowanej u zbiegu Atabapo i Guaviare. Jedynie na terenach, przez które prowadzi górny bieg rzeki, można obawiać się ataku Indian, którym przypisuje się, nie bez racji, masakry i rozboje.

Niewątpliwie, poniżej San Fernando w kierunku ujścia Mety, na terytoriach nadbrzeżnych, nie byłoby także przyjemne spotkanie z niektórymi Guahivosami, ciągle opornymi na prawa społeczne lub z okrutnymi Quivasami, których zła reputacja była całkiem uzasadniona ich wyczynami w Kolumbii, gdzie bytowali, zanim przenieśli się nad brzegi Orinoko.

W Ciudad Bolivar niepokojono się także trochę o los dwóch Francuzów, którzy udali się na wyprawę jakiś miesiąc temu. Nie wiadano, co się z nimi stało, gdy po dopłynięciu w górę rzeki aż za ujście Mety podróżnicy ci zapuścili się na tereny Quivasów i Guahivosów.

W górnych rejonach rzeki od kilku lat przebywał również pewien misjonarz. Czy jednak jego odwaga i silna wiara zostały nagrodzone?... Czy udało mu się ucywilizować te dzikie szczepy, przekonać je do praktyk katolickich?... Czy można wierzyć, że odważnemu apostołowi z Misji w Santa Juana udało się skupić wokół siebie Indian, odpornych — jak dotąd — na wszelkie wpływy cywilizacji?

II

Sierżant Martial i jego siostrzeniec

Wyjazd trzech geografów został ustalony na dwunasty sierpnia, w pełni pory deszczowej.

Tymczasem w przeddzień tej daty inni dwaj podróżni, około godziny ósmej wieczorem, rozprawiali w jednym z pokoi hotelowych w Ciudad Bolivar. Lekki, chłodzący podmuch przedostawał się przez okno otwarte na promenadę Alameda. Młodszy z podróżnych podniósł się i zwrócił się po francusku do drugiego:

— Posłuchaj mnie dobrze, mój drogi Martial, zanim pójdziesz do łóżka, przypominam ci po raz ostatni to, co zostało ustalone przed wyjazdem.

— Jak pan chce, Jean...

— No właśnie — krzyknął Jean — już od pierwszych słów zapomniałeś swej roli!

— Mojej roli?...

— Tak... nie mówisz mi przez ty...

— To prawda!... Przekłęte tykanie!... Co pan chce... nie!... co chcesz... brak przyzwyczajenia...

— Brak przyzwyczajenia mój biedny sierzancie!... Tak sądzisz? Oto już minął miesiąc, jak opuściliśmy Francję i mówiłeś mi na ty przez całą drogę od Saint-Nazaire* do Caracas*.

— To także prawda! — przyznał sierżant Martial.

— A teraz, gdy przybyliśmy do miejsca, skąd zaczyna się ta wyprawa, która ma nam przynieść tyle radości... być może tyle rozczarowania... tyle bólu...

Jean wymawiał te słowa z głębokim przejęciem. Jego pierś unosiła się, oczy wilgotniały. Jednakże opanował wzruszenie, widząc uczucie niepokoju rysujące się na surowej twarzy sierżanta Martiala. I podjął z uśmiechem, spokojniejszym tonem:

— Tak... teraz gdy jesteśmy w Ciudad Bolivar, zdarzyło ci się zapomnieć, że jesteś moim wujem, a ja twoim siostrzeńcem...

— Co za głupiec ze mnie! — odrzekł sierżant Martial, pukając się w czoło.

— A poza tym, czy od naszego zaokrętowania nie dawałem ci przykładu, mówiąc do ciebie ty?... I czy nie dość pilnie uczyłem cię hiszpańskiego?

— Znam chyba z pięćdziesiąt słów... choć więcej nic, mimo że tak bardzo się starałem!

— Och, co za ciężka głowa! — podjął Jean. — Czyż każdego dnia nie powtarzałem ci lekcji hiszpańskiego, w czasie przeprawy na „Pereire”...

— Cóż chcesz, Jean... To straszne dla takiego starego żołnierza jak ja, który mówił całe życie po francusku, uczyć się tej andaluzyjskiej „szarabii”!... Naprawdę, to za trudne dla mnie hiszpanizować się...

— To przyjdzie z czasem, mój poczciwy Martialu.

— To mi się już częściowo udało, umiem przecież posługiwać się pięćdziesięcioma słowami. Wiem, jak prosić o jedzenie: *Deme usted algo de comer*, o picie: *Deme usted de beber*, o nocleg: *Deme usted una cama*, którędy iść: *Enseneme usted el camino*, ile to kosztuje: *Cuánto vale es to*. Umiem powiedzieć dziękuję: *Gracias* i dzień dobry: *Buenos dias*, i dobry wieczór: *Buenos noches*, i jak się pan czuje: *Como está usted?* I potrafię kłąć jak prawdziwy Kastylijczyk... *Carambi de carambo de caramba...*

— Dobrze... dobrze! — przerwał Jean, czerwieniąc się nieco. — To nie ja nauczyłem cię tych przekleństw i będzie lepiej, żebyś nie używał ich przy każdej okazji.

— Co chcesz, Jean... Przyzwyczajenie dawnego podoficera... Całe me życie nieźle rzucałem kłótwami i piorunami... i kiedy rozmowy nie okrasza jakieś „psiakrew”, wydaje mi się pozbawiona wdzięku! A przecież w tym hiszpańskim bełkocie nie brakuje pięknych przekleństw... jest ich prawie tyle, ile słów...

— I naturalnie to właśnie je przyswoiłeś sobie najłatwiej.

— Muszę się z tym zgodzić, Jean, ale pułkownik de Kermor, gdy służyłem pod jego rozkazami, wcale mi nie wypominał mych piorunów z Brestu*.

Gdy padło nazwisko pułkownika wyrazista twarz młodego chłopca zmieniła się, a na policzku sierżanta Martiala zabłysła łza.

— Widzisz, Jean — podjął tenże — gdyby Bóg powiedział mi: „Sierzancie, za godzinę uściśniesz dłoń swego pułkownika, lecz dwie minuty potem porażę cię piorunem”, odpowiedziałbym: „Dobrze Panie... przygotuj swój piorun i celuj w serce!”.

Jean zbliżył się do starego żołnierza i otarł mu łzy. Spoglądał z czułością na tę dobrą istotę, surową i szczerą naturę, zdolną do każdego poświęcenia. Stary wojak przyciągnął go do piersi i uściskał.

— Nie trzeba mnie tak kochać, sierzancie! — powiedział Jean.

— A czy jest to możliwe?

— Możliwe... i konieczne... przynajmniej wobec świata, kiedy nas obserwują...

— Lecz kiedy nas nie obserwują...

— Możesz traktować mnie wtedy z większą czułością, ale musisz zachować ostrożność...

— To będzie trudne!

— Nic nie jest trudne, jeśli jest konieczne. Nie zapominaj, kim jestem: siostrzeńcem, który powinien być surowo traktowany przez swego wuja...

— Surowo!... — sierżant Martial wznosił do nieba swe potężne dłonie.

— Tak... siostrzeniec, którego musiałeś zabrać ze sobą w tę podróż... Wziąłeś go z sobą ze strachu, żeby nie narobił głupstw...

— Głupstw!

— Siostrzeniec, z którego chcesz zrobić żołnierza takiego jak ty...

— Żołnierza!...

— Tak... żołnierza ... któremu potrzeba twardej szkoły, i któremu nie powinieneś szczędzić kar, kiedy na nie zasłuży.

— A jeśli nie zasłuży?...

— Zasłuży na to — powiedział Jean uśmiechając się — gdyż jest złym rekrutem!

— I gdy skarcisz go publicznie...

— Poproszę go prywatnie o przebaczenie! — wykrzyknął sierżant Martial.

— Pod warunkiem, że nikt tego nie będzie widział!

Sierżant Martial ucałował swego „siostrzeńca”, upewniwszy się przedtem, że nikt niepożądany nie może ich zobaczyć.

— A teraz, mój przyjacielu — powiedział Jean — pora spać. Przejdź do swego pokoju obok, a ja zamknę się w moim.

— Czy chcesz, żebym czuwał pod twymi drzwiami? — zapytał sierżant Martial.

— To niepotrzebne... Nie ma żadnego niebezpieczeństwa...

— Niewątpliwie, ale...

— Jeśli będziesz mnie rozpieszczał w ten sposób od samego początku, źle odegrasz rolę strasznego wuja...

— A czy ja mogę być okrutny wobec ciebie?

— Tak trzeba... aby oddalić wszelakie podejrzenia.

— A tak naprawdę... Jean, dlaczego chciałeś tu przyjechać?...

— Ponieważ musiałem.

— Dlaczego nie zostałeś w naszym domu... tam... w Chantenay... lub w Nantes*?...

— Ponieważ ta podróż była moim obowiązkiem.

— A czy ja nie mogłem podjąć się tej podróży sam?

— Nie.

— Stawiać czoła niebezpieczeństwom to mój zawód!... Nic innego nie robiłem przez całe życie!
... A poza tym one nie są dla mnie tym, czym będą dla ciebie...

— Dlatego uważam się za twego siostrzeńca, mój wuju.

— Ach, gdybym mógł poradzić się mego pułkownika! — wykrzyknął sierżant Martial.

— W jaki sposób... — zapytał Jean, któremu sposepniała twarz.

— Tak... to niemożliwe!... Lecz cóż on powie, gdy uda nam się zdobyć wiarygodne informacje w San Fernando i jeśli uda nam się go odnaleźć?

— Podziękuj swemu dawnemu sierżantowi. Uściska cię i powie, że wypełniłeś swój obowiązek, tak jak ja wypełniłem swój!

— W końcu... robiłeś ze mną i robisz co chcesz!

— A teraz, mój wuju, idź spać i śpij dobrze. Jutro jak najwcześniej musimy załadować się na statek na Orinoko. Nie możemy się spóźnić.

Sierżant Martial skierował się ku drzwiom, zamknął je starannie, upewnił się, że Jean przekręcił klucz i zasunął rygiel. Kilka chwil nasłuchiwał. Słyszał, jak Jean przed pójściem do łóżka modlił się, poszczególne słowa modlitwy docierały do niego. Gdy upewnił się, że chłopiec zasnął, poszedł do swego pokoju i również pograżył się w modlitwie, która polegała na uderzaniu się pięścią w głowę i słowach: — Tak!... Chroń nas Panie, gdyż jest to mimo wszystko piekielnie karkołomne!

Kim są ci dwaj Francuzi?... Skąd przybyli?... Co ich przywiodło do Wenezueli?... Dlaczego postanowili grać rolę wuja i siostrzeńca?... W jakim celu wypłyną na pokładzie jednego ze statków na Orinoko i jak daleko w górę tej wielkiej rzeki chcą się dostać?... Jest jeszcze za wcześnie, by odpowiedzieć wyczerpująco na te pytania. W każdym razie oto co dało się wywnioskować z przytoczonej rozmowy.

Byli to Bretończycy z Nantes. Jeśli nie ma wątpliwości co do ich pochodzenia, to są takowe, jeśli

chodzi o związki, jakie ich łączą. W każdym razie ten młody chłopiec ma nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Jest średniego wzrostu i wydaje się być obdarzony, jak na swój wiek, mocną budową. Jego twarz jest nieco surowa, nawet smutna, szczególnie gdy oddaje się uporczywym

rozmyśleniom. Lecz fizjonomia jest wdzięczna: łagodne spojrzenie, uśmiech na ustach, białe drobne zęby, ciepła karnacja policzków, opalonych zresztą dość intensywnie rześkimi wiatrami w czasie ostatnich podróży.

Drugi z Francuzów ma około sześćdziesiątki i przedstawia doskonały typ sierżanta, starego wiarusa, który dopóty pozostaje na służbie, dopóki pozwala mu na to jego wiek. Zanim przeszedł na swą podoficerską emeryturę, służył pod komendą pułkownika de Kermora, któremu nawet uratował życie na polu walki podczas wojny za drugiego cesarstwa, zakończonej klęską w latach 1870–1871. Jest to jeden z tych starych pocziwców, oddanych i mrukliwych, którzy pozostają w domu swego dawnego dowódcy i którzy stają się totumfackimi rodziny. To ci, którzy pilnują nauki dzieci, jeżeli sami ich nie wychowują, którzy rozpieszczają je — cokolwiek by o tym nie powiedzieć, dają pierwsze lekcje jazdy konnej podsadzając je na siodła i pierwsze lekcje muzyki, ucząc je fanfar pułkowych.

Sierżant Martial, mimo swych sześćdziesięciu lat, trzymał się jeszcze prosto i rześko. Był to mężczyzna twardy, zahartowany przez żołnierskie rzemiosło, człowiek, któremu niestraszny ani mróz, ani upał, który ani nie roztopił się w Senegal, ani nie zamarł w Rosji. Jego potężna budowa i odwaga wytrzymały wszelkie próby. Nie bał się niczego i nikogo, chyba jedynie siebie samego, gdyż nigdy nie wierzył we własne możliwości. Wysoki, szczupły, z kończynami, które nic nie straciły ze swej siły, mimo wieku zachował całą wojskową nieugiętość. Prawdziwy wiarus, stary wąsacz! A poza tym, co za pocziwa natura, jakie złote serce; a czegoż by nie zrobił dla ludzi, których kocha! Wydaje się, że tych zredukował do dwóch, na tym podłym świecie — to pułkownik de Kermor i Jean, którego wujem zgodził się być zostać.

Z jakąż przesadną troską czuwał nad chłopcem! Jaką otaczał go opieką, mimo że powinien okazywać surowość! Skąd więc ta ostrość poleceń, skąd ta rola, przed którą tak się wzdragał — nie należy go o to pytać. Na jakie wściekłe spojrzenia byłoby się narażonym! Jaką ordynarną odpowiedź można by otrzymać! I z jakim wdziękiem byłoby się wysłanym do wszystkich diabłów.

Taki właśnie los spotykał zbyt ciekawych pasażerów podczas morskiej podróży przez Atlantyk, między starym a nowym kontynentem. Ci z pasażerów statku „Pereire”, którzy chcieli nawiązać kontakt z Jeanem, którzy próbowali z nim rozmawiać, oddawać mu jakieś drobne przysługi, jak to jest w zwyczaju na pokładzie, ci, którzy wydawali się zbyt zainteresowani chłopcem, tak surowo traktowanym przez tego szorstkiego i mało towarzyskiego wuja, byli natychmiast osadzani na miejscu i to w taki sposób, że nie mieli już więcej na to ochoty.

Siostrzeniec odziany był w prosty strój podróżny: luźno skrojoną, przewiewną marynarkę i spodnie, tropikalny kask z tkaniny na krótko ostrzyżonych włosach, buty na mocnych podeszwach, a wuj przeciwnie — opięty był ubiorem wojskowym. Nie był to właściwie mundur, lecz coś, co bardzo go przypominało. Brakowało tylko galonów i epoletów. Pewnie byłoby niemożliwe przekonanie sierżanta Martiala, że w klimacie wenezuelskim stosowniejsze jest ubranie mniej dopasowane. Jeśli nie nosił policyjnego hełmu, to tylko dlatego, że Jean zmusił go, aby przykrył

głowę kaskiem, podobnym do swojego, który lepiej niż inne nakrycia chroni głowę przed żarem słońca.

Rozumie się samo przez się, że walizy wuja i jego siostrzeńca zawierały jedynie ubrania na zmianę, bieliznę, przybory toaletowe, obuwie i wszystko to, czego wymaga podobna podróż, zakładając, że nic nie będzie można uzupełnić w drodze. Były więc koce do spania, lecz także broń i amunicja w stosownej ilości: para rewolwerów dla chłopca, druga para dla sierżanta Martiala, nie licząc karabinu, z którego zręczny strzelec mógłby zrobić niezły użytek.

Przed trzema tygodniami, po opuszczeniu domu w Chantenay (niedaleko Nantes), zaokrętowali się w Saint-Nazaire na statek „Pereire”, płynący na Antyle. Stamtąd inny statek przewiózł ich do Guayary, niedaleko Caracas. Następnie w ciągu kilku godzin, pociągiem przyjechali do stolicy Wenezueli.

Ich pobyt w Caracas trwał jedynie tydzień. Nie wykorzystali go wcale na zwiedzanie miasta, jeśli nie ciekawego, to przynajmniej malowniczego, skoro między jego częścią dolną a górną różnica wysokości wynosi ponad tysiąc metrów. Zdobyli się jedynie na wycieczkę na wzgórze Calvaire, skąd roztacza się widok na zespół stołecznych zabudowań, domów o specyficznej, lekkiej konstrukcji, aby mogły obronić się przed niebezpieczeństwem trzęsienia ziemi — choćby takiego, jak w 1812 roku, kiedy zginęło dwanaście tysięcy ludzi.

Zdążyli również obejrzeć w Caracas bardzo ładne parki, porośnięte grupami wiecznie zielonych drzew, kilka pięknych gmachów publicznych, pałac prezydencki, katedrę o wspaniałej architekturze, tarasy, które wydawały się wyrastać wprost z Morza Karaibskiego oraz poznać nieco życie wielkiego miasta, które liczyło ponad sto tysięcy mieszkańców.

Jednakże ciekawe obiekty i malownicze widoki nie oderwały sierżanta Martiala i jego siostrzeńca ani na chwilę od tego, po co właściwie przybyli do miasta. Całe osiem dni zbierali informacje dotyczące podróży, którą mieli przedsięwziąć i która miała zaprowadzić ich do odległych i prawie nie znanych regionów republiki wenezuelskiej. Zdobyte informacje były niepewne, lecz mieli nadzieję uzupełnić je w San Fernando. Stąd Jean był zdecydowany kontynuować swe poszukiwania tak daleko, jak będzie trzeba, także na najbardziej niebezpiecznych terenach górnego Orinoko.

I nawet gdyby sierżant Martial chciał wykorzystać swą władzę, gdyby miał zamiar przeszkodzić Jeanowi w wystawianiu się na niebezpieczeństwa takiej kampanii — nie zrobiłby tego. Stary żołnierz wiedział zbyt dobrze, że taki naprawdę nadzwyczajny upór u chłopca w tym wieku, taka wola, są nie do pokonania. I ustąpił, ponieważ trzeba było ustąpić...

Oto dlaczego ci dwaj Francuzi, po przybyciu w przeddzień 12 sierpnia do Ciudad Bolivar, mieli zeń odpłynąć nazajutrz na pokładzie parostatku, który pełnił służbę na dolnym Orinoko.

III

Na pokładzie Simona Bolivara”

Orinoko wypływa, z ziemskiego raj” — zdanie to znajduje się w opisach Krzysztofa Kolumba. W każdym razie Orinoko zakreśla ogromne półkole na terytorium między 3 a 8 stopniem równoleżnika na północ od równika, a jego łuk rozciąga się poza 70 stopień szerokości na zachód od południka przechodzącego przez Paryż. Wenezuelczycy są dumni ze swej rzeki, a panowie Miguel, Felipe i Varinas nie odstąpiliby jej nikomu.

Od szóstej rano, 12 sierpnia „Simon Bolivar” — nikogo chyba nie zdziwi ta nazwa — był gotów do odcumowania. Komunikacja parostatkami między Ciudad Bolivar i osadami wzdłuż Orinoko była możliwa dopiero od kilku lat i — jak dotąd — nie przekraczała ujścia Apure. W górę, poza ten dopływ, pasażerowie wraz z towarami mogli się udawać do San Fernando*, a nawet dalej, do portu Nutrias, dzięki Kampanii Wenezuelskiej, która prowadziła obsługę dwumiesięczną.

To właśnie u ujścia Apure, lub raczej kilka mil poniżej, w osadzie Caicara, nasi dwaj podróżni, chcąc kontynuować swą podróż po Orinoko, będą musieli opuścić „Simona Bolivara” i przesiąść się na prymitywne łodzie indiańskie.

Ten parowiec został zbudowany do żeglugi po takich rzekach, których poziom wody waha się w znaczących granicach — od sezonu suchego do pory deszczowej. Przypominał gabarytami statki z Magdaleny* w Kolumbii, a wymagał najmniej, jak to tylko możliwe, wody, gdyż miał płaskie dno. Jako jedyny napęd miał ogromne koło bez obudowy, umieszczone z tyłu i poruszane dość mocną maszyną parową o dwustronnym działaniu. Ogólnie „Simon Bolivar” przypominał tratwę z górującą nad nią nadbudówką, wzdłuż której wznosiły się ponad pomostem dwa kominy. Nadbudówka, zakończona spardekiem*, mieściła salony i kabiny dla pasażerów, a dolny pomost służył do składowania towarów. Całość przypominała amerykańskie parowce. Wszystko, aż do stanowiska pilota i kapitana, wypacykowane było krzyczącymi farbami, a na samej górze powiewała flaga republikańska. Natomiast kotły parotwórcze pożerały przybrzeżny las. Można było dostrzec spustoszenia uczynione toporami drwali, ciągnące się już w nieskończoność po obu stronach Orinoko.

Ciudad Bolivar leży o czterysta dwadzieścia kilometrów od ujścia Orinoko. Niewielki przyływ nie jest w stanie odwrócić normalnego prądu. Z tego przyływu nie może więc skorzystać flotylla płynąca w górę rzeki. W każdym razie przyływy powodują przybory wód, które w stolicy mogą przekraczać dwanaście do piętnastu metrów. Orinoko podnosi się systematycznie aż do połowy sierpnia i zachowuje ten poziom wód do końca września. Potem następuje spadek aż do listopada, z pewnym przyrostem po tym okresie, który trwa aż do kwietnia. A więc podróż podjęta przez *señora* Miguela i jego kolegów zakończy się w czasie sprzyjającym badaniom miłośników Atabapo, Guaviare i Orinoko.

Wielkie było zgromadzenie ich zwolenników przy pożegnaniu na nadbrzeżu Ciudad Bolivar. Było

tak przy odjeździe, a co będzie przy powrocie? Żywe i głośne słowa zachęty adresowali do nich zarówno obrońcy sławnej rzeki, jak i domniemanych jej dopływów.

Sierżant Martial i jego siostrzeniec, stojący na spardecku, obserwowali te hałaśliwe sceny, nic nie rozumiejąc.

— Co tu robią ci wszyscy ludzie?... — głośno zastanawiał się stary żołnierz. — Czy to nie jakaś rewolucja... Jean i sierżant Martial nie będą musieli długo czekać, aby zorientować się o co chodzi, gdyż, w co nie wątpimy, w czasie nawigacji *señor* Miguel i jego dwaj koledzy rychło podejmą dyskusję.

Oto kapitan wydał ostatnie rozkazy — najpierw mechanikowi, by uruchomił maszynę parową, następnie marynarzom na dziobie i rufie, by zluźowali cumy. Ci, którzy nie udawali się w podróż, rozsiani po pokładzie nadbudówki, musieli zejść na nabrzeże. W końcu na pokładzie pozostali jedynie pasażerowie i załoga.

„Simon Bolivar” popłynął. Pożegnalny tumult i wrzaski nasiliły się, a wśród nich dało się odróżnić wiwaty na cześć Orinoko i jego dopływów. Parostatek oddalał się, jego potężne koło młóciło gwałtownie wodę, a ster przyjął kierunek ku środkowi rzeki. Kwadrans później miasto zniknęło za zakolem lewego brzegu i wkrótce stracono z oczu ostatnie domy Soledad na brzegu przeciwnym.

Wenezuela należy do strefy równikowej. Średnia temperatura waha się tu między dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma stopniami Celsjusza. Jest różna tak, jak to zdarza się w krajach górzystych. To między Andami nadmorskimi i tymi na zachodzie upał osiąga największą intensywność, to znaczy na terytoriach, gdzie łoża Orinoko zakreśla łuk i dokąd nigdy nie docierają morskie poddmuchy. Również inne wiatry, pasaty z północy i wschodu, zatrzymywane przez pasma gór, nie są w stanie złagodzić uciążliwości klimatu.

Tego dnia pasażerowie nie cierpieli zbytnio z powodu upału, gdyż niebo było zachmurzone i zanosilo się na deszcz. Bryza wiejąca od zachodu, od strony dziobu parostatku, gwarantowała pasażerom dobre samopoczucie.

Sierżant Martial i Jean, stojąc na spardecku, obserwowali brzegi rzeki. Współtowarzysze podróży wydawali się być dość obojętni na te widoki. Jedynie *trio* geografów studiowało dokładnie szczegóły mijanego krajobrazu i to nie bez ożywionej dyskusji.

Jean posiadał niezawodny przewodnik w postaci relacji z dwóch podróży odbytych przez Chaffanjon na polecenie ministra oświaty Francji. Pierwsza, z 1884 roku, zawierała opis dolnego biegu Orinoko między Ciudad Bolivar i ujściem Caury, a także badań tego ważnego dorzecza. Druga, z lat 1886–1887, dotyczyła całej rzeki od Ciudad Bolivar aż do jej źródeł. Opisy francuskiego podróżnika były nadzwyczaj dokładne i Jean był przekonany, że przyniosą mu one wiele korzyści.

Rankiem „Simon Bolivar” przepłynął obok wyspy Orocopiche, której uprawy rolne zaopatrują w znacznym stopniu stolicę prowincji. W tej okolicy łożysko Orinoko zawęża się do dziewięciuset metrów, by dalej w górnym biegu co najmniej potroić swą szerokość. Jean lustrował starannie

okoliczne równiny, pofałdowane kilkoma pojedynczymi pagórkami.

W południe pasażerów — w sumie około dwudziestu — przywołano na obiad do sali, gdzie *señor* Miguel i jego dwaj koledzy jako pierwsi zajęli miejsca. Również sierżant Martial nie kazał na siebie czekać i ciągnął za sobą siostrzeńca, z którym rozmawiał z pewną szorstkością, co nie uszło uwagi *señora* Miguela.

— Ten Francuz to prostak — powiedział do *señora* Varinasa, siedzącego obok niego.

— To żołnierz, co wszystko wyjaśnia — dodał zwolennik Guaviare.

Po południu „Simon Bolivar” minął wyspę Bernavelle. Nurt Orinoko, zatłoczony wyspami i wysepkami, zacieśniał się i koło musiało uderzać wodę z podwójną siłą, by pokonać siłę prądu. Ale kapitan był zręcznym dowódcą, więc nie obawiano się utknięcia na mieliźnie.

Nie tylko wyspy utrudniają żeglugę po Orinoko. Niebezpieczne są zwłaszcza podwodne skały, nagle wyłaniające się pośrodku toru wodnego. Jednakże „Simonowi Bolivarowi” udało się uniknąć kolizji i pod wieczór, po przebyciu dwudziestu pięciu do trzydziestu mil, statek zarzucił cumy w wiosce Moitaco. Postój trwał aż do następnego dnia, gdyż żegluga w środku bezksiężycowej nocy jest ryzykowna.

O dziewiątej sierżant Martial osądził, że nadeszła pora, aby udać się na spoczynek. Jean nie sprzeciwiał się wujowi. Obaj przeszli do kajuty na drugim poziomie nadbudówki, w jej tylnej części. Każda kajuta była wyposażona w drewniane, wiszące łóżko z lekką narzutą i jedną z tych mat, które nazywają się tu *esteras* — pościelą zupełnie wystarczającą w tych regionach strefy tropikalnej. Nazajutrz, skoro świt, „Simon Bolivar”, którego palenisk nie wygaszono, wyruszył w drogę — po zgromadzeniu i załadowaniu przez załogę drzewa wyciętego wcześniej w nadbrzeżnych lasach. W ciągu tego dnia statek minął osadę Santa Cruz, zespół kilkudziesięciu chat na lewym brzegu, potem wyspę Guanares, dawną siedzibę misjonarzy, usytuowaną prawie w miejscu, gdzie zakręt rzeki kieruje ją na południe, by następnie wrócić na zachód, wreszcie wyspę del Muerto.

Trzeba było przebyć liczne wiry i bystrzyny, stworzone przez zwężenie koryta rzeki. Utrudniają one poruszanie się łodzi wiosłowych i żaglowych, a „Simon Bolivar” zwiększył jedynie zużycie paliwa w kotłach. Klapy bezpieczeństwa nie miały oznak przeciążenia. Wielkie koło gwałtownie odpychało wodę szerokimi łopatom. W takich warunkach przebyto bez większego opóźnienia trzy lub cztery bystrzyny, a nawet Wrota Piekieł, które zapowiedział Jean, powyżej wyspy Matapalo.

Nadszedł wieczór, „Simon Bolivar” rzucił cumy u stóp *barranca**, w którym usadowiła się mała miejscina Mapire. Panowie Miguel, Felipe i Varinas, korzystając z godzinnego zmierzchu, chcieli zwiedzić to dość ważne miasteczko, leżące na lewym brzegu. Jean zapragnął im towarzyszyć, lecz sierżant Martial nie pozwolił na to.

Następny dzień był „zalany” — to jest właściwe słowo — potokami ulewy. Nikomu nie udało się pozostać choć przez chwilę na spardeku. Sierżant Martial i nasz młodzieniec spędzili te długie godziny w salonie na rufie, który panowie Miguel, Varinas i Felipe również sobie upodobali. Byłoby więc trudno nie zaznajomić się z problemem Atabapo — Guaviare — Orinoko, gdyż ich rzecznicy

nie mówili o niczym innym, a dyskutowali raczej głośno. Wielu pasażerów włączyło się do konwersacji.

Z powodu złej pogody podróżnicy tego dnia nie mogli przyjrzeć się wyspie Tigritta. Na pocieszenie, na obiad i kolację współpasażerowie zostali uraczeni wspaniałymi rybami, sławnymi morocotes, od których roją się tutejsze przybrzeżne wody, a które wysyła się w ogromnych ilościach, zakonserwowane w solance, do Ciudad Bolivar i Caracas.

W czasie ostatnich godzin przedpołudnia parowiec przepłynął na zachód do ujścia Caury.

W górę od ujścia Caury Orinoko jest jeszcze bardzo szerokie — ma około trzy tysiące metrów. Od trzech miesięcy pora deszczowa i liczne dopływy tych dwóch rzek przyczyniły się, w znaczącym stopniu, do podwyższenia poziomu wody. Jednakże kapitan „Simona Bolivara” musiał bardzo ostrożnie manewrować, aby nie osiaść na mieliźnie, w górę wyspy Tucuragua, na wysokości rzeki o tej nazwie. Być może parostatek otarł się nawet dnem w jakimś miejscu, ale nie wywołało to niepokoju na pokładzie. Wreszcie i tym razem wyszedł z żeglugi bez szkód i wieczorem zarzucił kotwicę przy prawym brzegu, w miejscowości Las Bonitas.

IV

Pierwszy kontakt

W Las Bonitas miał swoją oficjalną rezydencję wojskowy gubernator terenów leżących nad Caurą. Gubernator znał osobiście *señora* Miguela, a dowiedziawszy się o jego podróży do źródeł Orinoko, pośpieszył na „Simona Bolívara”. *Señor* Miguel przedstawił gubernatorowi swych przyjaciół. Po sympatycznej wymianie uprzejmości geografowie zostali zaproszeni na obiad w dniu następnym.

Postój „Simona Bolívara” miał się przedłużyć do pierwszej po południu następnego dnia. Nazajutrz więc, 15 sierpnia, trzech koledzy z Towarzystwa Geograficznego udali się do posiadłości gubernatora. Również sierżant Martial z siostrzeńcem zeszli na ląd i spacerowali ulicami Las Bonitas.

To wenezuelskie miasteczko miało wygląd wioski, z kilkoma chatami rozproszonymi pod listowiem, zatopionymi w gęstwinie zieleni strefy tropikalnej! Tu i ówdzie wyrastały grupy wspaniałych drzew, świadczących o żyzności tej ziemi: krzaczaste dęby o wykrzywionych pniach przypominające drzewa oliwne, okryte twardymi liśćmi o silnym zapachu, palmy o gałęziach rozchylających się jak kwiaty, których kiści używa się jako wachlarzy, palmy bagienne, to znaczy tworzące bagno, gdyż mają właściwość pompowania wody z ziemi do tego stopnia, że błoto powstaje u ich podnóża.

Jean i sierżant Martial zagłębili się w gaje palmowe, które są naturalnie uformowane w szachownice, z poszyciem wolnym od zarośli, gdzie rozkwitały tysiącami eleganckich bukietów mimozy.

Między drzewami przebiegały, skakały, huśtały się gromady małp. Występują one na terytorium Wenezueli w co najmniej szesnastu gatunkach. W takim samym stopniu są nieszkodliwe, co hałaśliwe. Wrzask tych krzykaczy dla nie obeznanego z lasem tropikalnym jest przerażający.

— Zrobiłbym lepiej, gdybym zabrał strzelbę... — zauważył sierżant Martial.

— Chcesz zabijać małpy? — zdziwił się Jean.

— Małpy, nie... Ale... jeśli są tu zwierzęta tak niezgodne...

— Bądź spokojny mój wuju! Należałoby iść dużo dalej od osiedla, by spotkać niebezpieczne drapieżniki i wcale niewykluczone, że w przyszłości będziemy musieli się bronić...

Po trzech godzinach, spędzonych w okolicach Las Bonitas, wuj i siostrzeniec wrócili na obiad na pokład „Simona Bolívara”.

O tej samej porze panowie Miguel, Felipe i Varinas zasiedli z gubernatorem do stołu. Rozprawiano naturalnie o misji, jakiej podjęli się trzech geografowie, a gubernator, człowiek

niewątpliwie rozsądny, wystrzegął się starannie, aby nie opowiedzieć się za Orinoko, Guaviare lub Atabapo.

— Czy wśród pasażerów „Simona Bolívara” — zapytał — jest ktoś, kto udaje się aż do górnego biegu Orinoko?

— Tego nie wiemy — odparł *señor* Miguel.

— Jednakże wydaje się, że większość ma zamiar zatrzymać się w Caicarze lub płynąć dalej Apure aż do miasteczek w Kolumbii...

— Chyba że ci dwaj Francuzi — zauważył *señor* Varinas.

— Dwaj Francuzi?... — zainteresował się gubernator.

— Tak — potwierdził *señor* Felipe — jeden stary i jeden młody, którzy weszli na pokład w Ciudad Bolívar.

— Dokąd się udają?

— Tego nikt nie wie — odpowiedział *señor* Miguel — gdyż nie są zbyt skorzy do zwierzeń. Gdy chce się rozpocząć rozmowę z młodym, wtedy stary, który wygląda bez wątpienia na dawnego żołnierza, wkracza z wściekłą miną. I jeśli ktoś obstaje przy rozmowie, wysyła brutalnie swego siostrzeńca do kabiny.

— Zresztą — podjął *señor* Miguel — dowiemy się dzisiaj wieczorem. Nie byłbym wcale tym zdziwiony, gdyż młodzieniec bez przerwy studiuje dzieło swego rodaka, któremu udało się dotrzeć przed kilku laty do źródeł rzeki.

— Jeśli one są z tej strony, w masywie Parima — zawołał *señor* Felipe, zwolennik Atabapo.

— I jeśli one nie są w łańcuchach Andów — zakrzyknął *señor* Varinas.

Gubernator zdał sobie sprawę, że dyskusja może się rozpocząć na nowo.

— Panowie — powiedział do swych gości — ten wuj i jego siostrzeniec pobudzili moją ciekawość. Jeśli mają zamiar kontynuować podróż wzdłuż biegu górnego Orinoko, zastanawiam się, w jakim celu. Francuzi są odważni, są nieustraszonymi eksploratorami*, lecz te tereny południowej Ameryki pochłonęły już niejedną ofiarę... Doktor Cravaux, który padł pod strzałami Indian na równinach Boliwii, jego towarzysz, Francois Burban, którego grobu nie można znaleźć na cmentarzu w Moitaco... Ale to też prawda, że Chaffanjonowi udało się dotrzeć aż do źródeł Orinoko...

— Jeśli to jest Orinoko!... — wtrącił *señor* Varinas.

— Rzeczywiście, jeśli to jest Orinoko — rzekł gubernator — a upewnimy się ostatecznie co do tej kwestii geograficznej po panów podróży. Nawet jeśli Chaffanjonowi udało się wrócić cało i zdrowo, to nie znaczy, że trzeba ryzykować. Doprawdy, można by powiedzieć, że nasza wspaniała rzeka

przyciąga Francuzów.

— To prawda — zauważył *señor* Miguel. — Przed kilkoma tygodniami dwóch z tych śmiałków przedsięwzięło badania na terytorium llanosów, rozciągających się na wschód od rzeki...

— Rzeczywiście, *señor* Miguel — potwierdził gubernator. — Tak samo przyjmowałem ich tutaj, młodych jeszcze ludzi, w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat. Byli to: Jacques Helloch, badacz i Germain Paterne, jeden z tych przyrodników, którzy ryzykują życiem, aby odkryć jakieś nowe źdźbło trawy...

— I nie miał pan o nich do tej pory żadnej wiadomości? — zapytał *señor* Felipe.

— Żadnej, proszę panów. Wiem tylko, że załadowali się na pirogę w Caicarze, że sygnalizowano ich obecność w Buena Vista i Urbanie, skąd wyruszyli w górę jednego z prawych dopływów rzeki. Lecz od tego postoju nic o nich nie słyszałem i obawy moje nie są wcale przesadzone!

— Miejmy nadzieję, że ci dwaj podróżnicy — powiedział *señor* Miguel — nie wpadli w ręce Quivasów, rabusiów i zabójców, których Kolumbia wyrzuciła do Wenezueli i którzy mają za szefa, jak mówią, niejakiego Alfaniza, skazańca zbiegłego z galer w Cayenne*...

— Czy fakt ten jest pewny? — zapytał *señor* Felipe.

— Wydaje się, że tak i nie życzyłbym wam wcale, żebyście panowie spotkali bandy Quivasów — dodał gubernator. — Mimo wszystko jest możliwe, że ci Francuzi nie zostali wciągnięci w żadną pułapkę. Może im się udać tak, jak powiodło się ich rodakowi! Mówi się również o pewnym misjonarzu, który jeszcze dalej przemierzył te tereny na wschodzie. To Hiszpan, padre Esperante. Po krótkim pobycie w San Fernando misjonarz ten nie zawahał się przekroczyć źródeł Orinoko...

— Fałszywego Orinoko! — wykrzyknęli razem panowie Felipe i Varinas.

I rzucili prowokujące spojrzenia na swego kolegę, który łagodnie skłonił głowę mówiąc:

— Fałszywego, jeśli tak wam na tym zależy, moi drodzy koledzy!

I *señor* Miguel dodał, zwracając się do gubernatora:

— Chyba słyszałem, że temu zakonnikowi udało się założyć misję?...

— Rzeczywiście... Misję Santa Juana, w okolicy sąsiadującej z Roraimą, która wydaje się rozwijać pomyślnie.

Aż do końca obiadu rozmawiano o terenach, przez które płynie środkowe Orinoko oraz na temat aktualnej sytuacji wśród Indian, tych już ucywilizowanych, jak również tych nie poddających się żadnej dominacji.

Około południa goście rezydencji wrócili na statek. Wuj i siostrzeniec z tyłu górnego pomostu, gdzie sierżant palił fajkę, dostrzegli z daleka *señora* Miguela i jego kolegów.

Gubernator przeszedł kilka kroków ku tyłowi spardeku. Rozmawiał z *señorem* Miguelem, którego współtowarzysze zostali w kabinie. Sierżant Martial zrozumiał ten manewr.

— Uwaga! — powiedział do Jeana. — Generał szuka kontaktu, i na pewno zapyta nas, kim jesteśmy... i gdzie zdążamy...

— No cóż, mój dobry Martialu, nie mamy wcale potrzeby ukrywania tego — odrzekł Jean.

— Nie lubię, jak ktoś wtrąca się w nie swoje sprawy i zaraz poślę go do diabła!

— Chcesz więc narobić nam kłopotów, wuju? — zaprotestował Jean i przytrzymał go za rękę.

Sierżant Martial pogderał, gwałtownie pociągnął ze swej fajki i przysunął się do siostrzeńca, do którego przemówił gubernator w języku hiszpańskim, dobrze znanym Jeanowi.

— Pan jest Francuzem...

— Tak, panie gubernatorze — Jean złożył ukłon Jego Ekscelencji.

— A pański towarzysz?...

— Mój wuj... jest tak samo Francuzem jak ja, dawnym sierżantem na emeryturze.

Sierżant Martial, ponieważ był nieco osłuchany z językiem hiszpańskim, zrozumiał, że rozmawiano o nim. Wyprostował się więc na całą swą wysokość, przekonany, że sierżant 72 regimentu co najmniej dorównuje generałowi wenezuelskiemu czy gubernatorowi prowincji.

— Nie będę chyba niedyskretny, mój młody przyjacielu — podjął ten ostatni — zapytując, czy wasza podróż przedłuży się poza Caicarę?...

— Tak... poza, panie gubernatorze — odpowiedział Jean.

— Przez Orinoko, czy przez Apure?...

— Przez Orinoko.

— Aż do San Fernando nad Atabapo?...

— Aż do tego miasteczka, panie gubernatorze, i być może jeszcze dalej, jeśli informacje, które mamy nadzieję tam otrzymać, tam nas skierują.

Gubernator i *señor* Miguel byli wyraźnie poruszeni zdecydowaną miną tego młodego chłopca i było widoczne, że wzbudził on autentyczną sympatię rozmówców.

I właśnie przed tą zbyt rzucającą się w oczy sympatią sierżant Martial zamierzał go bronić. I jeszcze bardziej złościło go to, że *señor* Miguel wcale nie ukrywał uczuć, jakie odczuwał do chłopca. Gubernator Caury jest jeszcze nie tak groźny, ponieważ zostaje w Las Bonitas, lecz *señor*

Miguel był kimś więcej niż jednym z pasażerów „Simona Bolivara”...

Co więcej, sierżant nie mógł teraz wysłać do diabła Jego Ekscelencji. Tenże wziął się więc do wypytywania Jeana na temat jego podróży.

— Jedzie pan do San Fernando?... — zapytał.

— Tak, panie gubernatorze.

— W jakim celu?...

— Aby zebrać informacje.

— Informacje... a o kim?...

— O pułkowniku de Kermorze.

— Pułkownik de Kermor?... — zdziwił się gubernator. — To nazwisko słyszę po raz pierwszy i nikt mi nie doniósł, że widziano jakiegoś Francuza w San Fernando od przejścia Chaffanjona.

— Jednakże on tam przebywał przed kilku laty — zauważył chłopiec.

— A na czym się pan opiera, aby potwierdzić ten fakt?... — zapytał gubernator.

— Na ostatnim liście pułkownika, jaki otrzymano we Francji, liście zaadresowanym do jednego z przyjaciół w Nantes, a który był podpisany jego imieniem...

— I mówisz, moje drogie dziecko — podjął gubernator — że pułkownik de Kermor przebywał przed kilku laty w San Fernando?...

— Co do tego nie ma wątpliwości, gdyż jego list był datowany 12 kwietnia 1879 roku.

— To mnie zadziwia!

— A dlaczego, panie gubernatorze?

— Ponieważ w tym czasie przebywałem w miasteczku jako gubernator Atabapo i jeśli jakiś Francuz, taki jak pułkownik de Kermor, pojawiłby się na tym terenie, byłbym na pewno poinformowany... Jednakże moja pamięć nic mi nie podpowiada ... absolutnie...

To twierdzenie gubernatora, tak precyzyjne, zrobiło głębokie wrażenie na chłopcu. Jego twarz, tak ożywiona w czasie rozmowy, straciła swe naturalne zabarwienie. Zbladł, a oczy wypełniły się łzami.

— Dziękuję panu, panie gubernatorze — powiedział — dziękuję za życzliwość, jaką pan nam okazał, memu wujowi i mnie... Lecz tak samo pewne jak to, że nigdy nie słyszał pan o pułkowniku de Kermorze, jest to, że był on w San Fernando w kwietniu 1879 roku, ponieważ stamtąd wysłał ostatni list, który otrzymano od niego we Francji.

— A co on robił w San Fernando?... — zapytał *señor* Miguel, a czego nie uczynił jeszcze dotąd gubernator.

Czcigodnemu członkowi Towarzystwa Geograficznego dostało się od sierżanta Martiala, który wymamrotał przez zęby:

— Ach tak! Po co się w to wtrącasz?... Gubernatora można jeszcze ścierpieć... lecz tego cywila...

Jednakże Jean nie omieszkał mu odpowiedzieć:

— Co on tam robił, proszę pana, tego nie wiem... Jest to tajemnica, którą chcemy wyjaśnić, jeśli Bóg pozwoli nam dotrzeć do niego...

— Jakie więzi łączą pana z pułkownikiem de Kermorem? — zapytał gubernator.

— To mój ojciec — odpowiedział Jean. — Przybyłem do Wenezueli, aby odnaleźć mego ojca!

„Maripare” i „Gallinetta”

Simon Bolivar” dotarł do usytuowanego w zakolu rzeki, niczym oberża na zakręcie drogi, miasteczka Caicara dopiero o dziewiątej wieczór. Po opuszczeniu Las Bonitas o pierwszej po południu minął kolejno *rio** Cuchivero, Manapire, wyspę Tarumę i wysadził swych pasażerów na pomoście nabrzeża w Caicarze. Nie trzeba dodawać, że pasażerami tymi byli jedynie ci, którzy nie wybierali się dalej statkiem w górę Apure, do San Fernando lub do Nutrias. Trzej geografowie, sierżant Martial i Jean de Kermor byli wśród tej części podróżnych. Nazajutrz o świcie „Simon Bolivar” opuści miasteczko, by popłynąć w górę tego ważnego dopływu Orinoko — aż do stóp Andów kolumbijskich.

Señor Miguel nie omieszkiał przekazać swym przyjaciołom informacji uzyskanych od chłopca. Minęło czternaście lat od czasu, kiedy pułkownik de Kermor opuścił Francję, by udać się do Wenezueli. W jakich okolicznościach musiał emigrować, co robił w tych odległych krainach — pokaże przyszłość. Obecnie jedynie było pewne, według listu napisanego przez niego do jednego z przyjaciół, listu poznanego dopiero po latach, że pułkownik przebywał w kwietniu 1879 roku w San Fernando nad Atabapo, mimo że gubernator Caury, rezydujący w tym miasteczku, nie wiedział nic o jego pobycie.

Nazajutrz, 16 sierpnia, sierżant Martial i Jean zwiedzali Caicará, cały czas zajmując się poszukiwaniem stosownej łodzi. Musieli wynająć jakąś barkę, nadającą się do żeglugi po środkowym Orinoko, między Caicara a San Fernando, a mieli do pokonania około ośmiuset kilometrów. Panowie Miguel, Felipe i Varinas też musieli się przede wszystkim o to zatroszczyć. Pierwszym zadaniem było zapewnienie sobie transportu w jak najlepszych warunkach.

Señor Miguel doszedł do wniosku, że porozumienie z sierżantem Martialem może uprościć sprawę. Nie stanowi większej różnicy, czy pasażerów będzie trzech czy pięciu. Łódź z łatwością ich pomieści, a żeglarska obsługa — konieczna do manewrów — nie musi być zwiększona.

Załogę zwyczajowo werbuje się spośród plemion przybrzeżnych. Tubylcy, dla których jest to jedyne zajęcie, wykonują swoje obowiązki z wielkim talentem i nie mniejszą brawurą. Za najpewniejszych z nich uważa się Banivasów, którzy koczują na terenach opływanych przez Guaviare, Orinoko i Atabapo. Czy można mieć zaufanie do tych marynarzy?... W stopniu ograniczonym — niestety. Nie można wymagać większej gwarancji, gdy nie ma innego wyboru. Tak w każdym razie rozumował uczony *señor* Miguel i rozumował słusznie. Poza tym, ponieważ interesował się żywo młodym chłopcem, Jean mógł tylko zyskać mając za swych towarzyszy podróży jego i pozostałych przyjaciół. Zachwycony swoim pomysłem był zdecydowany przedstawić go sierżantowi Martialowi. I gdy dostrzegł sierżanta, który wraz z Jeanem zabiegał w porcie Caicara, by wynająć łódź, nie omieszkiał zagadnąć ich. Stary żołnierz zmarszczył brwi i zrobił mało zachęcającą minę.

— Panie sierżancie — powiedział *señor* Miguel po francusku, którym władał biegle — mieliśmy przyjemność płynąć razem na pokładzie „Simona Bolívara”...

— I zejść z niego wczoraj wieczorem — odpowiedział sierżant Martial, ze ściągniętymi stopami, sztywny, jakby prezentował broń.

Señor Miguel wolał przyjąć za dobrą monetę te słowa i kontynuował:

— Ja i moi dwaj przyjaciele... w czasie rozmowy w Las Bonitas... między pańskim siostrzeńcem

...

Sierżant Martial ściągnął usta i przerwał *señor* owi Miguelowi:

— Proszę... w czasie rozmowy?...

— Między panem Jeanem de Kermorem i gubernatorem, kiedy to poznaliśmy pański zamiar zejścia na ląd w Caicarze...

— Sądzę, że nie musieliśmy pytać nikogo o zgodę?... — odrzekł stary wiarus aroganckim tonem.

— Nikogo, oczywiście — potwierdził *señor* Miguel — lecz dowiedzieliśmy się, jaki jest cel panów podróży. Ponieważ ja i moi koledzy udajemy się do tego samego miejsca, chciałem zapytać, czy nie byłoby stosowniej, korzystniej, także bezpieczniej, przebyć trasę z Caicary do San Fernando na wspólnej łodzi...

Czyż mogła być jakaś oferta bardziej korzystna niż ta, którą przedłożył *señor* Miguel? Wydawało się, że nie istnieje żaden powód, aby ją odrzucić. Wybierając pirogę o odpowiednich wymiarach, pięciu podróżników odbyłoby swą wyprawę w korzystnych warunkach.

— Jestem wielce zaszczycony, mój panie, bardzo zaszczycony!... — odpowiedział sierżant. — Że pańska propozycja jest korzystna, to możliwe, lecz stosowna... nie... przynajmniej jeśli chodzi o nas!

— A cóż w niej niestosownego?... — zapytał *señor* Miguel, dość zaskoczony.

— Jest nieodpowiednia... gdyż nam nie odpowiada! — zareplikował sierżant Martial.

— Bez wątpienia ma pan jakieś swoje racje, by odpowiedzieć w ten sposób, panie sierżancie — podjął *señor* Miguel. — Ponieważ jednak moją intencją było pomóc sobie wzajemnie, zasługiwałem więc na odpowiedź mniej przykrą...

— Żałuję tego... tak... proszę mi wybaczyć... proszę pana... — odpowiedział sierżant Martial, który oczywiście nie czuł się zbyt pewnie w dziedzinie wyszukanych obyczajów — ale nie mogłem inaczej odpowiedzieć panu, jak tylko odmownie.

— Odmowie może towarzyszyć pewna forma, a tu nie odnalazłem francuskiej grzeczności.

— Och, mój panie — rzekł były żołnierz, który zaczął się wyraźnie podniecać — nie chodzi tutaj o

grzeczności... Zrobił pan nam pewną propozycję... ja mam powody, żeby tej propozycji nie przyjąć, powiedziałem to panu, jak umiałem... bez owijania w bawełnę... a jeśli ma pan zamiar nalegać...

Wyniosła mina, jaką przybrał *señor* Miguel, nie uspokoiła sierżanta Martiala, który nie posiadał daru cierpliwości. Wtedy to włączył się Jean de Kermor mówiąc:

— Panie, zechciej wybaczyć memu wujowi. Nie miał zamiaru pana obrazić... To, co pan nam proponuje, jest wielką uprzejmością z pana strony i w każdych innych okolicznościach byłibyśmy bardzo szczęśliwi mogąc skorzystać z pańskiej dobrej woli... Lecz chcemy mieć łódź wyłącznie do naszej dyspozycji, którą moglibyśmy rozporządzać w zależności od okoliczności. Jest możliwe, że informacje otrzymane po drodze zmuszą nas do zmiany trasy, do pobytu w takiej lub innej osadzie... Jednym słowem, musimy mieć swobodę poruszania się.

— Oczywiście, panie de Kermor — odrzekł *señor* Miguel. — Nie mamy zamiaru krępować was w niczym... i mimo odpowiedzi trochę zbyt... oschłej pańskiego wuja...

— Starego żołnierza, proszę pana! — oświadczył sierżant Martial.

— Właśnie! Niemniej, jeśli ja i moi przyjaciele moglibyśmy być w czymś pomocni w czasie podróży ...

— Dziękuję panu — odpowiedział chłopiec — i w razie potrzeby, proszę mi wierzyć, że nie omisszamy poprosić panów o pomoc.

Señor Miguel i Jean de Kermor uścisnęli sobie po przyjacielsku ręce, co miało taki skutek, że oczy jego groźnego wuja cisnęły dwie błyskawice. Gdy sierżant Martial i młodzieniec zostali sami, ten pierwszy powiedział z przechwałą:

— Widziałeś, jak go potraktowałem, tego osobnika!

— Źle go potraktowałeś i nie miałeś racji.

— Nie miałem racji?

— Oczywiście.

— No dobrze... tylko tego brakowało, żebym zgodził się dzielić pirogę z tymi trzema bolivarczykami!

— Dobrze zrobiłeś odrzucając tę propozycję, ale trzeba było zrobić to uprzejmiej, mój wuju!

Pirogi środkowego Orinoko, najmniejsze, są drążone z jednego pnia grubego drzewa, między innymi z *cachicamo*. Największe, wykonane z heblowanych desek, zaokrąglone na bokach, wystają dość wysoko nad wodę obciętym dziobem i rufą. Na środku stoi maszt podtrzymywany przez stempel i dwie wanty, zaopatrzone w kwadratowy żagiel, używany przy tylnym i bocznym wietrze. Sterem, który jest czymś w rodzaju wiosła, manewruje dowódca łodzi. Przednia część pirogi, od masztu do dzioba, jest odkryta. Załoga, składająca się zwykle z dziesięciu Indian, to jest kapitań i dziewięciu

ludzi, przebywa tu w ciągu dnia i śpi w nocy. Tylna część, od podstawy masztu aż do rufy, za wyjątkiem miejsca przeznaczonego dla sternika, jest osłonięta pokładówką, czyli czymś w rodzaju dachu z liści palmowych, podtrzymywanych prętami bambusowymi.

Pokładówka tworzy kabinę pirogi. Mieszczą się tam koje — zwykłe maty rozciągnięte na suchej podściółce, przybory kuchenne i stołowe, mała kuchenka służąca do przygotowania pokarmu z upolowanej zwierzyny i ryb. Kabinę pirogi można podzielić na kilka kajut wiszącymi matami, gdyż ma nie mniej niż pięć do sześciu metrów długości. Cała łódź, od końca do końca, ma od dziesięciu do jedenastu metrów długości.

Te pirogi na Orinoko zwą *falcas*. Gdy wiatr jest sprzyjający, płyną na żaglu, zresztą dość wolno, gdyż muszą pokonać prąd — czasami bardzo szybki między wyspami, którymi rzeka jest usiana. Gdy nie ma wiatru, płynie się środkiem koryta rzeki odpychając się bosakami, albo wzdłuż brzegów — ciągnąc linki holownicze. Bosak spełnia jednocześnie rolę *palanca* — ostrej żerdzi, którą posługują się marynarze na przedzie oraz *garapato* — mocnego bambusa z hakiem, którym wymachuje dowódca. Linka holownicza, tak zwana *espilla*, zrobiona jest z bardzo elastycznych włókien palmy *chiquichiqui*, o długości około stu stóp; jest tak lekka, że unosi się na powierzchni wody. Pirogę holuje się zaczepiając *espillę* o pień drzewa lub jakąś nadbrzeżną skałę, albo też ciągnąc ją z brzegu. Takie są urządzenia służące *falca* do nawigacji w środkowym biegu rzeki, do czego trzeba dodać małe czółno, służące do manewrowania *espillą*, które w narzeczu indiańskim zwie się *curiare*.

Podróżni muszą pertraktować z szyprem łodzi. Odpowiednia zapłata przeliczana jest na dni. Nie może być inaczej, gdyż przybory wody, przeciwny wiatry, zmiana położenia bystrzyn i trudności z przenoszeniem spowodowane najrozmaitszymi przeszkodami na torze wodnym opóźniają żeglugę. Ta sama trasa, którą można przebyć w trzy tygodnie, w wypadku gdy zmienią się warunki atmosferyczne, wymagać będzie podwójnego czasu. Takie więc warunki należało brać pod uwagę pertraktując z Banivasami, którzy dysponowali dwiema pirogami.

Señor Miguel wybrał pirogę wspaniałego wilka rzeczno. Był to Indianin imieniem Martos, około czterdziestki, energiczny, silny, inteligentny i ponoszący pełną odpowiedzialność za swą ekipę: dziewięciu dobrze zbudowanych żeglarzy, świetnie obeznanych z *palanca*, *garapato* i *espillą*. Cena, jaką żądał za każdy dzień, była niewątpliwie zawyżona, lecz kto by się targował, gdy chodzi o rozwiązanie ważnej kwestii: Guaviare — Orinoko — Atabapo!...

Można mieć nadzieję, że wybór dokonany przez Jeana de Kermora i sierżanta Martiala będzie równie szczęśliwy — tak samo dziewięciu Banivasów, pod wodzą Metysa Valdeza, pół-Indianina, pół-Hiszpana. Miał pozostać na usługach Francuzów, nawet gdyby podróż miała się przedłużyć poza San Fernando w górę Orinoko.

Dwie *falcas* miały swoje nazwy. Piroga panów Miguela, Felipe i Varinasa nazywała się „Maripare”, tak jak jedna z licznych wysp na Orinoko.

Takie samo pochodzenie miało imię pirogi sierżanta Martiala i jego siostrzeńca, która nazywała się „Gallinetta”. Obie miały nadbudówki i maszty białe, a kadłuby czarne. Nie trzeba dodawać, że te

pirogi będą płynąć razem i że żadna nie będzie miała ambicji wyprzedzania drugiej.

„Maripare” i „Gallinetta” były gotowe do wypłynięcia już wieczorem, ale trzeba było zaopatrzyć się w żywność. Oczywiście, podróżujący po Orinoko mogą również liczyć na zwierzynę, w którą są bogate brzegi rzeki oraz na ryby, od których roją się wody. *Señor* Miguel był dobrym myśliwym; sierżant Martial nie mniej zręcznie posługiwał się karabinem. Tak samo lekka fuzja w rękach Jeana de Kermora nie pozostanie beczynna i bezużyteczna. Lecz z samego myślistwa i rybołówstwa nie można wyżyć. Należy załadować do łodzi herbatę, cukier, suszone mięso, konserwy z jarzyn, mąkę kukurydzianą i pszenną, beczułki z *tafią** i *aguardiente**.

Zakupy trwały kilka dni. Ale nic straconego, bo przez dwie doby utrzymywała się wyjątkowo zła pogoda. Nad Caicarą przeszedł huragan *chubasco* o wyjątkowej gwałtowności. Wieje on z południowego zachodu, towarzyszą mu silne deszcze, powodujące znaczący przybór rzeki. *Falcas* nie mogłyby ani pokonać wzmoczonego przyborem wód prądu rzeki, ani oprzeć się przeciwnym wiatrom.

W dniu 20 sierpnia siła *chubasco* wyraźnie się zmniejszyła i wiatr zmienił kierunek na północny. Również wody opadły i rzeka wróciła do swego normalnego koryta. Martos i Valdez oświadczyli, że można wyruszyć nazajutrz przed południem. Rzeczywiście, odjazd odbył się nazajutrz i to w bardzo sprzyjających warunkach. Około dziesiątej mieszkańcy miasteczka zgromadzili się na brzegu. Na obu pirogach na szczycie masztu powiewały flagi Wenezueli. Na dziobie „Maripare” stali panowie Miguel, Felipe i Varinas, którzy odpowiadali pozdrowieniami na owacje zebranych tubylców. Następnie *señor* Miguel odwrócił się ku „Gallinecie”:

— Szczęśliwej podróży, panie sierżancie! — zakrzyknął radosnym głosem.

— Szczęśliwej podróży, *señor* — odpowiedział stary żołnierz — gdyż będzie ona szczęśliwa dla was...

— Będzie szczęśliwa dla wszystkich — dodał *señor* Miguel — ponieważ odbędziemy ją razem!

Palancas wparły się w brzeg, żagle rozwinęły na wietrze i dwie łodzie w hałasie ostatnich wiatów skierowały się na środek rzeki.

VI

Z wyspy na wyspę

Podróż po środkowym Orinoko została więc rozpoczęta. Ileż długich godzin, ileż monotonnych dni trzeba będzie spędzić na pirogach!

Gdy „Maripare” i „Gallinetta” osiągnęły środek rzeki, dostrzeżono *cerros**, które urozmaicały powierzchnię okolicznych równin. Na lewym brzegu u stóp granitowego wzgórza, około jedenastej przed południem, ukazała się grupa chat. Była to wioska Cabruta, złożona z pięćdziesięciu trzcinowych szałasów, a jeśli pomnożymy je przez osiem, otrzymamy mniej więcej liczbę mieszkańców. Metysi zastąpili tu Indian Guamosów — obecnie rozproszonych. Biedacy ci mają skórę bielszą od Mulatów.

Kapitan „Gallinety” mówił po hiszpańsku, więc chłopiec wiele razy zadawał mu pytania, na które Valdez odpowiadał chętnie. A wieczorem, gdy *falca* zbliżyła się do prawego brzegu, Valdez zwrócił się do Jeana:

— Oto Capuchino, dawna misja, od lat opuszczona.

— Czy zamierzacie się tu zatrzymać?... — zapytał Jean.

— Jest to konieczne, ponieważ wiatr wieczorem cichnie. Poza tym po Orinoko z ostrożności pływa się tylko za dnia, gdyż tor wodny zmienia się dość często. Tak więc marynarze mają zwyczaj z nastaniem wieczoru cumować przy brzegu rzeki lub wyspy.

Także „Maripare” przybiła do brzegu w Capuchino. Po ostatnim posiłku, na który składało się kilka ryb z gatunku dorad, pasażerowie pirog zapadli w głęboki sen.

Tak jak przewidywał kapitan Valdez, bryza ucichła z nastaniem nocy, lecz o świcie znów powiała z północnego wschodu. Podniesiono więc żagle i dwie *falcas*, z wiatrem od rufy, popłynęły bez przeszkód w górę rzeki.

Naprzeciw Capuchino otwierało się ujście Apurito, odnogi Apure. Delta tego potężnego dopływu ukazała się dwie godziny później. Rzeką tą „Simon Bolivar”, po opuszczeniu Caicary, będzie posuwał się przez tereny Kolumbii, ograniczone od zachodu Andami.

Parostatki, które nie mogą zapuszczać się w górę Orinoko poza ujście Apure, po tej właśnie rzece płyną jeszcze dalej na odległość pięciuset kilometrów, prawie do Palmirito. Słusznie nazwano ją rzeką Ilanosów, bo jej dorzecze to rozległe równiny, sprzyjające wszelkim uprawom i doskonale nadające się do hodowli bydła.

Wody te obfitują w kajmany — co Jean zobaczył na własne oczy — a głębokość koryta rzeki pozwala im łatwo zbliżyć się do zdobyczy. Kilka z tych jaszczurowatych potworów baraszkowało w

pobliżu „Gallinetty”. Te olbrzymy z gatunku krokodyli, długie na ponad sześć metrów, są liczne w dopływach Orinoko, natomiast kajmany z innych rzek na terenach całych Llanosów są znacznie mniejsze.

W tym dniu *falcas* minęły kilka wysp, wzdłuż których prąd był szybszy i raz lub dwa razy trzeba było używać *espilli*, umocowanej do potężnych konarów drzew.

Gdy łodzie przepływały opodal pokrytej prawie niedostępnym masywem zieleni wyspy Verija de Mono, rozległa się kanonada, po której na powierzchnię wody opadło około pół tuzina dzikich kaczek. To *señor* Miguel i jego przyjaciele okazali się tak zręcznymi strzelcami. Kilka chwil później *curiare* zbliżyła się do „Gallinetty”.

— To dla urozmaicenia wikt — powiedział *señor* Miguel, ofiarowując parę kaczek.

Jean de Kermor podziękował *señorowi* Miguelowi, a również sierżant Martial wymruczał coś w rodzaju podziękowania.

Gdy zapadła noc, obie *falcas* zacumowały przy wyspie Pajarał. Na prawym brzegu rzeki piętrzyły się skały narzutowe.

Wieczera była smakowita. Kaczki sprawione przez sierżanta Martiala, który znał się na kuchni jako dawny pracownik kantyny pułku, miały mięso wyborne i pachnące, dużo lepsze od gatunków europejskich. O godzinie dziewiątej położono się spać; przynajmniej chłopiec poszedł do części rufowej, by wyciągnąć się na macie. Jego wuj, wierny swym przyzwyczajeniom, starannie przykrył go moskitierą.

Nazajutrz rano obie łodzie odpłynęły pod żaglami. Wiatr był sprzyjający, co prawda nieregularny. Nabrziałe, grube chmury pokrywały niebo na średniej wysokości. Padał gwałtowny deszcz i pasażerowie musieli schronić się do kabin.

Pirogi musiały pokonać dość silne prądy, gdyż koryto rzeki było zwężone przez zaporę z małych wysp. Trzymały się więc lewego brzegu, gdzie opór wody był mniejszy. Ten brzeg miał charakter bagienny, porastała go płatanina trzciny i krzewów.

W ciągu tego dnia kapitanowie piróg dali dowody swych rzeczywistych umiejętności w zakresie unikania ostrych skał. Uderzyć w jedną z nich znaczyło stracić łódź pośrodku tych wezbranych deszczem wód. Nie tylko ten manewr wymagał doskonałej sprawności ręki w operowaniu tylnym wiosłem; trzeba było też uważać na pływające pnie. Drzewa odrywały się od wyspy Zamuro, która w ten sposób od kilku lat zaczęła znikać po kawałku.

Falcas spędziły noc przy czole wyspy Casimirito. Znalazły tu wystarczającą osłonę przed wiatrem, który rozpętał się z niespotykaną gwałtownością.

Nazajutrz niebo wyglądało lepiej. W nocy chmury obniżyły się. Gęsty deszcz, tworzący się w wyższych sferach, przeszedł w drobny, prawie mżawkę, który zupełnie ustał o świcie. Chwilami pokazywało się słońce i wiał wiatr z północnego wschodu. Łodzie mogły płynąć pod pełnymi

żaglami. Rzeka robiła tu zakręt na zachód aż do Buena Vista, aby potem skierować się na południe.

Koryto rzeki, bardzo teraz poszerzone, przedstawiało widok, który musiał zafrapować Jeana de Kermora i sierżanta Martiala jako nantejczyków. Dlatego też ten ostatni nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Hej! mój siostrzeńcze, popatrz, gdzie dziś jesteśmy...

Chłopiec przeszedł na przód łodzi, której wydęty żagiel okrąglął za jego plecami. Bardzo czyste powietrze pozwalało dostrzec oddalony horyzont. Sierżant Martial dodał:

— Czy przypadkiem nie wróciliśmy do naszej drogiej Bretanii?...

— Rzeczywiście — odrzekł Jean — Orinoko przypomina tutaj Loarę.

Po południu żegluga wymagała ogromnego wysiłku załóg. W tej części łożyska rzeki, znacznie zwężonego wdzierającymi się ławicami piasku, prąd gwałtownie przyspieszał. Nadciągała potężna burza, poprzedzana pomrukiem piorunów. Dotychczasowy lekki wietrzyk wydał ostatnie tchnienie i zaledwie dało się odczuć kilka nieregularnych powiewów. W tych warunkach ostrożność nakazywała poszukać jakiejś osłony, gdyż nigdy nie wiadomo, jak zakończy się taka burza na Orinoko. Przewoźnicy chcieli więc jak najszybciej schować się w jakiejś zatoczce, której wysokie brzegi ochroniłyby przed porywami wiatru. Na nieszczęście ten odcinek rzeki nie miał miejsc nadających się do tego celu. Po obu stronach rozciągały się, jak okiem sięgnąć, llanosy. Huragan omiatał ich powierzchnię, nie napotykając żadnych przeszkód.

Señor Miguel zapytał kapitana Martosa, co ten ma zamiar uczynić. Zastanawiał się, czy nie lepiej będzie rzucić kotwicę w korycie rzeki i przeczekać do następnego dnia.

— To byłoby niebezpieczne — odrzekł Martos. — Nasza kotwica nie będzie trzymała w tym miejscu... Rzuciłoby nas na mieliznę, przewróciło, rozbiło na kawałki...

— Co zatem zrobimy?

— Spróbujemy dotrzeć do najbliższej wioski w górę rzeki lub — jeśli będzie to niemożliwe — wrócimy do wyspy Casimirito, przy której spędziliśmy poprzednią noc.

— A co to za wioska?...

— Buena Vista, na lewym brzegu. Zamiar był na tyle rozsądny, że również Valdez, nie uzgadniając tego wcale z dowódcą „Maripare”, obrał już kierunek na tę wioskę. Żagle zwiślały nieruchomo wzdłuż masztów. Marynarze opuścili je na dno łodzi, aby nie stały się łupem wiatru. Burzy spodziewano się nie wcześniej niż za godzinę lub dwie. Sine chmury zdawały się być nieruchome na południowym horyzoncie.

— Niedobra pogoda — powiedział sierżant Martial do właściciela „Gallinety”.

— Całkiem zła — odpowiedział Valdez — lecz poradzimy sobie z nią.

Obie pirogi znalazły się przeto burta w burzę w odległości nie większej niż pięćdziesiąt stóp. Jako bosaków używano długich rozwidlonych prętów, odbijając się nimi od brzegów ławic. Zaledwie jednak pokonywano prąd. Lecz innego sposobu nie było. Musieli przecież dotrzeć do lewego brzegu rzeki, wzdłuż którego będzie można holować łodzie na linach.

Na tę operację poświęcono dobrą godzinę. Wiele razy obawiano się, że *falcas* spłyną w dół i wpadną na skały. W końcu, dzięki zręczności kapitanów, sile marynarzy, którym panowie Miguel, Felipe i Varinas z jednej strony, sierżant Martial i Jean z drugiej udzielili pomocy — pirogi przybiły do lewego brzegu. Nawet niewiele zniósł ich prąd przy trawersowaniu koryta rzeki.

Teraz należało zrobić użytek z lin i co ważniejsze — z siły mięśni. Ale jeśli wszyscy przyłożą się do tego solidnie, nie należy się obawiać, że łodzie porwie prąd rzeki.

Na rozkaz Valdeza pirogi zostały połączone jedna za drugą, a obie ekipy wspólnie jęły holować łodzie wzdłuż brzegu rzeki. Gdy to było możliwe, Indianie wychodzili z łodzi na brzeg i ciągnęli je na linach, a właściwy kierunek utrzymywało wiosło sterowe. A gdy brzeg stawał się niedostępny, zaczepiano linę o skałę lub pień na jakieś czterdzieści metrów w przodzie. Następnie marynarze wracali na pokład „Maripare” i ciągnęli razem.

A tymczasem burza była już w zenicie. Cały południowy horyzont pocięły błyskawice. Towarzyszyły im nieustanne grzmoty. Na szczęście, około ósmej wieczorem, gdy burza przerodziła się w gwałtowne ataki wiatru i gradu, obie pirogi znalazły bezpieczne schronienie u stóp wioski Buena Vista, na lewym brzegu Orinoko.

VII

Między Buena Vista a Urbana

pustoszenia dokonane przez gwałtowną burzę wystąpiły na obszarze kilkunastu kilometrów, aż do ujścia rzeki Arauca*. Nazajutrz, 26 sierpnia, wszędzie widać było najrozmaitsze szczątki unoszone przez rzekę. Wody jej, zazwyczaj tak przezroczyste, były całkowicie zamulone. Na całe szczęście Buena Vista została oszczędzona. Kierunek głównej fali *chubasco* przechodził bardziej na zachód.

Najważniejsze, że obie *falcas* nie ucierpiały od tej strasznej wichury. A pasażerowie, za radą marynarzy, zeszli w nocy na ląd. Jedna z tubylczych rodzin, która zajmowała dość czystą chatę, udzieliła im gościny. Indianie ci należeli do plemienia Varurosów, które dawniej zaliczano do ważniejszych na tych terenach. W przeciwieństwie do swych współplemieńców, pozostali oni w Buena Vista nawet po okresie składania jaj przez zółwie.

Rodzina składała się z ojca — mężczyzny pełnego wigoru, ubranego w *guayuco* i tradycyjną przepaskę na biodra, jego żony, młodej jeszcze, drobnej, zgrabnej, odzianej w długą indiańską koszulę, oraz dwunastoletniej dziewczynki. Indianie ci z zachwytem przyjęli prezenty — tafię i cygara oraz naszyjniki z paciorków.

W indiańskiej chacie znajdowały się hamaki zawieszane na bambusach pod dachem i trzy lub cztery kosze, zwane *canastos*, w których mieszkańcy przechowują odzież i najważniejsze przybory.

Sierżant Martial musiał wraz z siostrzeńcem dzielić tę gościnę z pasażerami „Maripare”, gdyż po prostu nie udało mu się znaleźć innej stosownej chaty. *Señor* Miguel był bardzo uprzejmy dla obu Francuzów, nawet bardziej niż jego koledzy. Jean de Kermor, z całą rezerwą, którą nakazywały mu piorunujące spojrzenia wuja, miał okazję zawrzeć bliższą znajomość ze swymi współtowarzyszami podróży. Poza tym został szybko zawojowany — to chyba właściwe słowo — przez małą Indiankę, która przyciągała swym wdziękiem. Gawędzono więc, a na zewnątrz huczała burza.

Rozmowa między podróżnikami trwała aż do północy, z czego sierżant Martial powinien był skwapliwie korzystać, chcąc dorównać swemu siostrzeńcowi w znajomości hiszpańskiego. W pewnym momencie *señor* Miguel zwrócił się z pytaniem do Indianina:

— Czy nie widzieliście przypadkiem dwóch francuskich podróżników, gdy płynęli w górę rzeki, przed czterema lub pięcioma tygodniami?...

Interesowało to bezpośrednio Jeana de Kermora, ponieważ dotyczyło jego rodaków. Oczekiwał więc odpowiedzi z dużym zaciekawieniem.

— Dwóch Europejczyków?... — powtórzył Indianin.

— Tak... dwóch Francuzów.

— Przed pięcioma tygodniami? ... Tak... widziałem ich — odpowiedział Indianin — a ich *falca* zatrzymała się na dwadzieścia cztery godziny w tym samym miejscu, gdzie wasze łodzie.

— Czy byli zdrowi?... — zapytał chłopiec.

— Zdrowi... dwaj mężczyźni, silni i w dobrych humorach... Jeden to doskonały myśliwy, jakim i ja chciałbym być, i z karabinem, jaki i ja chciałbym mieć... A ile ubił jaguarów i pum... Ach! co to za przyjemność strzelać z broni, z której na odległość pięciuset kroków trafia się w głowę ocelota* lub mrówkojada!

Oczy Indianina, gdy mówił o tym, błyszczały. Sam był zręcznym strzelcem i zamiłowanym myśliwym. Lecz co mógł działać ze swą tandetną fuzją, łukiem i strzałami w porównaniu z wyborną bronią, w którą bez wątplenia wyposażony był Francuz.

— A jego towarzysz?... — zapytał *señor* Miguel.

— Jego towarzysz?... — powtórzył Indianin. — Och! ten... to poszukiwacz roślin, zbieracz ziół...

W tym momencie Indianka wymówiła kilka słów w indiańskim narzeczu, których goście nie mogli zrozumieć i prawie natychmiast jej mąż dorzucił:

— Tak... tak... dałem mu łodygę *saurau*, co sprawiło mu przyjemność... rzadki gatunek... Był tak zadowolony, że zrobił nasz wizerunek... za pomocą maszyny... nasz wizerunek na małym lusterku...

— Zapewne fotografię — powiedział *señor* Felipe

— Czy możecie go pokazać? — zapytał *señor* Miguel.

Dziewczynka opuściła miejsce obok Jeana. Otworzyła jeden z *canastos*, stojący na ziemi, wyciągnęła z niej „mały wizerunek” i przyniosła go chłopcu. Była to rzeczywiście odbitka fotograficzna.

Indianin został zdjęty w swej ulubionej pozie — kapelusz z włókien na głowie, udrapowana *cobija** na ramionach! Na prawo jego żona odziana w długą koszulę, szklane bransolety na rękach i nogach; na lewo dziecko ubrane w przepaskę i strojące miny jak wesoła małpka.

— A czy wiecie, co stało się z tymi dwoma Francuzami? — zapytał Indianina *señor* Miguel.

— Wiem, że przepłynęli rzekę i dostali się do Urbany, gdzie pozostawili pirogę. Potem powędrowali przez llanosy, od strony słońca.

— Czy byli sami?

— Nie... zabrali przewodnika i trzech Indian Mapoyosów.

— I od tego czasu nic o nich nie słyszeliście?...

— Nie mam żadnych wiadomości.

Co stało się więc z dwoma podróżnikami, Jacquesem Hellochem i Germainem Paterne?... Czy nie należało się obawiać, że zginęli w tej wyprawie na wschód od Orinoko?... Może zdradzili ich Indianie?... Może zagrożone jest ich życie w centrum tych regionów tak mało znanych?... Jean nie mógł wiedzieć, że Chaffanjon był narażony na największe niebezpieczeństwa ze strony ludzi ze swej eskorty, gdy przeprowadzał rozeznanie w dorzeczu Caury, że nie uratowałby swego życia — gdyby nie zastrzelił przewodnika, który go zdradził ... Chłopiec był głęboko poruszony na myśl, że jego dwaj rodacy zginęli tak, jak tylu innych badaczy tej części Ameryki Południowej...

Nieco po północy burza zaczęła zmniejszać swe natężenie. Po gwałtownej ulewie niebo się roz pogodziło. Ukazało się kilka gwiazd. Zupełnie nieoczekiwanie przeleciał i zgasł meteor — zjawisko często obserwowane w tych regionach, gdy atmosfera nasycona jest elektrycznością.

— Zapowiada się piękna pogoda na jutro — zauważył Indianin w chwili, gdy jego goście podnosili się.

Rzeczywiście, najmądrzej było wrócić na *falcas*, ponieważ noc zapowiadała się sucha i spokojna. Lepiej będzie wypaść się na matach na pokładzie niż na ziemi w chacie indiańskiej.

Nazajutrz o świcie pasażerowie byli gotowi do opuszczenia Buena Visty. Nie tylko słońce wschodziło znad dość czystego horyzontu, lecz i wiatr dał od rufy z północnego wschodu, tak że żagle mogły zastąpić *palancas*. Poza tym nie było zbyt daleko od Urbany, gdzie był przewidziany dwudziestoczworogodzinny odpoczynek.

Jeśli nie zajdzie nic niespodziewanego, *falcas* powinny tam dotrzeć po południu.

Señor Miguel wraz ze swoimi przyjaciółmi, sierżant Martial i Jean de Kermor pożegnali się z indiańską rodziną. Następnie „Gallinetta” i „Maripare”, z podniesionymi żaglami, skierowały się ku przejściom, które pozostawiły piaszczyste łachy.

Dwie pirogi płynęły razem w górę rzeki pod podmuchami wiatru. Dopóki mogły trzymać się lewego brzegu, dopóty bryza była sprzyjająca i nie było potrzeby używania *palancas*. Płynęły w ten sposób aż do ujścia rzeki Arauca, ważnego dopływu Orinoko, do którego wlewa swe wody zebrane na zboczach Andów.

Żegluga w górę pod prąd trwała cały ranek; około jedenastej trzeba było przepłynąć rzekę w poprzek, gdyż Urbana leży na prawym brzegu. Tu zaczęły się trudności, które opóźniały podróż. Między ławicami z bardzo miążkiego piasku, teraz zwężonymi przyborem wód, należało często i raptownie skręcać łodziami. Po chwili, zamiast wiatru od rufy, *falcas* napotkały wiatr od przodu. Musiano zwinąć żagle i posuwać się za pomocą *palancas*. Gdy trzeba było popłynąć pod gwałtowny w tym miejscu prąd, wszystkie ramiona musiały się wyteńczyć, by ten nie porwał ich w dół rzeki.

Zegarki wskazywały więc drugą po południu, gdy „Gallinetta” i „Maripare”, jedna za drugą, dobijały do wyspy nazwanej tym samym imieniem co osada. Zalesiona wyspa przedstawiała zupełnie inny widok niż nadbrzeżne llanosy; można było nawet zauważyć próby uprawy roli.

Ponieważ marynarze wyglądali na bardzo zmęczonych uciążliwymi manewrami pod gołym niebem, które paliło równikowym ogniem, kapitanowie zarządzili godzinną przerwę na posiłek i na odpoczynek. *Falcas* przycumowały wzdłuż brzegu, a pasażerowie zeszli na ląd, gdzie kilka drzew kusiło ich cieniem.

Wbrew sierżantowi Martialowi, między pasażerami obu piróg zrodziła się zażyłość, co jest zupełnie naturalne, gdy podróżuje się w takich warunkach. Stronienie od ludzi nie miałoby sensu. *Señor Miguel* mniej niż kiedykolwiek ukrywał, że młody de Kermor wzbudza w nim żywe zainteresowanie i sympatię. Sierżant Martial musiał się z tym pogodzić. Postój upływał na pogawędkach; marynarze w tym czasie spali w cieniu drzew.

Okolo trzeciej Valdez dał sygnał do odpłynięcia. Pirogi trzeba było holować na linach aż do południowego krańca wyspy. Stąd należało przetrawersować skośnie drugą połowę szerokości rzeki.

Ostatniego etapu żeglugi nie zakłócił żaden wypadek i przed wieczorem dwie *falcas* zawinęły do Urbany.

VIII

Tuman kurzu na horyzoncie

Panowie Miguel, Felipe i Varinas oraz sierżant Martial i Jean de Kermor liczyli, że w Urbanie pozostaną tylko jedną noc. Do brzegu przybili około piątej wieczorem, a osada była w stanie zaspokoić wszystkie ich potrzeby.

Najwłaściwsze co mogli zrobić, to udać się do naczelnika wioski. Był nim Mulat w wieku około pięćdziesięciu lat. Jego władza rozciągała się na llanosy tego dystryktu, a także na policję rzeczną. Mieszkał tu ze swą żoną Metyską i półtuzinem dzieci od sześciu do osiemnastu lat, synów i córek, silnych i tryskających zdrowiem.

Gdy dowiedział się, że *señor* Miguel i jego dwaj koledzy są ważnymi osobistościami w Ciudad Bolivar, przyjął ich bardzo godnie i zaprosił do spędzenia wieczoru w swojej chacie. Zaproszenie obejmowało także pasażerów „Gallinety”. Jean de Kermor był tym bardziej ucieszony, że spodziewał się uzyskać informacje o swych rodakach, których los nie przestawał go zajmować.

Dowódcy Valdez i Martos zajęli się zaopatrzeniem piróg w żywność: uzupełnieniem zapasów cukru, słodkich ziemniaków, a przede wszystkim *rayo*, czyli mąki z manioku roztartej w kamiennych żarnach, której używa się w regionach środkowego Orinoko powszechnie, aby nie powiedzieć wyłącznie, do wypieku chleba.

Obie *falcas* ustawiły się tyłem do dość stromego brzegu w głębi małej zatoczki, która tworzyła rodzaj portu, gdzie cumowało kilka *curiaries* i czółen rybackich. Cumowała także trzecia *falca* pod strażą tubylczego kapitana. Była to łódź dwóch badaczy francuskich — Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne. Załoga już od sześciu tygodni czekała na nich w Urbanie, ogromnie zaniepokojona.

Po kolacji pasażerowie udali się do chaty naczelnika wioski. Cała rodzina zgromadziła się w głównej izbie, wyposażonej jedynie w stół, fotel z jeleniej skóry i ozdobionej kilkoma myśliwskimi atrybutami. Na ten wieczór zostało zaproszonych wielu „notabli” Urbany, a wśród nich jeden człowiek z okolicy. Osobnik ten był znany Jeanowi, a to dzięki portretowi, który zamieścił Chaffanjon w swej relacji. A oto co o nim pisał: „*Señor* Marchal, Wenezuelczyk w podeszłym już wieku, przybył przed kilkunastoma laty, aby osiedlić się w Tigrze, usytuowanej poniżej Urbany. Jest prawdziwym mędrce. Porzucił politykę, by hodować bydło. Założył *hato**, w którego *corralu* zamknął setki zwierząt obrządzanych przez kilku *peonów* i ich rodziny. Wokół *hato* rozciągały się pola manioku, kukurydzy, trzciny cukrowej, ograniczone plantacją wspaniałych bananowców, co pozwalało wyżywić ten mały świat, szczęśliwy i spokojny”.

Tenże *señor* Marchal, którego do Urbany sprowadziło w tym czasie kilka spraw, zaszedłszy do naczelnika wioski, swego przyjaciela, został oczywiście zaproszony na wieczór. Ten wspaniały starzec z ogromną przyjemnością gawędził z Jeanem w miejscowym języku. Wspominał, że przed

pięciu laty rodak Jeana przebywał jakiś czas w jego *hato* — zbyt krótko, ku jego widocznemu żalowi.

— Za wszelką cenę chciał kontynuować swą awanturniczą podróż! — dorzucił *señor* Marchal. — To był odważny pionier, moje drogie dziecko. Lekceważąc niebezpieczeństwa zbadał naszą narodową rzekę aż do jej źródeł i to ryzykując życie. Oto Francuz, który przynosi zaszczyt Francji!

Słowa te, wypowiedziane z prawdziwym przejęciem, świadczyły, że serce szacownego Wenezuelczyka zachowało dużo ciepła dla jego dawnego gościa.

Señor Marchal i naczelnik wioski dowiedzieli się oczywiście, jaki cel przyświeca wyprawie panów Miguela, Felipe i Varinasa. Popatrzyli na siebie nie bez zdziwienia. Czyż dla nich kwestia Orinoko nie była już od dawna rozstrzygnięta i to na korzyść *señora* Miguela?

Zebrani zaczęli rozmawiać o dwóch Francuzach, których powrotu oczekiwano nadaremnie w Urbanie. Gdy przybyli tu, przyjmował ich naczelnik wioski. *Señor* Marchal także ich gościł przez jeden dzień w swoim *hato* w Tigrze.

— I od tego czasu — zapytał *señor* Miguel — nic pan o nich nie słyszał?...

— Zupełnie nic — odpowiedział naczelnik wioski. — Llanerosi, wracający ze wschodu, których rozpytywaliśmy wiele razy, także ich nie spotkali.

— A czy nie mieli zamiaru — podjął Jean — podążać w górę Orinoko?

— Tak, moje drogie dziecko — rzekł *señor* Marchal — i zamierzali zatrzymywać się w różnych wioskach nadbrzeżnych. Podróżowali trochę bez celu, jak mi oświadczyli. Jeden z nich, Germain Paterne, zbierał zioła z zamiłowaniem prawdziwego przyrodnika. Drugi, Jacques Helloch, zapamiętały myśliwy, pasjonował się zagadnieniami geograficznymi, opisem okolic, określaniem biegu rzek.

— Miejmy nadzieję — powiedział *señor* Varinas — że nie przydarzyło się im nic złego!

— Trzeba mieć taką nadzieję — odrzekł naczelnik wioski — chociaż ich nieobecność jest już zbyt długa.

— Czy to pewne — zapytał *señor* Felipe — że muszą wrócić do Urbany?

— W tym względzie nie ma wątpliwości, gdyż oczekuje ich tu piroga, ze wszystkimi zbiorami oraz sprzętem obozowym.

— Gdy wyruszali — zabrał głos Jean — czy mieli jakiegoś przewodnika... eskortę?

— Tak... kilku Mapoyosów, których im poleciłem — odrzekł naczelnik.

— A był pan pewny tych ludzi? — zapytał z naciskiem *señor* Miguel.

— Tak pewny, jak tylko można być, jeśli dotyczy to Indian z interioru*.

— A czy wiadomo — podjął Jean — którą część tego terytorium zamierzali przemierzyć?

— Musieli udać się w kierunku *sierra** Matapey, na wschód od Orinoko, do krainy mało znanej, do której mogą dotrzeć jedynie Varurosi lub Mapoyosi. Wasi rodacy i szef eskorty byli na koniach, pozostali Indianie, w liczbie pół tuzina, towarzyszyli im pieszo, niosąc worki — odrzekł *señor* Marchal.

— Czy na tym terenie, na wschód od Orinoko, zdarzają się powodzie? — zapytał Jean de Kermor.

— Nie — odpowiedział *señor* Miguel — poziom llanosów jest znacznie wyższy od poziomu morza.

— Oczywiście, *señor* Miguel — dodał naczelnik wioski — lecz zdarzają się tam trzęsienia ziemi, a wie pan, że nie należą one do rzadkości w Wenezueli.

— W każdej porze? — zapytał chłopiec.

— Nie — stwierdził *señor* Marchal — w pewnych okresach, a dokładniej — od miesiąca dość silne wstrząsy odczuwane są aż do *hato* w Tigrze.

Rzeczywiście ziemia wenezuelska jest wstrząsana wulkanicznym ciśnieniem, mimo że w górach nie ma czynnych kraterów. Humboldt mógł więc ją nazwać: „Kraj trzęsień ziemi w pełnym tego słowa znaczeniu”.

Señor Marchal zwrócił się do sierżanta Martiala:

— Wiemy, dlaczego panowie Miguel, Varinas i Felipe przedsięwzięli wyprawę na Orinoko. Pańska podróż, bez wątpienia, nie ma tego samego celu...

Sierżant Martial wykonał wyraźnie zaprzeczający gest, lecz na znak Jeana powstrzymał się od wyrażenia swej pogardy dla problemów geograficznych.

Młody chłopiec zaczął opowiadać swoją historię. Mówił o przyczynach, jakie skłoniły go do opuszczenia Francji i o synowskim uczuciu, któremu był posłuszny płynąc w górę Orinoko w nadziei uzyskania jakichś nowych informacji w San Fernando, skąd został wysłany ostatni list, napisany przez ojca.

Stary *señor* Marchal nie mógł ukryć wzruszenia. Wziął Jeana za rękę, uściskał w swych ramionach, ucałował w czoło — co spowodowało głuche pomruki sierżanta. Było to coś w rodzaju błogosławieństwa, połączonego z najgorętszymi życzeniami powodzenia w poszukiwaniach.

— Lecz ani pan, *señor* Marchal, ani naczelnik wioski nie słyszeliście nic o pułkowniku de Kermorze? — zapytał chłopiec.

Odpowiedź była negatywna.

— Być może — podjął naczelnik wioski — nie zatrzymywał się w Urbanie. Jednakże zdziwiłoby mnie to, gdyż właściwie wszystkie przepływające pirogi przybijają tu, by się zaopatrzyć w żywność. Było to w roku 1879...

— Tak, panie — odpowiedział Jean. — Czy mieszkał pan już wtedy w tej wiosce?...

— Na pewno, i nigdy nie słyszałem, żeby pułkownik de Kermor tędy przepływał.

Ciągle to incognito, jakby pułkownik chciał się ukrywać od chwili swego wyjazdu.

— To jeszcze nic nie znaczy, drogie dziecko — dodał *señor* Miguel — to niemożliwe, aby twój ojciec nie zostawił jakichś śladów swego pobytu w San Fernando. Tam na pewno otrzymacie jakieś informacje.

Wizyta u naczelnika wioski przeciągnęła się do godziny dziesiątej. Pirogi nazajutrz o wschodzie słońca miały wyruszyć w dalszą drogę. Jean wyciągnął się na posianiu w końcu kabiny, a sierżant Martial rozłożył się na swoim, skończywszy najpierw swe zwykłe polowanie na moskity. Obaj wkrótce zasnęli, lecz sen nie trwał długo. Około drugiej w nocy obudził ich jakiś oddalony, ciągły i narastający hałas. Był to głuchy huk, jednakże niepodobny do przetaczania się grzmotów, nawet oddalonych. Wody rzeki, poddane osobliwym wstrząsom, kołysały „Gallinetą”.

Sierżant Martial i chłopiec zerwali się i wyszli na pokład. Kapitan Valdez wraz z marynarzami obserwował horyzont.

— Co to jest, Valdez? — zapytał Jean.

— Nie wiem.

— Czy to zbliża się burza?

— Nie... niebo jest bezchmurne, bryza wieje ze wschodu i jest słaba...

— To skąd te dziwne zjawiska?

— Nie wiem... nie wiem — powtarzał Valdez. Również załoga i pasażerowie „Maripare” na próżno próbowali znaleźć przyczynę tego fenomenu. Obie *falcas* odczuwały wzburzenie wód, a również tereny przybrzeżne nie były wolne od podobnych wstrząsów. Prawie w tej samej chwili mieszkańcy Urbany opuścili swe chaty i podążyli ku brzegowi. *Señor* Marchal i naczelnik wioski dołączyli do przerażonej ludności. Było już wpół do piątej rano; wstawał dzień. Pasażerowie obu łodzi zeszli na brzeg.

— Co się dzieje? — zapytał *señor* Miguel.

— To bez wątpienia trzęsienie ziemi w *sierra* Matapey — odrzekł naczelnik — i wstrząsy rozprzestrzeniły się aż pod koryto rzeki...

— Ale — zauważył *señor* Miguel — czy słyszycie ten szum dochodzący ze wschodu?

Dało się słyszeć coś w rodzaju buczenia, o niskich tonach, ciągłego odgłosu niewiadomego pochodzenia.

— Słyszemy — powiedział *señor* Marchal. — Nie sądzę, żeby Urbana miała się czego obawiać...

— Takie jest również moje zdanie — oświadczył naczelnik wioski — i nie ma żadnego powodu, żeby tu stać.

Tylko niewielu mieszkańców posłuchało tej rady. Wszyscy czekali na świt. Po upływie trzech godzin odległy dotąd odgłos narastał w dziwny sposób. Czyżby wstrząsy wywoływało trzęsienie ziemi, którego centrum znajdowało się w *sierra* Matapey? Wioska nieraz już je odczuwała. Natomiast jeśli chodzi o dźwięki, podobne do odgłosu maszerującej armii, nikt nie znał jeszcze prawdziwej przyczyny.

Naczelnik wioski i *señor* Marchal w towarzystwie pasażerów obu *falcas* skierowali się do podnóża *cerro* Urbany, by móc obserwować okolicę w jak najszerszym promieniu. Słońce, wstępujące na bardzo czyste niebo, podobne było do ogromnego balonu napelnionego świecącym gazem, który poranna bryza przesuwiała ku brzegom Orinoko. Na horyzoncie żadnego obłoku. Gdy obserwatorzy wspięli się jakieś trzydzieści metrów wyżej, skierowali swój wzrok na wschód. Przed nimi rozciągał się bezkres, ogromna zielona równina, „ciche morze traw” — według poetyckiej metafory Elisee Reclusa*. W rzeczywistości „morze” to nie było spokojne; musiało być potężnie wstrząsane w swych głębiach, gdyż w odległości czterech lub pięciu kilometrów lłanosy zakryte były kłębami kurzu.

— To jest gęsty pył — powiedział *señor* Marchal — unoszący się z ziemi.

— Ale to nie wiatr go unosi — dodał *señor* Miguel.

— Rzeczywiście, wiatr jest ledwo wyczuwalny — stwierdził *señor* Marchal. — Byłaby to więc wibracja?... Nie... to wyjaśnienie nie ma sensu.

— Poza tym — dorzucił naczelnik wioski — skąd ten hałas, przypominający ociężały marsz...

— Cóż to więc jest?! — zawołał *señor* Felipe. W tym samym momencie, jakby w skierowanej do niego odpowiedzi, dała się słyszeć detonacja, wystrzał z broni palnej, który powtarzało echo *cerro* Urbany i po którym nastąpiły dalsze.

— Strzały z fuzji!... — zawołał sierżant Martial. — Są to strzały z broni palnej albo się wcale na tym nie znam!

— Pewnie na równinie polują myśliwi — zauważył Jean.

— Myśliwi? — zdziwił się *señor* Marchal. — Nie spowodowaliby takich tumanów kurzu, nawet

gdyby był ich legion.

Jednakże trudno byłoby zaprzeczyć, że wybuchy pochodziły z broni palnej, rewolwerów lub karabinów. Dostrzec można było nawet białawe obłoczki, odcinające się na żółtej chmurze pyłu. Zresztą rozległy się nowe strzały, w takiej odległości, że lekki wiatr wystarczył, by je przynieść aż do wioski.

— Według mnie, panowie — powiedział *señor* Miguel — powinniśmy się tam udać, by dowiedzieć się co się dzieje.

— I pomóc ludziom, którzy być może potrzebują wsparcia — dodał *señor* Varinas.

— Kto wie — rzekł Jean spoglądając na *señora* Marchala — czy nie są to moi rodacy.

— Tylko tysiące ludzi może wywołać taki kurz! — odrzekł starzec. — Pan ma rację, *señor* Miguel, zejdźmy na równinę.

— Dobrze uzbrojeni! — dorzucił *señor* Miguel.

Środki ostrożności były jak najbardziej wskazane, jeśli rzeczywiście byli to dwaj Francuzi, zaatakowani przez Indian z tych okolic. Za chwilę jedni wrócili do swych chat, drudzy do piróg. Naczelnik wioski z kilkoma mieszkańcami, trzech geografowie, sierżant Martial z siostrzeńcem — obrali kierunek przez llanosy, okrążając podnóże *cerro* Urbany. *Señor* Marchal również dołączył do nich.

Mała grupa podążała zwawym krokiem, ale widoczność nadal utrudniały gęste kłęby pyłu. Tymczasem widać było tylko błyski, towarzyszące detonacjom, które rozlegały się co chwilę, coraz lepiej słyszalne. Hałas głuchy i rytmiczny narastał w miarę, jak przybliżała się jakaś niska i pełzająca masa, która ukrywała się jeszcze przed wzrokiem.

Po przebyciu około kilometra, *señor* Marchal, maszerujący na czele wraz z naczelnikiem wioski, z karabinem gotowym do strzału, nagle się zatrzymał.

— Żółwie... to są żółwie! — krzyknął.

I nie mylił się. Tak!... żółwie, setki tysięcy, być może więcej, podążało do prawego brzegu rzeki. A skąd ten anormalny exodus, niezgodny z ich zwyczajami, gdyż minęła już pora składania jaj?... *Señor* Marchal wyjaśnił tę kwestię w sposób, który i pozostałym przyszedł do głowy.

— Myślę, że zwierzęta te zostały przestraszone trzęsieniem ziemi... Pewnie wyrzucone z koryt rzek Tortuga i Suapure przybyły szukać schronienia w Orinoko lub nawet dalej... pchane instynktem samozachowawczym...

Było to wyjaśnienie zupełnie naturalne i jedyne do przyjęcia. *Sierra* Matapey i okolice musiały być dogłębnie zniszczone przez trzęsienie ziemi. Podobna inwazja, w podobnych warunkach, miała już miejsce poza miesiącem marcem i kwietniem, kiedy to występuje dość regularnie i nie jest zaskoczeniem dla mieszkańców terenów nadrzecznych. Obecnie jednak mogli się poczuć zagrożeni.

Któż to bronił się przed tymi pełzającymi gadami?... Zresztą, co mogły zrobić kule ich nie dającym się przebić skorupom?... Tysiące żółwi posuwało się w zwartej masie, ściśniętych jedne obok drugich. Była to jakby jedna ogromna płaszczyzna skorup, pokrywająca powierzchnię wielu kilometrów kwadratowych, która przemieszczała się.

Po tej ruchomej płaszczyźnie kręciło się wiele zwierząt, które — chcąc uniknąć zmiżdżenia — w taki sposób szukały ratunku. Widać było tu zaskoczone tą inwazją stado wyjców*, które wydawały się „znajdować to zabawnym”, mówiąc słowami sierżanta Martiala. Następnie dostrzeżono liczną zwierzynę płową, zamieszkującą rozległe równiny wenezuelskie, jaguary, pumy, tygrysy, oceloty, nie mniej groźne niż gdyby biegały w lesie czy w pampasach. To przed tymi drapieżnikami bronili się dwaj mężczyźni, strzelając z fuzji i rewolweru.

Na grzbietach żółwów skorup leżało już kilka trupów zwierzęcych. Falująca powierzchnia utrudniała ruchy tylko ludziom, których stopy nie znajdowały stałego oparcia, ale czworonogi i małpy nie zwracały na to uwagi.

Kim byli ci dwaj mężczyźni?... Ani *señor* Marchal, ani naczelnik wioski nie mogli ich, z powodu znacznej odległości, rozpoznać. Jednakże, patrząc na ich ubrania, można było stwierdzić, że nie byli to Varurosi ani Mapoyosi, ani inni Indianie zamieszkujący terytoria środkowego Orinoko. Czyżby to byli więc dwaj Francuzi, szukający przygód na wschodnich równinach, a których powrotu nadaremnie oczekiwano?

Panowie Marchal, Miguel, Felipe i Varinas, naczelnik wioski i towarzyszący mu mieszkańcy zatrzymali się. Wkrótce musieli się cofnąć, nie mogąc dotrzeć do dwóch ludzi, otoczonych ze wszystkich stron stadem drapieżników. Lecz Jean nalegał, aby iść im z pomocą, nie wątpiąc, że ci dwaj ludzie to badacz i przyrodnik francuski...

— To niemożliwe — powiedział *señor* Marchal — i bezsensowne. Można narazić jedynie własne życie. Lepiej pozwolić żółwiom dotrzeć do rzeki... Tam... ich masa rozpułynie się sama...

— Bez wątpienia — rzekł naczelnik — ale grozi nam wielkie niebezpieczeństwo!

— Jakie?

— Jeśli te tysiące żółwi napotkają na swojej drodze Urbanę... będzie to koniec naszej osady!

Niestety, nie można zapobiec tej katastrofie. Po obejściu podnóża ceno, powolna i nie do pokonania lawina skieruje się na Urbanę, od której dzieliło ją jeszcze dwieście metrów.

— Ogień... ogień! — krzyknął *señor* Marchal. *Señor* Marchal został natychmiast zrozumiany i wszyscy wzięli się do dzieła.

Przed osadą rozciągały się rozległe łąki, pokryte gęstą trawą, którą dwa dni piekącego słońca całkowicie wysuszyły i na której kilka gwajaw* i innych drzew wznosiło swe gałęzie obciążone owocami. Podpalono trawę w kilkunastu miejscach jednocześnie, o sto kroków od Urbany. Płomienie wybuchły jakby spod ziemi. Gęsty dym mieszał się z chmurą pyłu, która opuszczała się ku rzece.

Tymczasem masa żółwi ciągle parła do przodu.

Czy będzie się tak posuwać aż do czasu, gdy pierwszy szereg zbliży się do ognia?

Tymczasem dwóm mężczyznom, na ruchomej masie, kończyły się już naboje. Na szczęście wsparli ich swymi fuzjami sierżant Martial, *señor* Miguel, jego przyjaciele i posiadający broń mieszkańcy wioski. Kilka drapieżników, wziętych w dwa ognie, padło pod kulami. Pozostałe, wystraszone wirującymi kłębam płomieni, próbowały uciekać. Małpy wypełniały powietrze przeraźliwym wyciem. Zebrani dostrzegli, jak dwaj ludzie zbliżają się do bariery ognia — wraz z pierwszym szeregiem żółwi, posuwającym się powoli, lecz ciągle do przodu... Minutę później Jacques Helloch i Germain Paterne — bo byli to oni — znaleźli się po drugiej stronie *cerro*, obok *señora* Marchala, a więc poza niebezpieczeństwem.

Natomiast masa gadów, skręcając od kurtyny ognia rozciągniętej na długości pół kilometra, skierowała się na lewo, ominęła osadę, a następnie popęzła ku rzece i zniknęła w wodach Orinoko.

IX

Trzy pirogi żeglują wspólnie

W następstwie tej niezwyklej inwazji, która groziła całkowitym zniszczeniem Urbany, odpłynięcie *falcas* zostało opóźnione o dwadzieścia cztery godziny. Jeśli dwaj Francuzi mieli zamiar kontynuować swe badania wzdłuż biegu Orinoko aż do San Fernando de Atabapo, lepiej byłoby udać się w górę rzeki razem z nimi. A w takim wypadku należało dać im czas na odpoczynek i przygotowanie do dalszej podróży.

Oczywiście tak postanowili panowie Miguel, Felipe i Varinas. Natomiast zastanawiano się, nie bez zdziwienia, dlaczego podobnego zdania nie byli wuj i siostrzeniec. Przecież Jacques Helloch i Germain Paterne, mając własną pirogę, nie byłiby dla nikogo ciężarem czy przeszkodą.

Jacques Helloch, mężczyzna dwudziestosześcioletni, pochodził z Brestu*. Minister Edukacji Publicznej powierzył mu ekspedycję mającą na celu zbadanie dorzecza Orinoko. Przed sześcioma tygodniami przybył w okolice delty rzeki.

Uważano tego młodego człowieka, całkiem słusznie, za bardzo zasłużonego eksploratora, łączącego odwagę z ostrożnością; dał już wiele dowodów swej wytrzymałości i energii. Czarne włosy, błyszczące oczy, cera ożywiana szlachetną krwią, wzrost powyżej średniego, mocna budowa, naturalna elegancja całej postaci zjednywały mu życzliwość. Jego fizjonomia, zarazem poważna i wesoła, wzbudzała sympatię.

Jego towarzysz, Germain Paterne, mający dwadzieścia osiem lat, dołączony do tej naukowej misji przez ministra, był także Bretończykiem. Wywodził się z szanowanej rodziny z Rennes*. Jego ojciec, radca Sądu Apelacyjnego, matka i dwie siostry cieszyli się życiem i powszechnym szacunkiem. Natomiast Jacques Helloch, jedynak, stracił już był swych rodziców. Odziedziczył po nich niemałą fortunę, wystarczającą na zaspokojenie jego upodobań obecnie i w przyszłości.

Germain Paterne, nie mniej dzielny niż jego kolega z college'u, lecz o charakterze zupełnie odmiennym, szedł tam, gdzie Jacques Helloch go prowadził. Pasjonował się naukami przyrodniczymi, a szczególnie botaniką i wcale nie mniej fotografią. Fotografowałby nawet pod ogniem wystrzałów.

Naukowcy francuscy, po zbadaniu Orinoko, począwszy od licznych ramion jego ujścia aż do Ciudad Bolivar i od Ciudad Bolivar do Urbany, starali się rozpoznać wschodnią część dorzecza. Pozostawiwszy pirogi i bagaże w Urbanie, jeden wziął swe przyrządy obserwacyjne i doskonały wielostrzałowy karabin z wyrzutnikiem *hammer-less*, drugi zawiesił na plecach pudło przyrodnika i nie mniej wspaniałą broń tej samej firmy — nie licząc dwóch rewolwerów spoczywających w skórzanych kaburach.

Jacques Helloch i Germain Paterne skierowali się ku masywowi *sierra* Matapey, dotąd niezbyt dokładnie zbadanemu. Towarzyszyła im eskorta Mapoyosów, obciążona lekkim sprzętem obozowym.

Trzysta kilometrów dzieliło ich od brzegów Orinoko, gdy osiągnęli najdalszą granicę swej ekspedycji, która trwała trochę ponad trzy tygodnie. Po prześledzeniu biegu Suapure na południe, *rio* Tortuga i *rio* Chaffanjon na północ, po zdjęciu pomiarów orograficznych i hydrograficznych, zebraniu roślin, które miały wzbogacić zielnik przyrodnika, przed piętnastoma dniami rozpoczęli powrotną podróż. Wtedy to nastąpiły niebezpieczne i nieoczekiwane wydarzenia.

Na początku dwaj młodzi ludzie zostali zaatakowani przez grupę Indian Bravos, którzy wałęsają się w interiorze. Gdy, odpierając z trudem ataki, musieli cofnąć się wraz z eskortą aż do stóp *sierra* Matapey, przewodnik ze swymi ludźmi opuścił ich zdradziecko. Okradzeni z wyposażenia, pozbawieni części przyrządów i broni, gdy znajdowali się jeszcze jakieś dwadzieścia mil od Urbany, postanowili skierować się ku osadzie, polując dla zapewnienia codziennego pożywienia, obozując pod drzewami, czuwając i śpiąc na przemian.

I właśnie wtedy, przed czterdziestu ośmioma godzinami, w następstwie trzęsienia ziemi, ich obozowisko zaskoczył ten nieprawdopodobny exodus żółwi. Nie mogli uciec przed tą masą, gdyż przejście zostało zamknięte przez drapieżniki, popychane przez nią do przodu. Dali się ponieść gadom, kierującym się ku prawemu brzegowi Orinoko — co było zarazem i ostrożne, i korzystne. Z początku, oprócz nich, na taki sam pomysł wpadły jedynie małpy, a dzisiaj, na kilka mil od rzeki, wiele oszalałych zwierząt wzięło przykład z tych czterorękich. Sytuacja stała się więc bardzo niebezpieczna. Musieli bronić się przed drapieżnikami. Kilka z nich zostało zabitych, podczas gdy ta żywa rzeka, przypominająca ruchome chodniki wielkich miast Ameryki, zbliżała się powoli do Orinoko. W każdym razie Jacques Helloch i Germain Paterne mieli ostatnie naboje, gdy za zasłoną płomieni broniących osady, dostrzegli pierwsze domy Urbany.

Taka była opowieść Jacquesa Hellocha, który nie myślał też w niczym zmieniać planu dalszej podróży.

— Będę kontynuował rozpoznanie rzeki aż do San Fernando de Atabapo — oświadczył.

— Aż do San Fernando?... — powtórzył sierżant Martial, którego brwi wyraźnie się zmarszczyły.

— Ale ani mili dalej — odpowiedział Jacques Helloch.

— Ach!

I prawdopodobnie w ustach sierżanta Martiala to „ach” oznaczało raczej niezadowolenie. Przyszywany wuj Jeana de Kermora stawał się coraz bardziej nietowarzystki!

Ten ostatni musiał z kolei opowiedzieć swoją historię i Jacques Helloch zaczął okazywać żywe zainteresowanie temu siedemnastoletniemu zaledwie chłopcu, który nie cofał się przed ryzykiem takiej podróży. Ani jego towarzysza, ani on nie znali osobiście pułkownika de Kermora, lecz w Bretanii słyszeli o jego zniknięciu. A oto teraz przypadek sprawił, że spotkali to dziecko, które wyruszyło na poszukiwanie swego ojca. I Germain Paterne, który zachował jakieś wspomnienia o rodzinie de Kermor, próbował odnaleźć je w głębi swej pamięci...

Tego popołudnia przygotowania do podróży trzeciej pirogi zostały zakończone. Piroga nazywała

się „Moriche”, a dowodził nią Banivas o imieniu Parchal. Załoga składała się z dziewięciu Indian, czekających niecierpliwie, aby wziąć się do pracy.

Zaopatrzenie zostało uzupełnione i Jacques Helloch żałował tylko wyposażenia obozowego, skradzionego w czasie ekspedycji do *sierra* Matapey. Natomiast Germain Paterne, któremu udało się uchronić obficie wypełnioną skrzynkę okazów botanicznych, nie miał powodu, by się użalać.

Nazajutrz, 28 sierpnia, o bladym świcie, pasażerowie trzech pirog pożegnali naczelnika osady Urbana, *señora* Marchala i mieszkańców, którzy zgotowali im tak serdeczne przyjęcie.

Trzy/a/cos odpłynęły jedna po drugiej. Wzmagał się sprzyjający wiatr. Pirogi z podniesionymi żaglami popłynęły wzdłuż prawego brzegu, gdzie prąd był wyraźnie słabszy. Trzy *falcas* płynęły razem, już to rzędem, jedna za drugą, jak barki na Loarze — gdy zwężenie toru wodnego tego wymagało, już to w szeregu obok siebie — gdy przejście było wystarczająco obszerne.

Koryto Orinoko powyżej Urbany jest poprzegradzane rozległymi piaszczystymi plażami. W tamtym okresie plaże te, to prawda, że trochę skurczone przez przybór wody, tworzyły tyle wysp, z częścią środkową, zabezpieczoną od powodzi, że cała rzeka tonęła w zieleni. Stąd konieczność przeciskania się między wyspami — przez cztery ramiona rzeki, które one tworzyły i z których tylko dwa są żeglowne w okresie suszy.

Gdy tylko pirogi przybliżyły się do siebie na odległość kilku metrów, prowadzono rozmowy. Najczęściej pytano Jeana, który nie mógł uchylić się od odpowiedzi. Rozmawiano przede wszystkim o poszukiwaniach pułkownika de Kermora, o szansach na sukces. Jacques Helloch podtrzymywał na duchu młodego chłopca.

Przed południem flotylla przepłynęła ujście Capanaparo, potem Indabaro, która jest jedynie odnogą tego ostatniego dopływu.

Na szczęście wiała świeża bryza, do tego stopnia, że wykrzywione maszty — ze zwykłych pni ledwie okorowanych — zginały się pod naporem żagli. Jednakże nic nie trzasnęło i około trzeciej po południu łodzie dopłynęły przed *hato* w Tigrze, do posiadłości *señora* Marchala.

Począwszy od tego miejsca żegluga stała się trudniejsza. Dobrze, że wiatr zachował ten sam kierunek i siłę wystarczającą, aby *falcas* mogły płynąć pod prąd. Szerokość Orinoko była tu ograniczona do tysiąca dwustu metrów i liczne rafy wypełniały dość kręte łożysko. Wszystkie te trudności zostały pokonane dzięki zręczności żeglarzy. Około wpół do szóstej wieczorem trzy *falcas*, po przepłynięciu *rio* Carpo, zacumowały na nocny postój u ujścia *rio* Sinaruco. Mieszkało tu kilka rodzin Mapoyosów, z którymi *señor* Miguel i Jacques Helloch nawiązali kontakt. Gdy tylko pirogi przybiły do brzegu, podróżnicy wysiedli, a myśliwi udali się na polowanie.

Zgodnie z tutejszym obyczajem, na widok zbliżających się obcych, miejscowe kobiety zniknęły i pokazały się dopiero po przywdzianiu długich koszul. Przed chwilą nosiły tylko, podobnie jak mężczyźni, *guayuco* i za całą zasłonę miały jedynie długie włosy. Indianie z tych terenów są silni i dobrze zbudowani. Są dobrymi myśliwymi i zręcznie zagłębiają się w gęste lasy wyrosłe u ujścia Sinaruco.

Upolowano dwa dorosłe *pekari**. Tego wieczoru trzeba było zadowolić się ich mięsem, które zostało podzielone między trzy pirogi.

Nazajutrz wyruszono o świcie, gdy pasażerowie spoczywali jeszcze w kajutach. Wiatr ustalił się korzystnie z północy. Kapitanowie piróg Valdez, Martos i Parchal, rozpoczynając żeglugę o tak wczesnej godzinie, mieli nadzieję dotrzeć wieczorem do Cariben, czterdzieści kilometrów w dół od ujścia Mety*.

Dzień minął spokojnie. Poziom wody w rzece był dość wysoki i pirogi mogły swobodnie przebywać kapryśne *angosturas** między grzbietami raf, znajdujących się głównie na czole wyspy Paraguaza.

Po południu, gdy prawy brzeg stał się płaski, pirogi musiały przenieść się na lewy, aby popłynąć w górę *raudalu** Cariben — jedyne przejście w tej okolicy.

X

U ujścia Mety

Po osiągnięciu lewego brzegu rzeki trzy pirogi mogły przepłynąć *raudal* Cariben, na szczęście bez potrzeby wyładowywania bagaży. Około szóstej wieczorem przycumowały jedna za drugą w głębi małego portu.

Nazajutrz, 31 sierpnia, tuż przed wschodem słońca, zwolniono cumy. Żegluga byłaby pomyślna, gdyby utrzymała się bryza z północy (Orinoko od Urbany do San Fernando płynie wyraźnie na południe). Wiatr północny nadszedł co prawda, ale po kilku porywach ucichł i nie można już było liczyć na żagle, które opadły nieruchomo wzdłuż masztów. Trzeba było posłużyć się *palancas* i gara —patos, gdyż prąd, wzmożony jeszcze dopływem wód Mety — o kilka kilometrów w górę, był dość trudny do pokonania.

Około jedenastej powiał wiatr przeciwny i szyprowie łodzi musieli ściągnąć żagle. Żeglowano jedynie za pomocą *palancas*, wykorzystując tor wodny wzdłuż brzegu, gdzie był słabszy prąd. W ciągu tego dnia, ponurego i deszczowego zresztą, pirogi niezbyt daleko posunęły się w górę rzeki. O piątej po południu zarzuciły kotwice u ujścia Mety, za cyplem jej lewego brzegu, gdzie znalazły dość spokojną przystań.

Przed nadejściem nocy niebo się rozjaśniło. Już nie padało. W atmosferze zapanował głęboki spokój. Zachodzące słońce wysyłało przez chmury ostatnie promienie. Wody Mety zdawały się mieszać z wodami Orinoko, tworząc świetlistą drogę. *Falcas* ustawiły się burta przy burcie, z „Gallinetta” pośrodku. Było to tak, jakby podróżnicy zajmowali trzy pokoje we wspólnym domu, trzy pokoje z drzwiami otwartymi na oścież.

Czterej Francuzi i trzech Wenezuelczycy mieli więc okazję do zawarcia przyjaźni. Wszyscy uczestniczyli w rozmowie rozpoczętej przez Jacquesa Hellocha, dotyczącej geografii. Helloch, istotnie może trochę złośliwie, rozpoczął:

— *Señor* Miguel, oto zarzuciliśmy kotwicę u ujścia Mety...

— W rzeczy samej, monsieur Helloch.

— Czy jest ona jednym z dopływów Orinoko?

— Tak i to jednym z najważniejszych, ponieważ wlewa cztery tysiące pięćset metrów sześciennych wody na sekundę.

— A czy nie wypływa ona z wysokiej Kordyliery w Republice Kolumbijskiej?...

— Tak jak pan rzekł — wtrącił się *señor* Felipe, który nie bardzo rozumiał ku czemu zmierzał Jacques Helloch.

— A czy w swym biegu nie ma dopływów?

— Bardzo dużo — odpowiedział *señor Miguel* — a najważniejsze z nich to Upia i Humadea. U połączenia ich rzeka przybiera swą nazwę. Następnie Casanare, która daje swoje imię całej ogromnej przestrzeni llanosów.

— Mój drogi Jean — do niego zwrócił się z kolei Jacques Helloch — jeśli pozwolisz, żebym cię tak nazywał...

Chłopiec zarumienił się lekko, a sierżant Martial zerwał się jakby podrzucony jakąś sprężyną.

— Co z panem, sierżancie? — zdziwił się *señor Miguel*.

— Nic! — odrzekł stary żołnierz, siadając ponownie.

Jacques Helloch podjął więc:

— Mój drogi Jean, sądzę, że nie będziemy mieli drugiej podobnej okazji do rozmowy o Mecie, która płynie właśnie przed naszymi oczyma.

— I powinieneś dodać — zauważył Germain Paterne, zwracając się w stronę *señora Miguela* i jego dwóch kolegów — że nie będziemy mieć nigdy lepszych profesorów, którzy mogą nas oświecić w tej materii.

— Jesteście bardzo uprzejmi, panowie — odpowiedział *señor Varinas* — lecz nie znamy dobrze Mety. Ach! gdyby dotyczyło to Guaviare...

— Lub Atabapo! — odciął się *señor Felipe*.

— Dopłyniemy i tam, panowie — podjął Jacques Helloch.

— Niemniej jak sądzę, *señor Miguel* jest bardzo mocny w hydrografii Mety i pozwolę sobie w dalszym ciągu zapytać go, czy ten dopływ Orinoko nie osiąga czasami znacznej szerokości.

— Rzeczywiście... szerokość Mety może dochodzić nawet do dwóch tysięcy metrów — odparł *señor Miguel*.

— A jej głębokość?

— Obecnie, odkąd tor wodny jest oznakowany, statki mogą się zanurzać do sześciu stóp i dopływać w porze deszczowej aż do ujścia Upii i na trzecią część tej odległości w czasie suszy.

— Widać więc z tego — stwierdził Jacques Helloch — że Meta jest całkowicie naturalną drogą komunikacyjną między Kolumbią i Atlantykiem...

— Temu nie da się zaprzeczyć — odrzekł *señor Miguel*.

— No więc, panowie, czy Meta nie mogłaby być samym Orinoko?

Natychmiast rozwinęła się dyskusja, a śmiałkowie, którzy odważyli się podnieść problem biegu Orinoko, zostali zalani argumentami, jak strumieniami ulewy. Dyskusja przeciągnęłaby się niewątpliwie do późnej nocy, gdyby Jean de Kermor nie zmienił tematu, zadając o wiele poważniejsze pytanie *señorowi* Miguelowi. Według przewodnika, którym posługiwał się w czasie podróży, w dorzeczu Mety pojawili się niebezpieczni Indianie. Poprosił więc o wyjaśnienia w tej sprawie.

— Chodzi o Quivasów — powiedział *señor* Miguel — szczep, którego okrucieństwo dobrze znają podróżni płynący do San Fernando. Mówi się także, że jedna z grup tych Indian przekroczyła rzekę i dotarła na wschodnie terytoria, gdzie grabi i morduje.

— Czy przywódca tej bandy przypadkiem nie zginął? — zauważył Jacques Helloch, który słyszał co nieco o tej zgrai złoczyńców.

— Rzeczywiście, nie żyje — odparł *señor* Miguel — nie żyje od około dwóch lat.

— A kto to był?...

— Jakiś Murzyn zwany Sarrapia. Banda obrała go na przywódcę i potem zastąpiła zbiegłym galernikiem...

— A Quivasi, którzy zostali nad Orinoko?... — zapytał Jean.

— Nie są wcale lepsi — potwierdził *señor* Miguel — i dla ostrożności powinniśmy trzymać straż dopóty, dopóki nie przepłyniemy tych terenów.

— Oczywiście, jest nas dużo, wliczając naszych marynarzy, którzy wydają się oddani — stwierdził Jacques Helloch — i nie brakuje nam broni ani amunicji. Mój drogi Jeanie, możesz tej nocy spać spokojnie. Będziemy czuwać nad tobą.

— Wydaje mi się, że to należy do mnie! — zauważył oschle sierżant Martial.

— To jest obowiązkiem nas wszystkich, drogi sierżancie — odparł Jacques Helloch — a najważniejsze, żeby pański siostrzeniec nie został pozbawiony snu, który jest tak ważny w jego wieku.

— Dziękuję panu, monsieur Helloch — powiedział chłopiec uśmiechając się — lecz będzie lepiej, jeśli każdy z nas będzie strzegł tego, co do niego należy.

— Każdy na swoim posterunku! — dorzucił sierżant Martial. Obiecywał sobie, że gdy nadejdzie kolej ich warty, nie przerwie snu Jeanowi i sam będzie czuwał nad obozowiskiem.

Tak też postanowiono. Wartę od ósmej do jedenastej wieczorem powierzono dwóm Francuzom. Od jedenastej do drugiej po północy zastąpi ich *señor* Miguel wraz z kolegami. Następnie do świtu straż pełnić będą Jean de Kermor i sierżant Martial. Pasażerowie „Gallinety” i „Maripare” poszli

więc wyciągnąć się na swych esterach. Również załogi, po męczącej pracy przy holowaniu łodzi, udały się na zasłużony odpoczynek.

Jacques Helloch i Germain Paterne zajęli stanowisko na rufie pirogi. Stąd ich dozór mógł się rozciągać w górę i w dół rzeki, jak również na ujście Mety. Od strony brzegu nie było czego się obawiać, gdyż był tutaj tak bagnisty, że praktycznie niedostępny. Na firmamencie, bezchmurnym i bez śladu mgieł, błyszczały gwiazdy. Wiatr ustał prawie całkowicie, tylko od czasu do czasu dawały się odczuć jego lekkie podmuchy. Krzyż Południa jaśniał kilka stopni ponad południowym horyzontem. W tych warunkach najmniejszy hałas — szum łodzi tnącej wodę lub plusk wiosła — będzie słyszany z daleka. Wystarczy obserwować uważnie brzeg rzeki, by dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo.

Było widoczne, że Jean de Kermor wzbudza żywą sympatię Jacquesa Hellocha. Tenże nie bez obawy obserwował młodego chłopca, rzuconego w tak pełną niebezpieczeństw podróż. Podziwiając szlachetne i godne szacunku pobudki obawiał się niebezpieczeństw, jakie niósł ze sobą jego zamiar dotarcia... właśnie dokąd? Tego nie wiedział.

— Widzisz, Germain — mówił Jacques Helloch — nie mogę sobie wyobrazić, że to dziecko, gdyż jest to jeszcze dziecko, może się zapuścić w regiony górnego Orinoko! I prowadzone przez kogo? Przez tego starego pocziwca, niewątpliwie o wspaniałym sercu, lecz który nie wygląda na najlepszego przewodnika dla swego siostrzeńca, gdy okoliczności staną się trudne...

— Czy to naprawdę jego wuj? — przerwał Germain Paterne. — Wydaje mi się to co najmniej wątpliwe.

— Czy sierżant Martial jest lub nie wujem Jeana de Kermora — podjął Jacques Helloch — to nie takie ważne, pod warunkiem, że ten stary żołnierz jest jeszcze mężczyzną w sile wieku, mającym doświadczenie w tak niebezpiecznych wyprawach! Zastanawiam się także ciągle, jak on mógł zezwolić...

— Zezwolić... dobrze powiedziałaś, Jacques — podkreślił Germain Paterne, strząsając popiół z fajki. — Tak, jak mógł wyrazić zgodę, gdyż to bez wątpienia nasz dzielny chłopiec wpadł na pomysł tej podróży. To on wciągnął w to swego wuja. Nie... z pewnością ten zrzęda nie jest jego wujem, gdyż — jeśli dobrze pamiętam — pułkownik de Kermor nie miał żadnej rodziny, gdy opuszczał Nantes.

— A gdzie miał zamiar się udać?

— Tego właśnie nikt nie wie.

— Ostatni list został napisany w San Fernando. Oczywiście, jeśli te informacje są pewne...

— To prawda, Germain, i to właśnie mnie niepokoi! Kto wie, czy — jeśli chłopiec otrzyma jakieś nowe informacje w San Fernando — nie zechce pójść dalej... dużo dalej... albo do Kolumbii, albo do źródeł Orinoko! Przecież to pewna zguba...

W tym momencie Germain Paterne, przerywając swemu towarzyszowi, powiedział półgłosem:

— Czy nic nie słyszysz, Jacques?

Ten podniósł się, przeczołgał się na przód pirogi, nadstawił uszu, omiół spojrzeniem powierzchnię rzeki od przeciwległego brzegu aż do ujścia Mety.

— Nic nie widzę. Ale... tak — dodał po bardziej dokładnym przysłuchaniu się — słysząc jakiś szum na wodzie...

— Czy nie należy obudzić załogi?...

— Poczekaj! To nie odgłos zbliżającego się czółna. Być może jest to odgłos mieszających się wód Mety i Orinoko.

— Spójrz tam! — powiedział Germain Paterne. I wskazał na wyraźne czarne punkty, poruszające się o sto stóp w dół od *falcas*. Jacques Helloch schwycił za karabin i wychylił za burtę.

— To nie jest łódź — powiedział — jednakże coś widzę...

Przyłożył broń do ramienia, lecz Germain Paterne powstrzymał go gestem.

— Nie strzelaj — rzekł. — To nie są Quivasi szukający okazji do grabieży! To są uczciwe ziemno-wodne zwierzęta, oddychające na powierzchni wody.

— Zwierzęta?

— Tak... trzy lub cztery manaty* i białuchy*, stali goście Orinoko!...

Germain Paterne nie mylił się. Była to tylko para manatów i wałów białych, które spotyka się często w większych i mniejszych rzekach Wenezueli. Te nieszkodliwe zwierzęta wodne zbliżały się powoli do zacumowanych pirog. Nagle zniknęły, ogarnięte strachem.

Dwaj młodzi ludzie wrócili na poprzednie miejsca na rufie i wrócili do poprzedniego tematu, gdy tylko Germain Paterne na nowo nabił i zapalił fajkę.

— Mówiłeś przed chwilą — rozpoczął Jacques Helloch — że, jeśli pamięć cię nie myli, pułkownik de Kermor nie miał rodziny...

— Sądzę, że mogę to udowodnić, Jacques! Ale... ale... przypomina mi się pewna sprawa... Był jakiś proces, który wytoczył mu ktoś z rodziny żony. Pułkownik proces ten wygrał po apelacji w Rennes, po przegraniu w pierwszej instancji w Nantes. Tak... tak... wraca mi pamięć! Cztery lub pięć lat później madame de Kermor, Kreolka z Martyniki, zatonała na statku, gdy wracała z kolonii do Francji. Zginęła wraz ze swoją jedyną córką. Był to straszliwy cios dla pułkownika.

W następstwie długiej choroby po stracie żony i dziecka, bez rodziny, tak jak ci mówiłem, podał się do dymisji. W jakiś czas potem rozeszły się pogłoski, że opuścił Francję. Ale wydaje się, że nikt nie wie, do jakiego kraju wyemigrował. Jedynie ten ostatni list z San Fernando do jednego z przyjaciół... Tak... tak na pewno było i jestem zdziwiony, że pamięć mnie tak zawiodła. Jeśli

zapytamy o to sierżanta Martiala i młodego de Kermora, jestem pewien, że potwierdzą moje słowa...

— Nie zapytamy ich o nic — odrzekł Jacques Helloch. — Są to sprawy prywatne i byłoby niedyskrecją z naszej strony, gdybyśmy chcieli się w to mieszać.

— Dobrze, Jacques. Jednak miałem rację, że sierżant Martial nie może być wujem Jeana de Kermora.

Jacques Helloch, ze skrzyżowanymi ramionami i pochyloną głową, zastanawiał się nad tym, czego dowiedział się od swego towarzysza. Czyż ten nie mylił się? Nie, to niemożliwe! Mieszkał przecież w Rennes, gdy toczył się proces pułkownika de Kermora w drugiej instancji. Nic dziwnego, że przyszła mu do głowy refleksja, zresztą tak naturalna, że każdy pomyślałby podobnie:

— Jeśli sierżant Martial nie jest krewnym — powiedział — Jean tym bardziej nie może być synem pułkownika de Kermora, ponieważ ten miał tylko córkę i to dziecko, całkiem małe jeszcze, zatonęło wraz z matką.

— To oczywiste — stwierdził Germain Paterne.

— Jednakże mówi, że nim jest — dodał Jacques Helloch.

Na pewno było w tym coś bardzo niejasnego, a nawet bardzo tajemniczego. Czy możliwe, że chłopiec był ofiarą jakiejś pomyłki — pomyłki, która pchnęła go w tak niebezpieczną przygodę? Nie, na pewno nie. Sierżant Martial i jego domniemany siostrzeniec musieli opierać się na przekonaniu całkiem innym niż informacje Germaina Paterne. Zainteresowanie Jacquesa Hellocha młodym chłopcem jeszcze się zwiększyło. Dwaj przyjaciele roztrząsali te sprawy aż do momentu, gdy około jedenastej panowie Miguel i Felipe, zostawiając pogrążonego we śnie zacieklego zwolennika Guaviare, zmienili ich na warcie.

— Czy nie zauważyliście nic podejrzanego? — zapytał *señor* Miguel, stojąc na rufie „Maripare”.

— Absolutnie nic, *señor* Miguel — odrzekł Jacques Helloch. — Brzegi i rzeka są spokojne.

— I prawdopodobnie — dodał Germain Paterne — wasza warta przebiegnie również spokojnie.

— A więc dobrej nocy, panowie — odrzekł *señor* Felipe ściskając im ręce poprzez burty łodzi.

Do godziny drugiej nad ranem, czyli do czasu zastąpienia ich przez sierżanta Martiala, nie wydarzyło się nic niezwykłego. Sierżant Martial, z karabinem u boku, usadowił się na rufie pirogi i oddał rozmyślaniom. Nigdy dotąd nie miał duszy tak pełnej niepokojów. Wielki Boże! Lękał się nie o siebie, ale o to drogie dziecko, śpiące na pokładzie pirogi. Przywoływał w swej pamięci wszystkie szczegóły kampanii podjętej przez Jeana, którego woli musiał się podporządkować, opuścić Europę, przepłynąć Atlantycką, doświadczyć tylu przygód w żegludze po Orinoko... Gdzie podążą dalej i dokąd zaprowadzą ich te poszukiwania?... Jakie informacje otrzymają w San Fernando? Do jakiej osady na odległym terytorium uciekł w ostatnich latach pułkownik de Kermor — od egzystencji tak szczęśliwej na początku, a tak szybko zburzonej przez straszliwą katastrofę? I na jakie jeszcze niebezpieczeństwa narażona będzie jedyna pozostała mu na świecie istota, aby go odnaleźć?

W pewnym momencie, od wschodniej strony, dotychczasowy spokój został zakłócony przez lekki hałas, dość rytmiczny, stopniowo narastający. Sierżant Martial, zajęty swymi myślami, nie słyszał tych odgłosów, dość nikłych zresztą. Tym bardziej nie zauważył czterech małych łodzi, płynących wzdłuż prawego brzegu Mety. Poruszone wiosłami szybko zbliżyły się do *falcas*. Cztery *curiaries*, wypełnione kilkudziesięcioma Quivasami, znajdowały się nie dalej niż o dwieście metrów od piróg, a sierżant Martial nadal nic nie widział i nie słyszał...

Nagle, gdy *falcas* i *curiaries* były oddalone od siebie nie więcej niż o sześćdziesiąt stóp, rozległ się strzał. Natychmiast odpowiedziały mu krzyki z najbliższej łodzi. To Jacques Heliach dał ognia, a po nim wystrzelił z karabinu Germain Paterne. Dwaj młodzi ludzie — a było około piątej rano i świt ledwo wstawał — właśnie się obudzili, gdy do ich uszu doszły odgłosy wiosła. Po wyczołganiu się na rufę „Morique” zauważyli groźbę ataku i wygarnęli ze swej broni do *curiaries*.

Po tym alarmie, pasażerowie i marynarze zerwali się w jednej chwili na równe nogi. Panowie Miguel, Varinas i Felipe z fuzjami w ręku wyskoczyli z nadbudówki „Maripare”. Jean znalazł się obok sierżanta Martiala, który strzelając w kierunku atakujących łodzi, krzychał pełen rozpacz:

— Biada mi... biada!... Tak mnie zaskoczył!

Quivasi odpowiedzieli wypuszczając kilkadziesiąt strzał, które na szczęście przeszły ponad pirogami. Jedynie kilka z nich utkwilo w dachu nadbudówek, ale nikt nie został trafiony. *Señor* Miguel wraz z towarzyszami odpalili ponownie, a kule, lepiej wycelowane niż strzały, narobiły zamieszania wśród Quivasów.

— Skryj się w nadbudówce, Jean, skryj się natychmiast! — krzychał Jacques Helloch.

Nowa chmura strzał nadleciała w tej chwili, a jedna z nich raniła sierżanta Martiala w ramię.

— Dobrze mi tak!... dobrze mi tak!... — krzychał. — Mnie starego żołnierza ... na warcie!... tylko na to zasługuję!

Po raz trzeci dano ognia z karabinów i rewolwerów w stronę *curiaries*, które dryfowały właśnie obok piróg. Quivasom pozostała tylko ucieczka. Wielu z nich trafiono śmiertelnie, a kilku zostało ciężko rannych. Atak się nie powiodł i *curiaries* zniknęły, unoszone prądem Orinoko.

XI

Odpoczynek w wiosce Atures

Tegoż dnia, a był już 1 września, o godzinie szóstej rano *falcas* opuściły te niebezpieczne okolice.

— Mam to, na co zasłużyłem! — wykrzyknął sierżant Martial wyciągając strzałę, która przeszła mu ramię. A wyrzuty sumienia, jakich doświadczał, mając na uwadze raczej wcześniejszą decyzję niż wydarzenia w czasie warty, były bardziej piekące niż zadane mu rany.

Gdy tylko łodzie Quivasów zniknęły z oczu, Jean udzielał sierżantowi Martialowi, wyciągniętemu na posłaniu, pierwszej pomocy. Młody chłopiec nie miał jednak żadnych umiejętności medycznych. Szczęśliwie Germain Paterne, jako przyrodnik–botanik, studiował także medycynę, a na pokładzie „Morique” była apteczka... Z pomocą pospieszył także Jacques Helloch.

W wyniku tego „Gallinetta” w czasie pierwszych godzin żeglugi miała dwóch dodatkowych pasażerów. Nie mogli oni nie dostrzec, jakim uczuciem obdarzał Jean starego żołnierza.

Po obejrzeniu rany Germain Paterne stwierdził, że ostrze strzały zagłębiło się w ramię na trzy centymetry, ale nie naruszyło żadnego mięśnia ani nerwu. Tak więc nie było powodu do niepokoju, pod warunkiem, że strzała nie była zatruta. Nie było to oczywiście wykluczone. Bardzo często Indianie znad Orinoko nasycają swe strzały ciecżą, znaną pod nazwą kurara. Ten płyn składa się z soku rośliny zwanej *mavacare*, z soku liany z rodziny kulczyb, wytwarzających strychninę oraz z kilku kropel jadu wężowego.

Gdyby sierżant Martial został trafiony strzałą zatrutą kurarą czekałaby go powolna, ale niechybna śmierć. Kurara powoduje utratę głosu, paraliż twarzy i klatki piersiowej. Ranny cały czas zachowuje świadomość, aż do śmierci, której nie można zażegnać. Współtowarzysze podróży obserwowali więc sierżanta, czy nie wystąpią te symptomy.

Sierżantowi Martialowi, po opatrunku, nie pozostawało nic innego, jak podziękować Germainowi Paterne. Wściekał się jednak, że między obiema pirogami ustaliły się zażyłe stosunki. Następnie popadł w rodzaj letargicznego uśpienia, które niepokoiło jego towarzyszy. Chłopiec zwrócił się do Germaina Paterne:

— Co pan sądzi o jego stanie? Czy nic mu nie będzie? — zapytał.

— Nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego — odrzekł Germain Paterne. — Mamy tu do czynienia jedynie z lekką raną, która zagoi się sama, jeśli strzała nie była zatruta... Poczekajmy i niedługo się o tym przekonamy...

— Mój drogi — dodał Jacques Helloch

— bądź dobrej myśli. Sierżant Martial wyzdrowieje i to szybko... Wydaje mi się, że gdyby to była kurara, rana wyglądałaby już inaczej...

— Takie jest również moje zdanie — dodał Germain Paterne. — Przy następnym opatrunku będziemy wiedzieć czego się trzymać... i sierżant Martial...

— Boże zachowaj mi go! — wyszeptał chłopiec, w którego oczach pokazały się łzy.

— Tak... mój drogi chłopcze — powtarzał Jacques Helloch — Bóg go zachowa... Twoja opieka... i nasza uzdrowią starego żołnierza! Miej zaufanie do tego co mówię!

I uścisnął dłoń Jeana de Kermora, który zadrżał przy tym. Na szczęście sierżant Martial spał.

Trzy *falcas*, dzięki dość silnej bryzie z północnego wschodu, płynęły żwawo w jednej linii. Panowie Miguel, Felipe i Varinas mieli więc bieżące wiadomości o samopoczuciu rannego. Stan sierżanta Martiala wymagał kilku dni odpoczynku i to w warunkach lepszych niż pokład „Gallinety”. Najwygodniej będzie zatrzymać się w wiosce Atures, jakieś sześćdziesiąt kilometrów w górę od ujścia Mety. Tam właśnie podróżnicy mieli siebie oczekiwać co najmniej przez tydzień, gdyby pirogi, pokonujące liczne bystrzyny tej części Orinoko, zostały rozdzielone. Jednakże, ponieważ wiatr był sprzyjający, można było mieć nadzieję, że wioskę Atures ujrzą już następnego dnia.

Żagle zostały ustawione tak, by uzyskać największą szybkość i — jeśli wiatr się utrzyma do wieczora — *falcas* pokonają co najmniej połowę drogi.

Jacques Helloch i Germain Paterne od rana zbadali ze trzy lub cztery razy stan rannego sierżanta Martiala. Oddech miał równomierny, a sen głęboki i spokojny. O pierwszej w południe chory obudził się i uśmiechnął się do czuwającego chłopca. Na widok Francuzów nie mógł jednak ukryć grymasu.

— Czy nie czuje się pan gorzej? — zapytał Germain Paterne.

— Ja... ależ panowie! — zachnął się sierżant Martial, jakby urażony podobnym pytaniem — wcale nie! To zwykłe zadraśnięcie... dziecinne zadrapanie! Czy wyobrażacie sobie, że mam skórę jak panienka! Jutro już nie będzie widać i — jeżeli pozwolicie — nie będę zawracał wam głowy moim ramieniem! Zresztą, zaraz wstanę...

— Nie, proszę leżeć, sierżancie — oświadczył Jacques Helloch. — Tak nakazał lekarz.

— Wuju — dodał chłopiec — musisz słuchać rozkazów i wkrótce będziesz mógł jedynie podziękować panom za ich starania.

— Dobrze... dobrze! — mruzczał sierżant Martial, warcząc jak dog podrażniony przez mopsa.

Germain Paterne zmienił sierżantowi opatrunek i stwierdził, że rana nie była wcale zaogniona. Gdyby strzała była zatruta, ranny byłby już częściowo sparaliżowany.

— No więc, sierżancie, wszystko idzie dobrze

— potwierdził Germain Paterne.

— A za kilka dni rana się zagoi — dodał Jacques Helloch.

Obaj Francuzi wrócili na swoją pirogę, płynącą obok „Gallinetty”, a sierżant Martial zamruczał pod nosem:

— Tylko tego brakowało! Ci dwaj Francuzi na naszej łodzi...

— Nie trzeba było dać się zranić, wuju — odrzekł Jean, próbując go uspokoić.

— Tak, dalibóg, nie trzeba było! Wszystko to moja wina. Jak początkujący rekrut... nicpoń, który nie potrafi nawet stać na warcie!

O zmierzchu pirogi dotarły do przełomu Vivora, gdzie schroniły się na noc. Dały się już słyszeć niewyraźne i odległe pomruki wartkich strumieni *raudals* Atures. Ponieważ obawiano się ataku Quivasów, powzięto najostrożniejsze środki bezpieczeństwa. Kapitan Valdez wyznaczył swojej załodze warty. Takie same środki ostrożności zostały powzięte przez kapitanów Martosa i Parchala. Przygotowano oczywiście karabiny i rewolwery. Jednakże żaden alarm nie zakłócił tego postoju i sierżant Martial mógł przespać spokojnie całą noc. W czasie porannego opatrunku Germain Paterne stwierdził, że rana goiła się dobrze. Jeszcze kilka dni i będzie zabliźniona.

Powietrze było czyste, bryza świeża i sprzyjająca. W oddali rysowały się po obu stronach brzegu góry, między którymi przeciskały się bystrzyny Atures. W miejscu, gdzie zatrzymano się na postój, wyspa Vivora dzieli rzekę na dwie odnogi, których wody tworzą porywiste bystrzyny. Gdy poziom wody opada, z koryta rzeki wyłaniają się skały i nie można przepłynąć tego odcinka bez wyładunku bagaży. Tym razem wyładunek, z reguły długotrwały i męczący, nie był konieczny. Holując pirogi wzdłuż brzegów za pomocą *espillas* podróżnicy dotarli do krańca wyspy w górze rzeki. W ten sposób zyskano wiele godzin i wznowiono normalną żeglugę. W tym czasie słońce wzniosło się już na horyzoncie o kilka stóp ponad *cerros* Cataniapo na prawym brzegu rzeki.

Przez cały ranek płynęło się dość łatwo — u stóp *cerros* — i przed południem *falcas* zatrzymały się w małej wiosce Puerto Rial. Wyładowuje się tu zwykle bagaże z łodzi i przenosi wzdłuż brzegu do wioski Atures, leżącej o pięć kilometrów w górę rzeki. Okoliczni Guahivosi wykorzystują skwapliwie tę okazję, by zarobić kilka piastrów. Tym razem również wzięli bagaże na plecy, a pasażerowie podążali za nimi. Marynarze w tym czasie przeciągnęli pirogi przez bystrzyny.

Raudal ten jest rodzajem korytarza, wydrążonego w stromo opadających ku rzece górach, o długości około dziesięciu kilometrów. Woda, spieniona w wąwozie, staje się rwąca. Łóżysko rzeki, „w postaci schodów” — jak pisze Humboldt — jest przegrodzone spadzistymi progami, zmieniającymi bystrzynę w katarakty. Wszędzie widać rafy wynurzające się z wody, jak zielone bukiety, kuliste skały zdające się utrzymywać na swych podstawach wbrew prawom równowagi. Różnica poziomu rzeki na tym odcinku wynosiła dziewięć metrów. I między tymi przeszkodami, tworzącymi co rusz zapory, między rozszianymi tu i ówdzie bryłami, przez nieco głębsze przejścia — skłonne zresztą do ciągłych przemieszczeń — trzeba było holować łodzie.

Trzy pirogi zostały więc rozładowane. Dobito targu z Guahivosami, płacąc im upominkami w postaci materiału, różnych świecidełek, cygar lub wody ognistej.

Odległość z Puerto Real do wioski Atures była nie większa niż pięć kilometrów, można było więc dość łatwo pokonać ją w ciągu kilku godzin, nawet z tak uciążliwym i utrudniającym drogę taborem: walizami, kocami, odzieżą, bronią, amunicją, przyrządami pomiarowymi Jacquesa Hellocha, zielnikami, pudłami i aparatami fotograficznymi Germaina Paterne. Lecz to nie stwarzało kłopotów. Obawiano się tylko, czy sierżant Martial będzie mógł przebyć tę trasę pieszo.

Ale były podoficer nie był przecież babą, jak to bez przerwy powtarzał. Rana nie sprawiała żadnego bólu, więc Jacquesowi Hellochowi, który zaofiarował mu swe ramię, odpowiedział:

— Dziękuję panu. Będę szedł tak jak wszyscy i nie potrzebuję pomocy od nikogo.

Mały oddział pozostawił więc marynarzy obarczonych zadaniem przeciągnięcia *falcas* przez wiry bystrzyny. Kapitanowie Valdez, Martos i Parchal obiecali nie stracić ani godziny i można było mieć pewność co do ich gorliwości. Pasażerowie opuścili Puerto Rial na pół godziny przed południem.

Droga — lub raczej ścieżka — ciągnęła się wzdłuż prawego brzegu rzeki. Wioska znajdowała się na tym samym brzegu. Na lewym zaś wznosiła się bardzo stroma skarpa, utworzona z *cerros*, których łańcuch ciągnął się aż do początku *raudals* w górze rzeki. W niektórych miejscach przejście wystarczało jedynie na jedną osobę i grupa maszerowała gęsiego. Guahivosi szli o kilka kroków w przodzie. Za nimi postępowali *señor* Miguel i jego koledzy. Następnie Jacques Helloch, Jean de Kermor i sierżant Martial. Germain Paterne tworzył straż tylną. Gdy szerokość przybrzeżnej ścieżki na to pozwalała, maszerowano po trzech lub dwóch. Chłopiec, sierżant Martial i Jacques Helloch znaleźli się w ten sposób w jednym szeregu.

Bez wątplenia Jacques Helloch i Jean stali się parą przyjaciół i tylko stary uparciuch, ciągle narzekający, patrzył na to złym okiem. Germain Paterne, z cennym pudłem na plecach, zatrzymywał się po drodze, gdy tylko jakaś roślina wzbudziła jego ciekawość.

Mały oddział dotarł do wioski około drugiej po południu. Siedem lub osiem chat to było całe Atures, w których mieszkało około trzydziestu Indian. *Señor* Miguel i jego dwaj towarzysze, sierżant Martial i Jean, Jacques Helloch i Germain Paterne zajęli grupami trochę mniej zniszczone od innych chaty.

Postój w wiosce Atures miał potrwać kilka dni, w oczekiwaniu na przybycie piróg. Trzej Wenezuelczycy i dwaj Francuzi wyruszyli na podbój okolicznych równin. Myśliwi nie napotkali żadnych drapieżników. Jacques Helloch ranił kulą tapira, któremu udało się mimo to uciec i który pewnie padł gdzieś w buszu. Ale myśliwi mieli możliwość upolowania wielu pekari, jeleni, kapibar i uzupełnili zapasy. Mięso zostało ususzone lub uwędzone na sposób indiański. Wszyscy spotykali się codziennie przy stole na dwóch wspólnych posiłkach. Opowiadano sobie przygody, jakich doświadczali w ciągu dnia podróżnicy. Wieczorem chłopiec czytał głośno fragmenty ulubionego przewodnika, a specjalnie te, które dotyczyły Atures i okolic.

9 września około południa Germain Paterne, zbierający zioła na brzegu rzeki w dół od wioski,

zaczął wzywać swych towarzyszy. Wszyscy zebrali się w największej chacie wioski i czekali na obiad. Na wyraźnie słyszany krzyk Jacques Helloch wyskoczył na zewnątrz. Pozostali poszli w jego ślady, obawiając się, że Germain Paterne wzywa pomocy, napadnięty przez drapieżniki lub bandę Quivasów. Germain Paterne jednak, wymachując rękoma, z pudłem na plecach, wracał sam.

— Ej, co się dzieje? — zawołał doń Jacques Helloch.

— Nasze pirogi, moi przyjaciele!

— Nasze pirogi? — powtórzył *señor* Miguel.

— Już? — zdziwił się *señor* Felipe.

— Są nie dalej niż pół kilometra stąd. Wszyscy pobiegli lewym brzegiem w dół rzeki

i za zakolem dostrzegli *falcas*, holowane wzdłuż brzegu za pomocą *espilla*. Wkrótce pasażerowie mogli usłyszeć, jak dowódcy łodzi, stojący na ich rufach, pilnowali, aby nie schodziły z właściwego kursu.

— Czy to wy, Valdez? — zapytał sierżant Martial.

— We własnej osobie, sierżancie, i jak pan widzi, moi towarzysze podążają za mną.

— Nie było jakichś uszkodzeń? — zapytał *señor* Miguel.

— Żadnych uszkodzeń — odpowiedział Valdez — lecz mimo to mieliśmy mnóstwo pracy!

— Ale na szczęście, dotarliście w końcu — powiedział Jacques Helloch do kapitana „Morique”.

— Tak... i to w siedem dni... Przebyć bystrzynę Atures w tym czasie, to wyczyn nie lada.

XII

Kilka spostrzeżeń Germaina Paterne

Trzy pirogi odplynęły nazajutrz o wschodzie słońca. Poprzedniego dnia po południu załadowano bagaż. A ponieważ podczas przeprawy przez bystrzyny nie zauważono żadnych uszkodzeń łodzi, co można zawdzięczać załogom, podróż nie uległa najmniejszemu opóźnieniu.

Łodzie płynęły w jednej linii, a najczęściej, co obserwował sierżant Martiał, zrzedząc pod nosem, „Moriche” znajdowała się w pobliżu „Gallinetty”. Pozwalało to pasażerom na rozmowy i często z tego korzystano.

Przed południem fale as przepłynęły nie więcej niż pięć kilometrów w górę Orinoko. Na początku trzeba było manewrować wśród labiryntu wysepek i podwodnych skał, którymi rzeka jest zatarasowana aż do Atures. Nie można było także utrzymać za pomocą żagli stałego kierunku. Przez wążone przepusty woda spływała gwałtownie i załogi musiały operować *palancas* z dużym wysiłkiem. Na wysokości *cerro* de Los Muertos koryto Orinoko stało się bardziej wyrównane, a żegluga łatwiejsza. Po zbliżeniu się do prawego brzegu, gdzie prąd był słabszy, *falcas* mogły skorzystać w pewnej mierze z pomocy wiatru.

W tym samym czasie, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, stopniowo uciszał się wiatr, zmieniając kierunek na północno—wschodni, a około piątej po południu ustał zupełnie. Pirogi znalazły się na wysokości *raudal* de Garcita. Za radą Valdeza pasażerowie zdecydowali się na nocleg w tym miejscu. Przez cały dzień udało się przebyć jedynie

około piętnastu kilometrów i nazajutrz wyruszono w drogę wraz ze wstającym świtem. Przepłynięcie *raudal* de Garcita nie przedstawiało żadnych trudności. Miejsce to jest spławne przez cały rok i nie ma potrzeby przeładunku. Wieczorem pirogi zatrzymały się w zakolu rzeki skracającej tu na wschód, między prawym brzegiem a wyspą Rabo Pelado, w miejscu dość osłoniętym. Od szóstej do siódmej wieczorem myśliwi przetrząsnęli obrzeże wyspy, całej najeżonej zaroślami i prawie niedostępnej. Udało im się ustrzelić pół tuzina *gabiotas* z gatunku niewielkich kaczkowatych, wielkości gołębi, które przyrządzono na wieczorny posiłek.

Nazajutrz opuszczono wyspę Rabo Pelado i kontynuowano żeglugę na południowy zachód. Przez cały dzień padał nieprzerwanie deszcz. Nieregularna bryza wiała z północnego wschodu. Wieczorem Valdez przycumował u krańca wyspy Guayabo, po przebyciu nie więcej niż dwunastu kilometrów, gdyż siła wiatru była często mniejsza od siły prądu.

Dzień później trzem pirogom udało się dotrzeć do *raudal* Guahivos i schronić u ujścia odnogi Carestia, która okrąża prawym brzegiem wyspę w miejscu, gdzie dzieli ona bieg Orinoko. Po kolacji, urozmaiconej parą *huccos*, ptaków wodnych, upolowanych na brzegu wyspy, pasażerowie wypoczywali spokojnie.

Następnego dnia, około trzeciej po południu, posuwając się wzdłuż lewej odnogi, łodzie dotarły

do wioski Carestia, gdzie należało je rozładować, aby ułatwić przeprawę przez *raudal* Maipure. Trzeba było tu powtórzyć podobny manewr jak w Puerto Real. Indianie przenosili bagaże na plecach towarzysząc pasażerom do Maipure, gdzie wyprawa dotarła przed piątą po południu. Z Carestia do Maipure było jedynie sześć kilometrów, a ścieżką wzdłuż brzegu maszerowało się bez większego wysiłku. Tutaj należało oczekiwać „Gallinety”, „Maripare” i „Moriche” co najmniej trzy lub cztery dni.

Rzeczywiście, *raudal* Maipure jest co prawda krótszy od Atures, ale jest trudniejszy do przebycia. W każdym razie wskazuje na to większa różnica poziomu wody: około dwunastu metrów na długości sześciu kilometrów. Liczono jednak na zręczność załóg.

W Maipure ograniczono się do polowania i zbierania ziół. W końcu, 18 września po południu, trzy *falcas* przybyły do wioski na lewym brzegu rzeki. Nie czekając następnego dnia, załadowano pirogi, które rankiem 19 września pozęgłowały dalej w bardzo zresztą niedobrych warunkach.

Następnego dnia żegluga stała się znacznie łatwiejsza, gdyż dno rzeki nie groziło podwodnymi skałami. Załogi mogły w czasie kilku godzin postawić żagle i dotarły do wioski Mataveni, usytuowanej na prawym brzegu tuż nad *rio* o tej samej nazwie. Stało tu nie więcej niż tuzin szałasów należących do Guahivosów, którzy zajmują tereny przybrzeżne Orinoko, a szczególnie brzeg lewy.

Gdy tylko „Moriche” zarzuciła cumy u brzegu Mataveni, pokład w pokład z „Gallinetą”, Germain Paterne powiedział:

— Mój drogi, minister Edukacji Publicznej obarczył nas pewną misją naukową dotyczącą Orinoko, jeśli się nie mylę...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Jacques Helloch, dość zaskoczony tą uwagą.

— Czy ta misja dotyczy jedynie Orinoko?

— Orinoko i jego dopływów.

— Otóż to i aby powiedzieć, jak się mają rzeczy naprawdę, wydaje mi się, że zaniedbaliśmy nieco dopływy tej wspaniałej rzeki, odkąd opuściliśmy Urbanę.

— Tak sądzisz?

— Osądź sam, drogi przyjacielu. Czy nie zostawiliśmy już za sobą Suapure, Pararumy i Parguazy na prawym brzegu?

— Nie przypominam sobie tego.

— A czy przypominasz sobie, jak wprowadziliśmy pirogi między brzegi Mety po lewej stronie rzeki, tej Mety, która jest jednym z największych dopływów głównej rzeki wenezuelskiej?

— Nie, przecież przepłynęliśmy ujście Mety wcale się tam nie zagłębiając.

— A *rio* Vichada?

— Także w stosunku do *rio* Vichada zaniedbaliśmy całkowicie nasze obowiązki.

— Także, mój drogi Germain. To czego nie zrobiliśmy teraz, będziemy mogli zrobić w drodze powrotnej. Przecież nie znikną twe dopływy, jak

Gdyby Jacques Helloch mógł w tym momencie obserwować Jeana, zobaczyłby, jak ten wyprostowuje się, podnosi głowę, a wzrok jego się ożywia... a potem staje się apatyczny i przygnębiony na myśl, że pewnie nie osiągnie swego celu. Jednakże, po chwili zwątpienia, wróciła mu nadzieja, gdy usłyszał, jak Jacques Helloch dodaje:

— Nie! nie! to byłoby zbyt bolesne dla biednego Jeana i chcę wierzyć, że jego poszukiwania powiodą się! Przed trzynastu laty pułkownik de Kermor przebywał jakiś czas w San Fernando. W tej kwestii nie ma żadnych wątpliwości. Tam... Jean dowie się, co przytrafiło się ojcu. Ach, jakże chciałbym mu towarzyszyć...

— Rozumiem cię, Jacques. Jemu potrzeba za przewodnika człowieka takiego jak ty, a nie tego starego wiarusa, który jest tak samo jego wujem, jak ja jego ciotką! Ale czegoż ty chcesz? Nasza trasa nie może być wspólna, nie mówiąc już o dopływach, które musimy zbadać w drodze powrotnej.

— A czy nie ma ich również za San Fernando? — zwrócił uwagę Jacques Helloch.

— Oczywiście, są. Mogę ci wymienić najbardziej godne podziwu: Cunucunuma, Cassiquiare, Mavaca... i w ten sposób nasza ekspedycja zaprowadzi nas aż do źródeł Orinoko.

— A dlaczego nie, Germain? Badania będą bardziej kompletne, ot co... i minister Edukacji Publicznej nie będzie mógł narzekać!...

— Minister... minister! Zastaniasz się ciągle tym wielkim ministrem... Poza tym, jeśli Jean de Kermor będzie kontynuował swe poszukiwania nie wzdłuż Orinoko... jeśli uda się przez llanosy kolumbijskie... albo zejdzie ku basenowi Rio Negro i Amazonki...

W sąsiedniej pirodze Jean wszystko słyszał. Wiedział teraz, ile sympatii wzbudzał u swych współtowarzyszy. I wiedział także, że ani Jacques Helloch, ani Germain Paterne nie wierzyli, że łączy go pokrewieństwo z sierżantem Martialem. Na czym opierali się w swych sądach i co powiedziałby jego stary przyjaciel, gdyby się o tym dowiedział?... I nie zastanawiając się nad tym, co przyniesie mu przyszłość, jeśli odwaga i poświęcenie Jacquesa Hellocha nie przyjdą mu nigdy z pomocą, dziękował Bogu, że postawił na jego drodze tak dzielnych i szlachetnych rodaków.

XIII

Czyciele tapira

Nazajutrz rano — 21 września — gdy podróżnicy opuścili mały port w Mataveni, od San Fernando dzieliło ich nie więcej niż trzy i pół dnia. Za osiemdziesiąt godzin powinni znaleźć się u celu podróży.

Żegluga rozpoczęła się w normalnych warunkach — na żaglach, gdy wiatr na to pozwalał, za pomocą *palanca* i *garapato*, gdy pirogi pokonywały spiętrzenia wody na licznych zakolach rzeki oraz za pomocą *espilla*, kiedy żerdzie nie mogły pokonać siły prądu. Utrzymywała się wysoka temperatura. Burzowe chmury ciężko zwisały nad ziemią, przechodząc czasami w grube i ciepłe krople deszczu. Potem przepędziło je rozżarzone słońce. Wiatr był słaby, nierównomierny i wcale nie chłodził.

Napotkano wiele razy kanoe z siedzącymi w nich Piaroasami, którzy zamieszkują zwykle na prawym brzegu tej części Orinoko. Indianie przybijali poufale do pirog, oferując swe usługi przy trudnych manewrach. Pomoc była przyjmowana bez wahania, a Indianie zadowalali się zapłatą w postaci perkalu, szklanych paciorków i cygar. W eskorcie pół tuzina *curiares* flotylla przybiła do wsi Augustino, leżącej na prawym brzegu.

W wiosce nie widać było ani dzieci, ani kobiet. Otóż ukryły się one z dziećmi w dżungli, jak każde zresztą zwyczaj, gdy otrzymały sygnał, że zbliżają się obcy.

Ukazał się Piaroa o imieniu Caribal, słusznego wzrostu i pięknej postawy, w wieku około czterdziestu lat, o szerokich barach, odziany w *guayuco*, z błyszczącymi włosami opadającymi na ramiona, z bransoletami z rzemieni pod kolanami i nad kostkami. Osobistość ta przechadzała się wzdłuż brzegu, otoczona kilkunastoma Indianami, którzy okazywali mu widoczny respekt. Był to wódz, naczelnik wioski, ten, który wskazał najdogodniejsze miejsce do zacumowania — teren nadzwyczaj zdrowy, choć w Augustino wcale nie dokuczały, normalne w dorzeczu rzeki, komary. *Señor Miguel* w towarzystwie pozostałych pasażerów podszedł do wodza, który mówił językiem hiszpańskim.

— Bądźcie pozdrowieni, ty i twoi przyjaciele — powiedział podając rękę.

— Zatrzymaliśmy się tutaj jedynie na kilka godzin — odparł *señor Miguel* — mamy zamiar odpłynąć jutro o wschodzie słońca.

— W tym czasie — powiedział Piaroa — możesz odpocząć w naszych chatkach. Są do twojej dyspozycji.

— Dziękujemy, wodzu — odrzekł *señor Miguel* — i złożymy ci wizytę. Na tę jedną noc będzie chyba lepiej zostać na pokładach naszych *falcas*...

— Jak uważasz.

Z towarzyszącymi wodzowi Piaroasami nie udało się nawiązać bliższych kontaktów. *Señor Miguel* i jego towarzysze podążyli za Indianami do wioski, leżącej od brzegu na odległość strzału. Jacques Heliach i Jean szli obok siebie, przed sierżantem Martialem.

— Twój codzienny przewodnik — zagadnął Jacques Helloch — podaje niewątpliwie dokładne informacje o Piaroasach i wiesz pewno znacznie więcej od nas na ich temat...

— Indianie ci — odrzekł chłopiec — mają łagodne usposobienie i nie są skłonni do walki. Żyją w dżungli oddalonej od basenu Orinoko. Wydaje się, że ci tutaj chcieli spróbować nowego życia na brzegu rzeki...

Chata wodza była ładnie usytuowana pod kępą wspaniałych drzew. Pokrywał ją dach z liści palmowych, zakończony czymś w rodzaju cylindrycznej korony, z wznoszącym się z niej bukietem kwiatów. Drzwi prowadziły do jedynej izby, mającej piętnaście stóp średnicy. Wyposażenie chaty stanowiły koszyki, koce, stół, kilka prymitywnych stołków, bardzo proste przybory kuchenne, łuki, strzały i ozdoby.

Chata wodza została niedawno zbudowana, a właśnie w przeddzień odbyła się ceremonia poświęcenia, mająca na celu wypędzenie złego ducha. A nie jest to wcale łatwe. Zły duch nie rozproszy się jak para, nie zniknie jak wyziew. Nie wystarczy, jak to robią gospodynie europejskie, uderzać wiechciem słomy o ściany, a potem je wytrzepać. Duch ten to nie kurz, który można wymieść na zewnątrz. Jest bezcielesny i musi go jakieś żywe zwierzę wessać z oddechem, a następnie łopocząc skrzydłami wynieść w przestworza. Należy więc powierzyć to zadanie wybranemu ptakowi. Zwykle najchętniej wybiera się do tego tukana. W tym czasie rodzina, zebrana wewnątrz chaty, ubrana w świąteczne odzienie, oddaje się śpiewom, tańcom i libacji, pochłaniając czarki kawy *bruguilla*, nie oszczędzając *aguardiente* i *tafii*. Ponieważ wczoraj nie można było zdobyć tukana, więc rolę czyszciciela spełniała papuga.

Ptaszysko zatrzepotało skrzydłami, zaskrzeczało wewnątrz chaty i wyleciało do lasu. Teraz można już było całkowicie bezpiecznie tu zamieszkać. Wódz nie miał również zastrzeżeń, by wprowadzić tam cudzoziemców, a ci mogli się nie obawiać złego ducha.

Przed chatą wodza Caribala zgromadzili się mieszkańcy Augustino, można by nawet rzec, że w komplecie. Kobiety i dzieci, wezwane i uspokojone przez swych ojców, braci i mężów wróciły do wioski. Chodziły od jednej chaty do drugiej, włóczyły się pod drzewami, gromadziły na wybrzeżu w miejscu, gdzie zacumowały *falcas*.

Bieganina ta trwała nie więcej niż godzinę. Do zachodu słońca zostało jeszcze wystarczająco dużo czasu i myśliwi mogli zapolować w lasach otaczających Augustino. Jacques Helloch, *señor Miguel* oraz Germain Paterne z nieodłącznym pudłem przyrodnika na plecach zagłębili się więc w gąszcz palm, tykw, drzew pieprzowych i niezliczonych morichals, rozciągających się też za polami trzciny cukrowej i manioku.

Zaraz na początku *señor Miguel* ustrzelił jednego *cabiai*, a Jacques Helloch jelenia. *Señor Miguel*

ze swym *cabiai* na ramionach oraz Jacques Helloch i Germain Paterne niosący jelenia ruszyli w powrotną drogę do Augustino. Gdy znaleźli się o pięć lub sześć strzałów fuzji od wioski, postanowili zatrzymać się na odpoczynek.

Było bardzo gorąco i powietrze z trudem dostawało się pod kopułę gęstych drzew. W chwili, gdy wyciągnęli się u stóp palmy, gwałtownie poruszyły się gałęzie w gęstych zaroślach po ich prawej stronie. Wydawało się jakby jakieś potężne cielsko próbowało przedrzeć się przez gmatwaninę krzewów.

— Uwaga! — zwrócił się Jacques Helloch do swych towarzyszy. — To pewnie jakiś drapieżnik...

— Mam dwa naboje w karabinie... — odrzekł *señor* Miguel.

— Niech pan więc uważa, a ja naładuję swój — powiedział Jacques Helloch.

Gęstwina krzewów nie poruszała się już. Jednakże myśliwi, nadstawiając uszu, mogli usłyszeć dyszący oddech i chrapliwy pomruk, co do pochodzenia których nie można było się pomylić.

— To musi być ogromny zwierz — powiedział Germain Paterne, wysuwając się do przodu.

— Nie ruszaj się, zostań na miejscu — zatrzymał go Jacques Helloch. — Niewątpliwie mamy do czynienia z jaguarem lub pumą. Ale z czterema kulami, które na niego czekają...

— Uważajmy... uważajmy! — krzyknął *señor* Miguel. — Wydaje mi się, że widzę długi pysk wysuwający się z krzaków.

— Bez względu na to, kto jest właścicielem tego pyska... — powiedział Jacques Helloch.

I wygarnął z obu luf. Natychmiast poruszyły się zarośla, rozchylone jakimś strasznym podmuchem i ogromne cielsko wyłoniło się z krzaków. Rozległy się dwa nowe wystrzały. To *señor* Miguel wypalił ze swego karabinu. Tym razem zwierz padł na ziemię, wydając ostatni śmiertelny krzyk.

— Ach, to tylko tapir! — wykrzyknął Germain Paterne. — Doprawdy, nie był wart czterech porcji prochu i czterech kul!

Jednakże, jeśli to nieszkodliwe zwierzę nie było tego warte ze względów obronnych, to być może warte było z punktu widzenia kulinarnego. *Señor* Miguel i jego współtowarzysze nie zwrócili uwagi na krzyk jakiegoś Indianina, który śledził ich ukryty w zaroślach. Nie zauważyli również, że Indianin ten pobiegł co sił do wioski. Ponownie zarzucili na plecy jelenia i *cabiai*, i udali się w drogę, mając zamiar przysłać po tapira kilku marynarzy.

W Augustino miejscowa ludność była wyraźnie rozgniewana i przestraszona. Indianie otaczali naczelnika wioski. Wódz był nie mniej poruszony niż jego podwładni i gdy ukazali się Germain Paterne, *señor* Miguel i Jacques Helloch, podniosły się straszliwe okrzyki, okrzyki nienawiści i pragnienia pomsty.

Cóż się wydarzyło? Skąd taka nagła zmiana? Czyżby Piaroasi sposobili się do wrogich demonstracji? Do powracających myśliwych zbliżyli się pozostali podróżnicy.

— Co się dzieje? — zapytali ich.

— Valdez, który był w tym czasie w wiosce — odpowiedział Jean — zauważył jakiegoś Indianina, który przybiegł z lasu do naczelnika i słyszał, jak mówił mu, że zabiliście...

— Jednego *cabiai* i jednego jelenia, które przynieśliśmy — wyjaśnił *señor* Miguel.

— Ale także tapira?...

— Tak... jednego tapira — odrzekł Jacques Helloch — a cóż w tym złego, że zabiliśmy tapira?

— Do piróg... do piróg! — krzyknął ostro sierżant Martial.

Rzeczywiście, Indianie byli wzburzeni, gotowi do mordy. Indianie ci, z natury pokojowi, serdeczni, usłużni, byli teraz w stanie prawdziwego szału. Kilku z nich było uzbrojonych w łuki i strzały. Ich wrzask stawał się coraz głośniejszy. Wyraźnie mieli zamiar rzucić się na obcych. Niebezpieczeństwo rosło z każdą sekundą.

Czyżby przyczyną wzburzenia było zabicie tapira? Wyłącznie! Szkoda, że Jean nie uprzedził ich o tym, co zawierał jego przewodnik, że nie wolno uszczknąć ani jednego włosa tego gruboskórego. Dla tubylców, skłonnych do wszelakich zabobonów i wiary w wędrówkę dusz, było to zwierzę święte.

Jednakże ani *señor* Miguel, ani Jacques Helloch nie chcieli pozostawić jelenia i *cabiai*. Nadbiegli marynarze, chwycili ubitą zwierzynę i wszyscy podążyli ku łodziom.

Ludność, coraz bardziej podniecona, podążała za nimi. Naczelnik nie próbował uspokajać rozwścieczonych Indian — wprost przeciwnie. Maszerował na czele i wymachiwał łukiem. Wzburzenie krajowców doszło do szczytu, gdy czterech ludzi przybyło z tapirem na noszach z gałęzi. W tym czasie pasażerowie zdolali dotrzeć już do *falcas*, których pokłady stanowiły wystarczającą osłonę przed strzałami Indian, na szczęście nie mających broni palnej. Jacques Helloch pomógł Jeanowi jak najszybciej dostać się na „Gallinette”, zanim mógł się o to zatroszczyć sierżant Martial i polecił mu położyć się w kajucie. Następnie, towarzysząc Germainowi Paterne, skoczył na pokład „Morange”. Natomiast panowie Miguel, Varinas i Felipe znaleźli azyl na „Maripare”.

Cumy zostały zwolnione w chwili, gdy grad strzał spadł na pirogi poruszane *palincas*. Zanim osiągnięto środek rzeki, manewry były dość powolne i pirogi zostały wystawione na drugą salwę tubylców ustawionych wzdłuż brzegu. Na szczęście i tym razem nikogo nie trafiono. Większość strzał przeleciała ponad łodziami, oprócz kilku, które utknęły w osłonie kajut.

Señor Miguel wraz z dwoma kolegami. Jacques Helloch, Germain Paterne i sierżant Martial z bronią gotową do strzału rozmieścili się na dziobach i rufach piróg. Przyłożono karabiny do ramion i w kilkusekundowych odstępach rozległo się sześć strzałów, a potem jeszcze sześć następnych...

Siedmiu lub ośmiu Indian padło rannych, a dwóch Piaroasów stoczyło się z wysokiego brzegu i zniknęło pod wodą.

Wystarczyło to aż nadto, by wystraszona ludność, wśród dzikich wrzasków, rzuciła się do ucieczki ku Augustino. *Falcas* opłynęły cypel i z pomocą bryzy przepłynęły skośnie rzekę. Była szósta po południu gdy „Morange”, „Maripare” i „Gallinetta” dotarły na lewy brzeg i zarzuciły cumy na nocny postój.

XIV

Chubasco

O świtaniu, gdy ostatnie gwiazdy rozświetlały jeszcze horyzont na zachodzie, pasażerowie zostali zbudzeni przygotowaniami do dalszej drogi. San Fernando znajdowało się zaledwie o kilkanaście kilometrów. Już sama myśl, że tego samego wieczoru będzie się można przespać w prawdziwym pokoju, z prawdziwym łóżkiem, była bardzo przyjemna. Przecież byli już w podróży trzydzieści jeden dni, a także nocy, w czasie których musieli zadowolić się prymitywnymi esteras. Noclegi w Urbanie, w wioskach Atures i w Maipure pod strzechami chat i na posłaniach indiańskich też nie miały nic wspólnego z komfortem. Nikt nie miał zresztą wątpliwości, że San Fernando także nie usatysfakcjonuje ich w pełni w tym względzie.

Falcas osiągnęły wkrótce środek rzeki. Płynęły dość szybko dzięki podmuchom północno-wschodniego wiatru. Na nieszczęście pewne symptomy, co do których żeglarze z Orinoko nigdy się nie mylą, wskazywały, że ta bryza nie będzie trwać do końca żeglugi. Pirogi płynęły obok siebie i Jacques Helloch — zwracając się ku „Gallinetcie” — zawołał do Jeana, pozdrawiając go ręką:

— Jak się czujesz?

— Dziękuję panu, monsieur Helloch — odrzekł chłopiec.

— A pan, sierżancie Martial?

— Nie wydaje mi się, abym czuł się gorzej niż zwykle — zadowolił się taką repliką stary żołnierz.

— To widać... to widać — stwierdził Jacques Helloch wesołym tonem. — Mam nadzieję, że dzisiaj wieczorem wszyscy w doskonałym zdrowiu dotrzemy do San Fernando.

— Tego wieczoru?... — z powątpiewaniem powtórzył patron Valdez, kiwając głową.

W tym momencie *señor* Miguel, który dokładnie przyjrzał się niebu, włączył się do rozmowy.

— Czy nie jesteś zadowolony z pogody, Valdez? — powiedział.

— Niezbyt, *señor* Miguel. Oto chmury, które nadchodzą z południa. Wyglądają niedobrze!

— A wiatr nie rozpędzi ich?

— Jeśli się utrzyma ... być może... ale jeśli się uspokoi... tego się obawiam! Proszę się przyjrzeć, te chmury, które się tam podnoszą, są to chmury burzowe. Często poruszają się pod wiatr.

Jacques Helloch omiół spojrzeniem horyzont i doszedł do podobnego wniosku co kapitan „Gallinety”.

— Ale tymczasem korzystajmy z bryzy i pokonajmy możliwie jak najwięcej drogi.

— Nie zanedbujemy tego, monsieur Helloch — odrzekł Valdez.

Na razie pirogi nie miały opóźnień. Mogły używać ożaglowania do pokonania prądu, dość wartkiego między brzegami ciągnącymi się przez rozległe llanosy, przecięte kilkoma *mesas**, czyli pagórkami pokrytymi zielenią.

Łodzie, po opłynięciu skał Nericawa, dzięki wiejącemu wiatrowi przebyły nie bez pewnych trudności *raudal* Aji. Jego przesmyki były w tym czasie jeszcze dość głębokie i pozwalały na przepłynięcie między licznymi skałami. Gdyby któraś z pirog, porwana nieoczekiwanie przez prąd, została rzucona na podwodną skałę, na pewno skończyłoby się to niechybnym rozbiciem.

Marynarze równie szczęśliwie przebyli podobny *raudal* Castillito, ostatni, który utrudniał żeglugę po rzece w dół od San Fernando.

Jacques Helloch, po południowym posiłku, udał się na dziób „Morique”, by wypalić cygaro. Stwierdził, że Valdez nie pomylił się w swych przewidywaniach. Wiatr zamarł i bezsilne żagle nie mogły przeciwstawić się prądowi. Czasami lekki podmuch wypełniał je i pirogi zyskiwały kilka kabli odległości w górę rzeki. Szarawe chmury, zabarwione odcieniem sadzy, jak sierść drapieżnika, przesłaniały horyzont na południu. Długie rozczochrane ogony wiły się w oddali. Słońce, znajdujące się w zenicie, wkrótce zniknęło za grubą zasłoną oparów.

— Tym lepiej! — stwierdził wtedy Germain Paterne, którego opalone policzki perliły się kropelkami potu.

— Tym gorzej! — odparł Jacques Helloch. — Byłoby lepiej zanurzyć się w wodzie niż narażać się na burzę w tej części rzeki, gdzie nie widzę żadnego schronienia.

— Nie ma już czym oddychać — zauważył seńor Felipe, zwracając się do swych kolegów — i jeśli wiatr całkowicie ustanie, chyba się podusimy...

— A czy wiecie, ile stopni wskazuje termometr w kabinie? — dodał seńor Varinas. — Trzydzieści siedem stopni i jeśli temperatura podniesie się choć trochę, ugotujemy się!

— Nigdy nie było mi tak gorąco! — stwierdził jedynie seńor Miguel, wycierając spocone czoło.

„Gallinetcie”, „Maripare” i „Morique” udało się około trzeciej dotrzeć do wielkiej wyspy oznaczonej na mapie nazwą Amanameni — wyspy zalesionej, pokrytej gęstymi zaroślami, ze stromym brzegiem. Płynąc w górę tym ramieniem rzeki, gdzie prąd był słaby, podciągając się *espillami*, marynarze osiągnęli południowy kraniec wyspy.

Słońce skryło się już za skłębionymi wałami chmur, zdających się przetaczać jedno po drugim. Długotrwałe pomruki grzmotów dochodziły z południa. Pierwsze błyskawice przecinały gęstwą chmur i groziły wybuchem. Żadnego podmuchu z północy. Burza rozciągała swe elektryczne skrzydła od wschodu do zachodu. Cała powierzchnia nieba została wkrótce pokryta ciemnymi zwałami.

Dla ostrożności żagle na pirogach zostały ściągnięte, tym bardziej że nie było już z nich pożytku. Dla ostrożności również zostały zdjęte maszty, które położono wzdłuż łodzi. *Falcas* zaczęły poddawać się prądowi, a załogi chwyciły się za *palancas* i resztkami sił starały się pokonać szybki prąd rzeki.

W ten sposób pirogi dotarły do wyspy Guayartivari, o obszarze nie mniej znacznym. Wzdłuż stromych brzegów można było dość wygodnie

holować łodzie. Dzięki temu pirogi wcześniej znalazły się u krańca wyspy w górze rzeki. Podczas gdy holujące załogi odpoczywały przed rozpoczęciem pracy z *palancas*, *señor* Miguel zbliżył się do „Moriche” i zapytał:

— Ile nas jeszcze dzieli od San Fernando?

— Trzy kilometry — odpowiedział Jacques Helloch, który dopiero co sprawdzał mapę rzeki.

— A więc te trzy kilometry trzeba pokonać po południu — stwierdził *señor* Miguel.

I zwracając się do marynarzy:

— Zróbmy więc moi przyjaciele — krzyknął gromkim głosem — ten ostatni wysiłek! Nie pożałujecie tego i wasz trud będzie dobrze wynagrodzony! Każdy z was dostanie po dwa piastry, jeśli przed wieczorem zacumujemy na przystani w San Fernando!

Współtowarzysze *señora* Miguela potwierdzili tę obietnicę. Znęcone zaoferowaną nagrodą, załogi trzech pirog wydawały się gotowe do dokonania cudów. Łodzie znalazłyby się wkrótce u ujścia Guaviare, która żłobi głęboko lewy brzeg Orinoko, chyba żeby było to Orinoko, które drąży głęboko prawy brzeg Guaviare — w wypadku gdyby rację miał *señor* Varinas.

Nic dziwnego więc, że obrońca Guaviare, z lornetką przy oczach, wodził rozgorączkowanym wzrokiem po szerokim estuarium, do którego wlewały się ilaste i żółtawe wody jego ulubionej rzeki. *Señor* Felipe natomiast zapytał ironicznym tonem, choć doskonale znał odpowiedź:

— Co to za strumyk?

Ten strumyk, to Guaviare, którym statki mogą płynąć w górę na tysiąc kilometrów... strumyk, którego dopływy zraszają terytorium aż po podnóże Andów... strumyk, którego udział wynosi trzy tysiące dwieście metrów sześciennych na sekundę!

Na to złośliwe pytanie *señora* Felipe nikt nie odpowiedział, nikt nie miał czasu odpowiedzieć lub raczej odpowiedzią było jedno słowo, które wydobyło się nagle z ust marynarzy trzech *falcas*.

— *Chubasco... chubasco!*

Rzeczywiście, taka jest indiańska nazwa tego straszliwego uderzenia wiatru, który właśnie

rozszalał się na granicy horyzontu. *Chubasco* runął w łóżysko Orinoko jak lawina. Wydaje się to dziwne, niewytłumaczalne dla kogoś, kto nie jest oswojony z tymi zjawiskami charakterystycznymi dla llanosów wenezuelskich, że nadciąga on właśnie z północnego zachodu i rzuca się na ich powierzchnię.

Chwilę przed tym atmosfera była spokojna — więcej niż spokojna: ciężka, gęsta, a powietrze jakby zakrzepłe. Chmury, nasycone elektrycznością, pokrywały niebo. Nagle burza, zamiast nadejść z południa, wybuchła z innego kierunku. Wiatr napotkał masy pary wodnej, rozproszył je, zgromadził inne — wypełnione zawieruchą, gradem, deszczem...

Pirogi zostały odepchnięte od ujścia Guaviare i pchane w kierunku San Fernando. Gdyby nawałnica nie groziła niebezpieczeństwem, pasażerowie nie powinni byli mieć nic przeciwko temu. Lecz na nieszczęście najczęściej *chubascos* prowadzą do ruiny. Kto tego nie doświadczył, nie może mieć pojęcia o ich gwałtowności. Wywołują one podmuchy, wymieszane z kulkami gradu, których uderzeń nie wytrzymałyby słomiane osłony łodzi, przestrzeliwane na wylot.

„Maripare”, „Moriche” i „Gallinetta” oparły się pierwszemu atakowi huraganu. *Falcas*, pchane z wściekłością, miotane przez nacierające fale nie ustępujące tym na oceanie, wpadały jedna na drugą, zderzały się, groziły rozdarciem lub roztrzaskaniem o przybrzeżne skały. Zakładając nawet, że pasażerom udałoby się dopłynąć do brzegu i uratować, to ich bagaże byłyby w całości stracone.

Na razie łodzie podskakiwały na wzburzonej powierzchni rzeki. Kapitanom nie udawało się utrzymać ich we właściwym kierunku wiosłami rufowymi, którymi na próżno usiłowali manewrować. Gdy ogromne fale uderzały o pokład, łodzie kręciły się jak zabawki. Zalewane wodą, na wpół zanurzone, bez wątpienia poszłyby na dno, gdyby marynarze nie zajęli się ich opróżnianiem, a pasażerowie nie dołączyli do nich.

Panowie Miguel, Varinas i Felipe byli gotowi na wszelkie ewentualności. Jeden z nich wykrzyknął:

— Zatonąć tak blisko portu!

Na pokładzie „Gallinetty” sierżant Martial usiłował zachować spokój. Gdyby był sam, gdyby musiał martwić się tylko o siebie, pogodziłby się z losem jak stary żołnierz, który widział wiele innych tragedii! Lecz Jean... syn jego pułkownika ... to dziecko, któremu zgodził się towarzyszyć w tej awanturniczej podróży... Jak je uratować, jeśli piroga zatonie, zanim dopłyną do brzegu? Sierżant Martial nie umiał pływać, a jeśli nawet umiałby, co mógłby zrobić pośród tych rozszalałych wód, popychanych uderzeniami piorunów? Jednakże rzuciłby się w topiel i gdyby nie udało mu się uratować Jeana, zginąłby razem z nim!

Chłopiec zachowywał zimną krew, podczas gdy sierżanta spokój zaczął chyba opuszczać. Wyszedł na pokład i kurczowo trzymał się burty na rufie. Dostrzegł niebezpieczeństwo i nie odwracał od niego oczu... Wymawiał cicho imię swego ojca...

Jacques Helloch nie tracił chłopca z oczu i gdy *falcas* zbliżały się pokładami, ryzykując rozbiciem, myślał tylko o tym, aby dodać mu otuchy. A potrzebował jej ten młody chłopiec, chociaż nie drżał

przed groźbą śmierci!

— Jeszcze dwie minuty, a będziemy przy brzegu! — zawołał Germain Paterne, stojąc na dziobie „Morique”.

— Bądźmy gotowi — odrzekł Jacques Helloch stanowczym tonem — gotowi do ratowania innych!

Lewy brzeg Orinoko był odległy nie więcej niż o dwieście metrów. Dzieliło ich jedynie zakole, jakie kreśliła rzeka, łącząc się z ujściem Guaviare. Dostrzeżono już go, przez smugi deszczu i gradu, cały w białych bryzgach pokrywających skały. Za kilka chwil pirogi dotrą do niego, gdyż siła *chubasco* zwiększała się. Tymczasem łodzie ustawiły się poprzecznie i rzucały pośród fal, które je prawie nakrywały. Nagle nastąpiło uderzenie. To „Morique” zaczęła o „Gallinette”. Wstrząs był tak silny, że „Gallinette” przechyliła się i woda przelała się przez burtę. Na szczęście nie przewróciła się. Lecz oto przez ogłuszający ryk burzy przebił się straszny krzyk. To krzyczał sierżant Martial. W momencie kolizji Jean został strącony w wiry wodnej topieli.

— Moje dziecko... moje dziecko!... — powtarzał stary żołnierz, który nagle stracił nie tylko głowę, ale i władzę w kończynach.

Nie ma wyjścia, musi rzucić się w skłębione wody. Cóż innego mógł zrobić? Ale Jacques Helloch przytrzymał go swymi silnymi ramionami, a potem pchnął na dno pirogi. Jacques Helloch znalazł się tam dlatego, że skoczył na pokład „Gallinetty”, aby być bliżej chłopca. W chwili, gdy Jean zniknął, usłyszał jak sierżant Martial wypowiedział imię... tak!... inne imię... i to nie było imię Jean.

— Ja się tym zajmę! — krzyknął Jacques Helloch.

— Pan mnie nie powstrzyma! — opierał się sierżant Martial.

— Pan nie umie pływać... zginiecie obaj! Ja... to ja... uratuję pańskie dziecko!

I Jacques Helloch skoczył do wody. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund.

Kilkanaście pchnięć ramion i Jacques Helloch dotarł do Jeana, który po paru wynurzeniach na powierzchnię zaczynał wyraźnie tonąć. Chwycił go w pasie, wynurzył głowę nad wodę i począł holować do brzegu.

— Odwagi... odwagi! — powtarzał mu.

Jean, z zamkniętymi oczyma, pozbawiony świadomości, nie mógł go usłyszeć ani zrozumieć.

Pirogi były dwadzieścia metrów z tyłu. Podczas gdy Valdez trzymał sierżanta Martiala oszalałego z rozpaczy, widziano, jak Jacques Helloch podtrzymuje chłopca na wzburzonej powierzchni. Podmuchy wiatru popychały obu ku brzegowi. W końcu dotarły tu również *falcas* i szczęśliwym zbiegiem okoliczności zostały uniesione potężną falą i osadzone na piaszczystym brzegu — bez większych uszkodzeń. W tej samej chwili Jacques Helloch wyszedł z wody i poczuł grunt pod nogami. W ramionach unosił Jeana, który stracił przytomność. Gdy położono go na skale i uniesiono lekko głowę, zaczął przychodzić do siebie.

Szczęśliwie nikt nie zginął w czasie tej burzy. *Señor* Miguel i jego towarzysze wyskoczyli z „Maripare”, kierując się ku Jacquesowi Hellochowi, klęczącemu nad chłopcem. Germain Paterne, zdrowy i cały, nadbiegł także. Załogi holowały łodzie. Sierżant Martial przybiegł w chwili, gdy Jean otwierając oczy, skierował spojrzenie ku swemu wybawcy.

— Moje dziecko... moje dziecko! — wołał.

— Martial... mój poczciwy Martial! — wyszeptał Jean.

Następnie, po ostatnim podziękowaniu temu, który uratował go od śmierci, zamknął ponownie oczy.

O pięćset metrów na lewo widać było pierwsze domy San Fernando, gdzie podążono bez ociągania się. Jacques Helloch miał zamiar wesprzeć ramieniem młodego chłopca, gdy sierżant Martial powiedział mu:

— Jeśli nie umiem nawet pływać, to jednak potrafię maszerować... mój panie, i nie brakuje mi sił, aby ponieść moje dziecko!

Było to całe podziękowanie, jakie skierował do młodego człowieka. Sierżant Martial z Jeanem w ramionach, w towarzystwie *señora* Miguela i jego dwóch kolegów, Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne udał się nadbrzeżną ścieżką, prowadzącą do miasteczka.

XV

San Fernando

Panowie Miguel, Felipe i Varinas znaleźli dach nad głową u gubernatora, który uważał za zaszczyt gościć trzech notabli z Ciudad Bolivar. Siedziba Jego Ekscelencji na pewno wypełni się hałaśliwymi i zażartymi dyskusjami. W tej chwili jednak rzecznicy obu dopływów udali się na odpoczynek po trudach podróży dolnym i środkowym biegiem Orinoko, trwającej ponad sześć tygodni.

Sierżant Martial i Jean de Kermor zamieszkali w dość przyzwoitym hotelu, niedaleko od portu, oczekując na nowe informacje, umożliwiające im rozpoczęcie poszukiwań w takim lub innym kierunku.

Tymczasem Jacques Helloch i Germain Paterne woleli nie opuszczać swej pirogi. Przyzwyczajeni do pływającego mieszkania, czuli się tutaj lepiej niż gdziekolwiek indziej. To przecież „Morique” doprowadziła ich do San Fernando i to „Morique” zabierze ich z powrotem do Caicary, gdy zakończą swą naukową misję.

Nie trzeba dodawać, że gdy tylko ucichły ataki chubasco, marynarze doprowadzili trzy *falcas* do portu w San Fernando. Operacja została zakończona tego samego wieczoru, gdyż te uderzenia wiatru uspokajają się zwykle po dwóch lub trzech godzinach.

Współtowarzysze podróży, żywo zainteresowani śmiałymi zamiarami Jeana de Kermora, postanowili zespolic swe wysiłki w celu uzyskania nowych informacji. *Señor* Miguel i jego dwaj koledzy chcą zasięgnąć języka u gubernatora San Fernando, a nikt poza nim nie przeprowadzi lepiej śledztwa. Jacques Helloch i Germain Paterne, ze swej strony, uczynią wszystko co tylko możliwe i niemożliwe, aby przyjść z pomocą swym rodakom. Mieli oni zresztą list polecający do bardzo uczynnego mieszkańca miasteczka, białego, sześćdziesięcioośmioletniego *señora* Mirabala, o którym Chaffanjon w swym raporcie z ekspedycji do źródeł Orinoko pisze z wielką wdzięcznością. Dwaj Francuzi, a właściwie czterej, powinni być jak najlepiej przyjęci w tej uczciwej, serdecznej i chętnej do pomocy rodzinie.

Wróćmy jednak na chwilę nad brzeg Orinoko. Jak pamiętamy, sierżant Martial niósł w swych ramionach Jeana. Panowie Varinas, Felipe i Miguel maszerowali na przedzie, za nimi Jacques i Germain Paterne. Tenże zapewniał, że spokojnie spędzona noc przywróci chłopcu wszystkie siły. Był na tyle roztropny, że zabrał ze sobą apteczkę z lekarstwami. Sierżant Martial, co wydawało się tak niesympatyczne, że aż niezrozumiałe, starał się ciągle trzymać Germaina Paterne na dystans i gdy ten próbował zbliżyć się do chłopca, mruczał pod nosem:

— Już dobrze... już dobrze!... Mój siostrzeniec oddycha tak samo jak pan i ja... i nic nam nie będzie potrzeba, gdy „Gallinetta” dotrze do portu...

— Za kilka godzin — potwierdził Jacques Helloch, który wiedział od Valdeza i Parchala, że pirogi przybędą przed nocą.

— To dobrze — podjął sierżant Martial — i obyśmy tylko znaleźli wygodne łóżko w San Fernando. A propos, monsieur Helloch, dziękuję panu za uratowanie małego!

Bez wątpienia było to proste i bardzo krótkie podziękowanie, lecz jakim osobliwym tonem ozdobił je sierżant i jakim podejrzliwym spojrzeniem obrzucił Jacquesa Hellocha! Tenże nie odpowiedział nic, pochylił jedynie głowę i pozostał kilka kroków z tyłu.

Tak się miały sprawy, gdy „rozbitkowie” dotarli do miasteczka. Tu, według wskazówek *señora* Miguela, sierżant Martial wynajął dwa pokoje. W jednym z nich Jeanowi będzie znacznie wygodniej niż w nadbudówce „Gallinety”.

Germain Paterne wiele razy w ciągu wieczora, w towarzystwie swego kolegi, chciał uzyskać wiadomości o stanie chłopca. Za całą odpowiedź za każdym razem otrzymywał zapewnienie sierżanta, że wszystko będzie dobrze, że może się obejść bez ich pomocy, za którą dziękuje.

I tak było naprawdę. Młody de Kermor wypoczywał w spokoju, a gdy piroga zacumowała w porcie, Valdez przyniósł walizę zawierającą niezbędne odzienie, przygotowane przez sierżanta Martiala. A gdy następnego ranka Germain Paterne przybył w podwójnej roli — lekarza i przyjaciela, wystarczyła ta druga. Jean nie odczuwając już zmęczenia poprzedniego dnia, mimo pomruków swego wuja, przyjął go jak najserdeczniej, niesłychanie wdzięczny za pomoc.

— Przecież mówiłem panu, że to drobiazg — stwierdził po raz któryś sierżant Martial.

— Miał pan rację, sierżancie, lecz to mogło być poważne i bez mego przyjaciela Jacquesa...

— Zawdzięczam życie panu Hellochowi — odrzekł Jean — i gdy go tylko zobaczę... nie wiem jak będę mógł mu wyrazić wdzięczność.

— Wypełnił tylko swój obowiązek — odparł Germain Paterne — i nawet gdybyś nie był naszym rodakiem...

— Już dobrze... już dobrze... — zamruczał sierżant Martial — i kiedy spotkamy pana Hellocha...

Nie spotkano go jednak tego ranka. Czyżby miał zamiar trzymać się na uboczu? Czyżby chciał uniknąć podziękowań? Jedno jest pewne: był bardzo zamyślony, milczący i pozostawał na pokładzie „Morange”. Germain Paterne, przekazując mu wiadomości o chłopcu, nie mógł wyciągnąć z niego ani słowa.

Jednakże Jacques Helloch i Jean spotkali się tego popołudnia. Pierwszy nieco zakłopotany — sierżant Martial obserwując go, przygryzał wąsa — wziął podaną mu przez chłopca rękę. lecz nie uścisnął jej tak mocno, jak to miał w zwyczaju.

Spotkanie nastąpiło u *señora* Mirabala. Jacques Helloch znalazł się tam z listem polecającym, który przekazał temu wspaniałemu starcowi. Natomiast sierżant Martial i Jean poszli tam po informacje o pułkowniku de Kermorze.

Señor Mirabal okazał radość ze spotkania. Zapewnił, że jest całkowicie do ich dyspozycji.

Sympatia, jaką odczuwał wobec swych gości, których językiem zresztą mówił, objawiła się w gorliwości, z jaką chciał im udzielić wszelkich informacji. Spotkał był doktora Crevaux, gdy tędy przepływał... pamięta Chaffanjona, któremu miał okazję oddać przysługę... uczyni nie mniej dla Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne... dla sierżanta Martiala i jego siostrzeńca, którzy mogą liczyć na niego w każdych okolicznościach.

Młodzieniec zaznajomił więc gospodarza z przyczynami, które przywiodły go do Wenezueli i sympatia *señora* Mirabala jeszcze wzrosła. Wracając pamięcią czternaście lat wstecz, *señor* Mirabal nie mógł przypomnieć sobie obecności w San Fernando pułkownika o tym nazwisku. Głęboki smutek ukazał się na twarzy Jeana, a z oczu potoczyło się kilka łez.

— Monsieur Mirabal — zapytał Jacques Helloch — od jak dawna pan tu mieszka?

— Więcej niż czternaście lat, monsieur Helloch — odrzekł starzec — i opuszczałem San Fernando rzadko i na krótko. Jeśli jakiś podróżny, taki jak pułkownik de Kermor spędziłby tu kilka dni, na pewno bym o tym wiedział. Nasze miasteczko nie jest ani takie wielkie, ani tak zaludnione, aby nie zwrócono uwagi na cudzoziemca, a ja byłbym o tym poinformowany.

— Ale jeśli chciał zachować incognito...

— A czy miałby powody, aby tak postępować? — dodał *señor* Mirabal.

— Proszę pana — rzekł Jean — mój ojciec opuścił Francję przed czternastoma laty i jego przyjaciele dowiedzieli się o wyjeździe dopiero dużo później. Mój wuj, sierżant Martial, nie znał także zamiarów swego pułkownika.

— Nie, z pewnością! — wykrzyknął stary żołnierz — gdybym je znał, nie pozwoliłbym mu.

— A ty drogie dziecko? — zapytał *señor* Mirabal.

— Ja nie mieszkałem w tym czasie w domu mego ojca — odpowiedział Jean nie bez pewnego wahania. — Moja matka i ja byliśmy w koloniach. W czasie gdy wracaliśmy do Francji, zginęła w katastrofie na morzu. Mnie udało się uratować i gdy kilka lat później wróciłem do Bretanii, mego ojca nie było już w Nantes... i nie wiedziałem, co się z nim stało...

Niewątpliwie w życiu tego młodego chłopca była jakaś tajemnica, której istnienie Jacques Helloch już wcześniej przeczuwał. Ale ponieważ nie wypadało mu jej zgłębiać, zachowywał dużą powściągliwość.

— A jakie macie podstawy — powiedział *señor* Mirabal — aby sądzić, moje dziecko, że twój ojciec przybył do San Fernando?

— Podstawy niezbyt pewne, monsieur, ale realne.

— Jakie?

— List napisany przez mego ojca, podpisany przez niego, datowany w San Fernando, otrzymał

jeden z jego przyjaciół w roku 1879.

— To jest realne, rzeczywiście, mimo że — dodał *señor* Mirabal — istnieje w Wenezueli drugie miasteczko o tej samej nazwie, na wschód od Orinoko... San Fernando de Apure...

— List nadszedł z San Fernando de Atabapo i miał znaczek pocztowy z datą 12 kwietnia 1879 roku.

— A dlaczego, drogie dziecko, natychmiast nie zaczęliście poszukiwać?

— Ponieważ... wuj i ja dowiedzieliśmy się o tym liście dopiero przed trzema miesiącami. Przyjaciel, do którego był skierowany, nie pokazał go nikomu i dopiero po jego śmierci rodzina nam go przekazała. Ach! gdybym nie był tak daleko w chwili, gdy mój ojciec opuszczał ojczyznę, nie byłby wyjechał.

Señor Mirabal, bardzo poruszony, przyciągnął Jeana i ucałował go serdecznie. Co może uczynić, by przyjść mu z pomocą?... Zastanawiał się nad tym... Ten jednak fakt był najważniejszy — list został napisany przez pułkownika de Kermora, datowany 12 kwietnia 1879 roku i wysłany z San Fernando de Atabapo.

— Niestety — powiedział *señor* Mirabal — nic mi się więcej nie przypomina. Nic, naprawdę nic... mimo że w tym czasie byłem na pewno w San Fernando.

— Jak to — zawołał zrozpaczony Jean — mój ojciec przebywał tutaj... musiał tu mieszkać jakiś czas... i nie zostawił żadnego śladu swego pobytu?

Zaczęły nim wstrząsać łkania, gdyż rozwiała się ostatnia nadzieja wobec tak precyzyjnych i tak smutnych oświadczeń *señora* Mirabala.

— Nie rozpaczaj... Jean (tym razem nie powiedział: mój drogi Jean) — podjął Jacques Helloch, niezdolny także do opanowania swego rozczarowania. — Oczywiście, pułkownik de Kermor mógł przybyć do San Fernando, a *señor* Mirabal mógł o tym nie wiedzieć.

Starzec potrząsnął głową.

— Być może spotkały go inne osoby... — kontynuował Jacques Heliach. — Będziemy szukać, będziemy pytać. Powtarzam ci... Jean... nie można rezygnować.

Sierżant Martial milczał... Spoglądał na chłopca... Zdawał się mówić mu to, co wielokrotnie powtarzał przed wyruszeniem na wyprawę: „Zobaczysz, moje biedne dziecko, że podróż będzie zupełnie bezużyteczna!”

— Mimo że nie wiem nic o pobycie pułkownika de Kermora — dorzucił konkludując *señor* Mirabal — rozpocznę poszukiwania. Rozpylam mieszkańców San Fernando. Zapewniam cię także, że nie wolno rozpaczać. Że twój ojciec był w San Fernando, to pewne... Ale czy podróżował pod swoim nazwiskiem? Czy występował jako pułkownik?

Tak! Istniała jeszcze taka hipoteza, w zasadzie do przyjęcia, choć nie bardzo wiadomo, dlaczego pułkownik miałby ukrywać swe nazwisko i godność.

— A może — zauważył Jacques Helloch — monsieur de Kermor, przejeżdżając przez San Fernando, chciał pozostać nie rozpoznany...

— Z jakiego powodu? — zapytał *señor* Mirabal.

— Mego ojca spotkały wielkie nieszczęścia — odpowiedział chłopiec, bardzo wzruszony, z mocno bijącym sercem. — Po śmierci mej biednej matki sądził, że jest sam na świecie...

— Ale ty, moje drogie dziecko?

— Sądził, że ja też nie żyję — odpowiedział Jean, podczas gdy sierżant Martial nie przestawał mruzczyć w swym kącie.

Było widoczne, że tego rodzaju przesłuchanie zdecydowanie mu się nie podobało. Dotykało bowiem pewnych spraw, mających związek z przeszłością jego rzekomego siostrzeńca, a które usilnie chciał pozostawić w cieniu.

Ani *señor* Mirabal, ani Jacques Helloch nie nalegali więcej. Pułkownik de Kermor, doświadczony tyłoma nieszczęściami, mógł zdecydować się wyjechać w sekrecie — do tego stopnia, że nawet dawny towarzysz broni o niczym nie wiedział. A więc było całkiem możliwe, że zmienił nazwisko, nie chcąc by kiedykolwiek odkryto miejsce, gdzie postanowił ukryć swe życie, zdruzgotane przez tyle doświadczeń.

Sierżant Martial i chłopiec pożegnali więc *señora* Mirabala i wyszli, obaj głęboko zasmuceni. Jednakże starzec obiecał im przecież dowiedzieć się o wszystkim, co mogłoby dotyczyć pułkownika de Kermora, a nikt nie wątpił, że dotrzyma obietnicy. Dotarli do oberży i tego dnia już jej nie opuszczali.

Nazajutrz, w obecności *señora* Miguela, Jean miał spotkanie z gubernatorem tej prowincji Orinoko. Jego Ekscelencja nie mógł mu również nic powiedzieć o ojcu. W San Fernando rezydował dopiero od pięciu lat. Obiecał przyłączyć się jednak do poszukiwań, których podjął się *señor* Mirabal.

Upłynął drugi dzień, a sprawa nie ruszyła z miejsca. Sierżant Martial nie przestawał się złościć! Dotrzeć tak daleko, doświadczyć tylu niebezpieczeństw, a wszystko na marne... Jak mógł zgodzić się na tę podróż! Jednakże starał się swymi skargami mimowolnie nie zwiększać smutku Jeana, już dość przygnębionego i zdesperowanego.

Jacques Helloch zajął się ze swej strony zbieraniem informacji. Niestety jego wysiłki były daremne. Wróciwszy na pokład „Morange” pograżył się w smutku, który zaczął niepokoić Germaina Paterne. Jego przyjaciel, urodzony gawędziarz, z takim poczuciem humoru, tak skory do zwierzeń, teraz zaledwie odpowiadał na pytania.

— Co z tobą? — zapytał go Germain Paterne.

— Nic.

— Nic... to czasami znaczy wiele! Oczywiście, sytuacja tego biednego chłopca jest godna pożałowania, przyznaję to, lecz w końcu nie możesz stracić z oczu swojej misji.

— Moja misja!

— Minister Edukacji Publicznej nie wysłał cię nad Orinoko po to, by odnaleźć pułkownika de Kermora.

— A dlaczego nie?

— Porozmawiajmy poważnie! Byłeś bardzo szczęśliwy, gdy uratowałeś syna pułkownika...

— Syna! — wykrzyknął Jacques Helloch. — Ach!... syna! No dobrze, Germain, być może... Tak! Być może byłoby lepiej, gdyby Jean zginął, jeśli nie uda mu się odnaleźć ojca.

— Nie rozumiem, Jacques...

— Ponieważ są to sprawy, o których nic nie słyszałeś, o których nie możesz nic wiedzieć!

— Dziękuję!

I Germain Paterne postanowił więcej nie wypytywać swego towarzysza, zastanawiając się, co leży u podstaw tego niezwykłego uczucia dla młodego de Kermora.

Nazajutrz, gdy Jean wraz z sierżantem Martialem przybyli do *señora* Mirabala, tenże, w towarzystwie Jacquesa Hellocha, sposobił się do złożenia im wizyty.

Od mieszkańców San Fernando dowiedział się, że jakiś cudzoziemiec, przed kilkunastoma laty rzeczywiście przebywał w miasteczku. Nikt nie mógł potwierdzić, czy ten cudzoziemiec był Francuzem i wydawało się, że miał szczególne powody, by zachowywać absolutne incognito. W ciemności otaczającej tę tajemniczą sprawę, zapłonęło światelko nadziei.

— A gdy ten podróżny opuścił San Fernando, monsieur Mirabal — zapytał Jean — czy wiadomo, w którą stronę się skierował?...

— Udał się w regiony górnego Orinoko.

— I od tego czasu nie było wiadomości?

— Nie wiadomo, co się później wydarzyło.

— Będzie wiadomo, być może — powiedział Jacques Helloch — po przeprowadzeniu poszukiwań w tej części rzeki.

— Byłaby to wyprawa pełna niebezpieczeństw — zauważył *señor* Mirabal — oparta na wskazówkach tak niejasnych.

Sierżant Martial potwierdzał gestami obawy *señora* Mirabala. Jean milczał, lecz z jego zdecydowanej postawy, z ognia błyszczącego w spojrzeniu, czuło się stanowczą wolę kontynuowania podróży bez względu na niebezpieczeństwa. *Señor* Mirabal zrozumiał to dobrze, gdy Jean powiedział:

— Dziękuję panu, *señor* Mirabal. Dziękuję również panu, monsieur Helloch. Pewien cudzoziemiec był widziany w czasie, gdy mój ojciec przebywał tu, w czasie, gdy napisał list z San Fernando.

— Bez wątpienia, ale na podstawie tego sądzić, że to był pułkownik de Kermor... — zauważył starzec.

— Dlaczego nie — zawołał Jacques Helloch — a czy nie jest możliwe, że to był on?

— Ponieważ ten cudzoziemiec udał się do górnego Orinoko — powiedział Jean — ja również tam się skieruję.

— Jean... Jean! — wykrzyknął sierżant Martial, zbliżając się do chłopca.

— Pójdę! — powtarzał Jean tonem wskazującym na niezachwiane postanowienie.

Następnie, zwracając się do starca, zapytał:

— Czy w górnym Orinoko istnieją jakieś miasteczka, wioski, gdzie mógłbym zasięgnąć informacji, *señor* Mirabal?

— Wioski... jest ich wiele... Guachapana, Esmeralda, jeszcze inne. Jednakże według mnie, jeśli chcesz odnaleźć ślady ojca, drogie dziecko, trzeba szukać poza źródłami rzeki. W Misji Santa Juana.

— Słyszeliśmy już o tej misji — zauważył Jacques Helloch. — Czy została założona w ostatnim czasie?

— Została utworzona już przed kilku laty — odrzekł *señor* Mirabal — i rozwija się pomyślnie.

— Czy to misja hiszpańska?...

— Tak, kieruje nią misjonarz hiszpański, Padre Esperante.

— Jak tylko zakończymy przygotowania do podróży — zdecydował Jean — wyruszymy do Santa Juana.

— Moje drogie dziecko — podjął starzec — muszę ci uświadomić, że w dorzeczu górnego Orinoko jest bardzo niebezpiecznie. Istnieje ryzyko wpadnięcia w ręce Indian, słynących z okrucieństwa... tych strasznych Quivasów, którym obecnie przewodzi zbiegły galernik z Cayenne.

— Nie zawaham się — odpowiedział Jean — chcę odnaleźć ojca.

Ta odpowiedź młodego chłopca zakończyła rozmowę. *Señor* Mirabal pojął, że nic go nie zatrzyma. Że pójdzie „do końca”, jak się wyraził. Sierżant Martial, całkowicie zrozpaczony, wyszedł za Jeanem. Resztę dnia spędzili na „Gallinetcie”.

Jacques Helloch został sam z *señorem* Mirabalem.

— Jeśli ma pan jakiś wpływ na niego, monsieur Helloch — dodał — proszę odwieść go od tego projektu, który opiera się na tylu niewiadomych. Proszę go powstrzymać od tej podróży.

— Nic go nie zawróci, *señor* Mirabal — stwierdził Jacques Helloch. — Ja go znam... nic!

Jacques Helloch powrócił na pokład „Moriche”, zatroskany jak nigdy. Nawet nie odpowiedział na kilka pytań swego towarzysza. Siedząc na rufie pirogi, przyglądał się Valdezowi i dwóm jego ludziom, zajętym przygotowaniem „Gallinetty” do dalekiej podróży. Należało ją całkowicie rozładować, by sprawdzić dno i dokonać koniecznych napraw.

Jacques Helloch obserwował także Jeana, który nadzorował tę pracę. Być może młodzieniec oczekiwał, że Jacques Helloch przemówi do niego i zechce zwrócić mu uwagę na lekkomyślność jego zamiarów. Tenże jednak milczał. Pograżony w swych myślach, wydawał się dręczony jakąś *idée fixe*... jednym z tych pomysłów, które lęgną się w mózgu i które go pożerają.

Nadszedł wieczór. Koło ósmej Jean miał zamiar udać się do oberży na nocny odpoczynek.

— Dobry wieczór, monsieur Helloch — pozdrowił.

— Dobry wieczór, Jean — odpowiedział Jacques Helloch, podnosząc się jakby miał zamiar towarzyszyć chłopcu.

Jean szedł nie odwracając głowy i zniknął między chatami o sto kroków dalej. Sierżant Martial pozostawał na brzegu, bardzo zdenerwowany na myśl o kroku, jaki postanowił poczynić. W końcu zdecydował się i zwracając się ku „Moriche” wykrztusił:

— Monsieur Helloch, miałbym dwa słowa do pana.

Jacques Helloch zszedł z łodzi i zbliżył się do starego żołnierza.

— Co chce mi pan powiedzieć, sierżancie? — zapytał.

— Miałbym ogromny dług wdzięczności wobec pana... gdyby pan zechciał przekonać mego siostrzeńca... który pewnie posłuchałby pana... aby nie podejmował się tej podróży...

Jacques Helloch spojrzał sierżantowi Martialowi prosto w oczy. Następnie, po pewnym wahaniu, odpowiedział:

— Nie wyperswaduję mu tego, bo to jest niemożliwe, pan dobrze o tym wie. A ja, pod warunkiem,

że będzie to panu odpowiadać, podjąłem pewne postanowienie...

— Jakie?

— Postanowiłem towarzyszyć Jeanowi.

— Pan... towarzyszyć memu siostrzeńcowi?

— Który nie jest pańskim siostrzeńcem, sierżancie ...

— On... syn pułkownika...

— Który nie jest jego synem, lecz jego córką... córką pułkownika de Kermora!

Część 2

I

Kilka słów o przeszłości

Rankiem 2 października, około ósmej, pirogi „Gallinetta” i „Moriche” przedostały się przez odnogę płynącą na prawo od półwyspu Atabapo i wzięły kurs ku górnemu Orinoko, korzystając z pomyślnego wiatru północno—zachodniego. Sierżant Martial nie mógł zabronić Jacquesowi Hellochowi towarzyszenia „jemu i jego siostrzeńcowi” aż do Misji Santa Juana. Można było przypuszczać, że sekret Jeanne de Kermor będzie znany także Germainowi Paterne. Miejmy nadzieję, że sekretu tego, tak dokładnie strzeżonego aż dotąd, dwaj młodzi ludzie potrafią dochować wobec panów Miguela, Felipe, Varinasa, Mirabala i gubernatora prowincji. Jeśli poszukiwania się powiodą, to pułkownik de Kermor osobiście będzie miał przyjemność przedstawienia swej córki.

Byłoby także wskazane, aby ani Valdez, ani Parchal, ani żaden z marynarzy nie wiedzieli nic o ostatnich zdarzeniach.

Niełatwo opisać osłupienie, przygnębienie, a potem gniew starego żołnierza, gdy Jacques Helloch uświadomił go o swym odkryciu. Także dziewczyna była skrupowana w obecności Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne. Obaj oczywiście zapewniali ją o swym szacunku, oddaniu i dyskrecji. Zresztą jej zdecydowany charakter, górujący nad lękliwością przynależną płci niewieściej, szybko wziął górę.

— Dla panów jestem Jeanem, zawsze Jeanem — powiedziała podając rękę dwóm rodakom.

— Tak, mademoiselle — odrzekł Germain Paterne kłaniając się.

— Tak... Jean... Mój drogi Jean — odpowiedział Jacques Helloch — pozostaniesz nim aż do dnia, gdy przekazemy mademoiselle Jeanne de Kermor w objęcia jej ojca.

Jeanne de Kermor była głęboko wzruszona, że dwaj młodzi ludzie zechcieli towarzyszyć jej do Misji Santa Juana. A serce jej przepełniała wdzięczność dla tego, który wyrwał ją śmierci i który chciał być u jej boku w czasie całej podróży.

— Mój przyjacielu — powiedziała do sierżanta Martiala — niech się dzieje wola boska! Bóg wie co czyni.

— Zanim mu podziękuję, poczekam końca! — odrzekł jedynie stary żołnierz, nie przestając mrużyć w swym kącie, zawstydzony jak wuj, który utracił siostrzeńca.

Można sobie wyobrazić, co opowiedział wcześniej Jacques Helloch Germainowi Paterne:

— Rozumiesz więc dobrze, że nie możemy opuścić mademoiselle de Kermor.

— Rozumiem wszystko — odparł Germain Paterne — nawet to, czego — jak ci się zdaje — nie

wiem!... Sądziłeś, że uratujesz młodego chłopca, a uratowałaś młodą dziewczynę — takie są fakty. Oczywiście, nie możemy pozostawić tak interesującej osoby.

— Nie zrobiłbym tego również z Jeanem de Kermorem! — stwierdził Jacques Helloch. — Nie!

Nie mógłbym go zostawić swojemu losowi. Pomóc mu to nasz obowiązek!

— Do licha! — zawołał najpoważniej na świecie Germain Paterne.

A oto co opowiedziała mademoiselle de Kermor, w zwięzły sposób, dwóm rodakom.

Pułkownik de Kermor, urodzony w 1829 roku (obecnie miałby sześćdziesiąt trzy lata), poślubił w 1859 roku pewną Kreolkę z Martyniki. Dwoje pierwszych dzieci z tego małżeństwa umarło w niemowlęctwie. Jeanne nie знаła ich, a państwo de Kermor byli niepocieszeni po tej stracie. Monsieur de Kermor, znakomity oficer, dzięki swej odwadze, inteligencji i uzdolnieniom, awansował błyskotliwie i szybko. Został pułkownikiem w wieku czterdziestu jeden lat. Sierżant Martial, szeregowy, potem kapral, poświęcił się całkowicie temu oficerowi, który uratował mu życie na polu walki pod Solferino*. Obaj odbyli następnie nieszczęsną i heroiczną kampanię przeciwko armiom pruskim. Na dwa lub trzy tygodnie przed rozpoczęciem tej wojny w 1870 roku sprawy rodzinne zmusiły panią de Kermor do wyjazdu na Martynikę. Tam urodziła się Jeanne. Wśród przytłaczających go okropności wojny, pułkownik przyjął z ogromną radością narodziny dziecka. Miał zamiar połączyć się z żoną i córką na Antylach, jeśli tylko obowiązki mu na to pozwolą i zabrać obie do Francji.

Pani de Kermor nie chciała czekać do końca wojny. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się przy mężu i w maju 1871 roku wsiadła w Saint Pierre na Martynice na angielski statek „Norton”, płynący do Liverpoolu. Madame de Kermor towarzyszyła kreolska mamka kilkumiesięcznej zaledwie córeczki. Miała zamiar zatrzymać tę kobietę na służbie, gdy wróci do Bretanii, do Nantes.

W nocy z 23 na 24 maja, na pełnym Atlantyku w czasie gęstej mgły, „Norton” został staranowany przez hiszpański parowiec „Vigo”, z Santanderu. W następstwie tej kolizji „Norton” prawie natychmiast poszedł prosto na dno, zabierając ze sobą pasażerów z wyjątkiem pięciu lub sześciu i załogę z wyjątkiem dwóch ludzi, zanim winny zderzenia statek mógł im przyjść z pomocą.

Pani de Kermor nie miała czasu opuścić kabiny, która znajdowała się od strony uderzenia. Mamka zginęła również, mimo że udało się jej wyjść z dzieckiem na pokład. Jedyne chyba cudem dziecko nie podzieliło losu pozostałych ofiar — dzięki poświęceniu jednego z dwóch marynarzy „Nortona”, którym udało się dopłynąć do „Vigo”.

Statek hiszpański, którego maszyny nie ucierpiały w czasie kolizji, pozostał na miejscu katastrofy i spuścił szalupy na wodę. Długie poszukiwania nic nie dały i musiał udać się do najbliższej wyspy na Antylach, dokąd dotarł osiem dni później. Stąd odbyła się repatriacja tych kilku osób, które znalazły schronienie na pokładzie „Vigo”. Wśród pasażerów tego statku było małżeństwo Eredia z Hawany, którzy chcieli przygarnąć małą Jeanne. Czy dziecko nie miało teraz żadnej rodziny? Tego nie udało się ustalić. Jeden z dwóch uratowanych marynarzy potwierdził stanowczo, że matka dziewczynki, Francuzka, była pasażerką „Nortona”, lecz nie znał jej nazwiska, nie było ono wpisane w rejestrze

parostatku angielskiego przed zaokrętowaniem. Zostało to ustalone w czasie śledztwa dotyczącego zderzenia obu statków. Jeanne, adoptowana przez rodzinę Eredia, popłynęła do Hawany. Tam też ją wychowali i wykształcili. Próby odnalezienia rodziny dziewczynki nie dały żadnych rezultatów. Otrzymała imię Juana. Bardzo inteligentna, dobrze wykorzystwała otrzymaną edukację i mówiła tak samo dobrze po francusku, jak po hiszpańsku. Znała, również swą historię, nie ukrywano przed nią niczego. Bez przerwy swe myśli kierowała ku ojczyznej Francji, gdzie — być może — oczekiwał ojciec, który opłakiwał ją i pewnie nie miał nadziei, że ją kiedykolwiek ujrzy.

Można sobie wyobrazić boleść pułkownika de Kermora, gdy spadły na niego na raz dwa ciosy — śmierć żony i dziecka, którego nawet nie widział. W zamieszaniu wojennym 1871 roku nie mogła dotrzeć do niego wiadomość, że madame de Kermor zdecydowała się opuścić Saint Pierre na Martynice, by połączyć się z mężem. Nie wiedział więc, że wsiadła na pokład „Nortona”. Dotarło to do niego dopiero wraz z wiadomością o morskiej katastrofie. Wszelkie poszukiwania były nadaremne, a uzyskał jedynie pewność, że żona i córka zginęły wraz z większością pasażerów i załogi.

Boleść pułkownika de Kermora była ogromna. Stracił jednocześnie uwielbianą żonę i córeczkę, na której czole nawet nie złożył pierwszego pocałunku. Zaczęto obawiać się o jego rozum. Popadł w tak ciężką chorobę, że bez gorliwej opieki swego wiernego żołnierza sierżanta Martiala ród Kermorów wygasłby pewnie w jego osobie. Pułkownik wyzdrowiał jednak, choć jego rekonwalescencja trwała długo. W każdym razie postanowił porzucić zawód, który był dumą jego całego życia i który rokował mu piękną przyszłość i złożył dymisję w 1873 roku. Miał zaledwie czterdzieści cztery lata i był w pełni sił.

Odtąd pułkownik de Kermor żył stroniąc od ludzi, w skromnym wiejskim domu w Chantenay-sur-Loire, obok Nantes. Nie przyjmował żadnego z przyjaciół, za towarzysza miał jedynie sierżanta Martiala, który wystąpił ze służby w tym samym czasie. Przypominał rozbitka wyrzuconego na bezludną wyspę — po stracie wszystkiego, co kochał na świecie.

W dwa lata później pułkownik de Kermor zniknął. Opuścił Nantes pod pretekstem podróży, a sierżant Martial na próżno oczekiwał jego powrotu. Połowę majątku — kilkanaście tysięcy franków w obligacjach zostawił swemu oddanemu towarzyszowi broni, który otrzymał je od notariusza prowadzącego interesy rodziny. Natomiast drugą połowę obligacji pułkownik de Kermor spieniężył, a potem wywiózł... ale gdzie? Pozostało to nieprzeniknioną tajemnicą. Aktowi darowizny na korzyść sierżanta Martiala towarzyszył zapis, zredagowany następująco:

Żegnam mego dzielnego żołnierza, z którym chcę podzielić się moim majątkiem. Niech nie próbuje mnie odnaleźć, gdyż będzie to bezowocne. Umarłem dla niego, dla moich przyjaciół, dla tego świata tak, jak są martwe istoty, które kochałem najbardziej na świecie.

I nic więcej. Sierżant Martial nie chciał się pogodzić z myślą, że nie ujrzy nigdy swego pułkownika. Poczył wszelkie możliwe kroki w celu ustalenia, do jakiego kraju się udał.

Tymczasem dziewczynka rosła w otoczeniu swej przybranej rodziny. Upłynęło dwanaście lat, zanim państwu Eredia udało się zdobyć pewne informacje dotyczące rodziny dziecka. W końcu ustalono, że matką Juany, pasażerką na „Nortonie”, była madame de Kermor i że jej mąż, pułkownik

o tym nazwisku, żyje jeszcze. Dziecko było teraz dwunastoletnią panienką, z widokami na czarującą dziewczynę. Dobrze ułożona, poważna, obowiązkowa, posiadała energię rzadko spotykaną w jej wieku i u jej płci.

Państwo Eredia byli przekonani, że nie mają prawa ukrywać przed nią otrzymanych wiadomości i od tego dnia umysł dziewczynki został ogarnięty nieustanną gorączką. Wierzyła, że jest powołana, by odszukać ojca. To przekonanie nie opuszczało jej ani na chwilę, stało się obsesją i w sposób wyraźny zmieniło jej stan intelektualny i moralny. Odtąd żyła tylko myślą, aby połączyć się z pułkownikiem de Kermorem. Wiedziano, że wrócił do Bretanii, niedaleko Nantes, swego rodzinnego miasta. Napisano z pytaniem, czy tam jeszcze mieszka. Cóż to była za przygnębiająca wiadomość, gdy dziewczynka za całą odpowiedź otrzymała informację, że jej ojciec zniknął przed wielu laty.

Wtedy Juana de Kermor ubłagała swych przybranych rodziców, by pozwolili jej wyjechać do Europy. Uda się do Francji... do Nantes. Odszuka ślady, o których powiedziano jej, że są stracone. Gdzie nie udało się obcym, córce, wiedzionej instynktem, może się udać. W końcu zgodzono się na jej wyjazd, jednakże bez większych nadziei.

Mademoiselle de Kermor opuściła więc Hawanę, dotarła do Nantes, gdzie znalazła jedynie sierżanta Martiala. Można wyobrazić sobie wzruszenie starego żołnierza, gdy to dziecko, o którym sądzono, że zginęło w katastrofie „Nortona”, przekroczyło próg domu w Chantenay. Twarz Jeanne przypominała mu jej ojca — jego oczy, jego fizjonomia, całe podobieństwo fizyczne i duchowe, które można przekazać tylko z krwią. Stary sierżant uznał dziewczynę za anioła, zesłanego mu z niebios przez pułkownika. Ale w tym czasie stracił już całą nadzieję na odnalezienie kraju, gdzie pułkownik de Kermor postanowił pogrzebać swój żywot.

Tymczasem Jeanne powzięła decyzję, że nie opuści już rodzinnego domu. Majątek, który otrzymał sierżant Martial, stary żołnierz chciał przeznaczyć na nowe poszukiwania.

Na próżno rodzina Eredia nalegała, by panienka de Kermor wróciła do nich. Trzeba było jednak pogodzić się z rozstaniem z adoptowaną córką. Jeanne podziękowała swym dobroczyńcom za wszystko, co dla niej zrobili. Jej serce przepelniała wdzięczność dla nich, choć pewnie nie ujrzy ich przez dłuższy czas... ale dla niej pułkownik de Kermor ciągle żyje i są podstawy, aby tak myśleć, gdyż wiadomość o jego śmierci nie dotarła ani do sierżanta Martiala, ani do żadnego z przyjaciół, których pozostawił w Bretanii.

Ona będzie go szukać, ona go znajdzie... Na miłość ojcowską odpowie miłością córki, mimo że ani ojciec, ani córka nigdy się nie widzieli. Istniała między nimi więź, która ich łączyła, więź tak mocna, że nic nie może jej przerwać!

Dziewczyna została więc w Chantenay z sierżantem Martialem. Nowemu opiekunowi udało się dowiedzieć, że na chrzcie, w kilka dni po urodzeniu, w Saint Pierre na Martynice, otrzymała imię Jeanne i to imię zostało jej przywrócone. Jeanne dorastała pod opieką sierżanta, z wielkim uporem próbując uzyskać najmniejsze wskazówki, które mogłyby naprowadzić ją na ślad pułkownika de Kermora.

Upłynęło kilka lat. Żaden promyk nie rozjaśnił ciemności. I bez wątpienia, najbardziej

nieprzenikniona tajemnica otaczała pułkownika de Kermora aż do czasu, gdy zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się pierwsza wiadomość. Był to list napisany przez pułkownika, który przyszedł do Nantes w 1879 roku. List ten przybył z San Fernando de Atabapo, Wenezuela, Ameryka Południowa. Adresowany był do notariusza rodziny de Kermor, a dotyczył sprawy całkowicie osobistej, którą należało załatwić. Ale jednocześnie dodane było kategoryczne zalecenie, aby istnienie tego listu zachować w absolutnej tajemnicy. Notariusz zmarł jeszcze wtedy, gdy Jeanne de Kermor znajdowała się na Kubie i nikt nie wiedział, że była córką pułkownika.

Dopiero w siedem lat później list ten został odnaleziony w papierach zmarłego — miał więc trzynaście lat. W tym czasie spadkobiercy notariusza, którzy znali historię Jeanne de Kermor, pośpieszyli powiadomić ją o tym liście.

Jeanne de Kermor była już dorosła. Pod „matczynymi skrzydłami” starego towarzysza broni ojca uzupełniła swoją edukację wiedzą solidną i poważną, którą zapewnia nowoczesna pedagogika.

Można sobie wyobrazić, jakie nieodparte pragnienie ogarnęło ją, gdy ten dokument dotarł do jej rąk! Było pewne, że pułkownik de Kermor znajdował się w 1879 roku w San Fernando. I jeśli nawet nie wiadomo, co działo się z nim od tego czasu, to jednak istnieje ślad. Pisano do gubernatora San Fernando, pisano wiele razy... Odpowiedzi były ciągle te same... Nikt nie znał pułkownika de Kermora, nikt nie przypominał sobie, czy przybył do miasteczka. Jednakże list pułkownika był faktem. Czy w tej sytuacji nie lepiej udać się bezpośrednio do San Fernando? Bez wątpienia. Wtedy dziewczyna postanowiła pojechać do regionu górnego Orinoko.

Jeanne de Kermor utrzymywała nieprzerwane kontakty listowe z rodziną Eredia. Powiadomiła też swych przybranych rodziców o planowanej podróży. Ale gdy Jeanne de Kermor podjęła ten zamiar, trzeba przyznać, o niesłychanej doniosłości — czy sierżant Martial będzie podobnego zdania i zechce nań przystać?

— Ale w końcu, mój dobry Martial musiał się na to zgodzić — powiedziała Jeanne, kończąc swą opowieść, która odkryła przed dwoma młodymi ludźmi tajemnicę jej przeszłości. — Tak! Zgodził się, bo tak trzeba było; nieprawdaż, mój stary przyjacielu?

— I mam powody, aby tego żałować — odparł sierżant Martial — ponieważ, mimo takiej ostrożności...

— Nasz sekret został odkryty! — dodała dziewczyna ze śmiechem. — Tak więc nie jestem już twym siostrzeńcem, a ty nie jesteś już moim wujem! Ale monsieur Helloch i Paterne nie powiedzą o tym nikomu. Nieprawdaż, monsieur Helloch?

— Nikomu, mademoiselle!

— Nie ma mademoiselle, monsieur Helloch — pośpiesznie zaprotestowała Jeanne de Kermor.

— Może się pan zdradzić. Niech zostanie Jean, tylko Jean.

— Tak... po prostu... Jean... lub nasz kochany Jean, żeby trochę urozmaicić — powiedział

Germain Paterne.

— A teraz, monsieur Helloch proszę sobie wyobrazić, co wymógł na mnie mój dobry Martial. Został moim wujem, a ja jego siostrzeńcem. Przywdziałam strój chłopięcy, ścięłam włosy i tak przemieniona wsiadłam w Saint Nazaire na statek, płynący do Caracas. Po hiszpańsku mówię tak, jak językiem ojczystym — co może być bardzo użyteczne w tej podróży — i oto jestem w tej mieścinie San Fernando! Potem, gdy odnajdę ojca, wrócimy do Europy przez Hawanę. Jestem pewna, że i on chętnie złoży wizytę tej szlachetnej rodzinie, która mi go zastąpiła i której oboje tyle zawdzięczamy!

Oczy Jeanne de Kermor zwilżyło kilka łez, lecz opanowała się i dodała:

— Nie, mój wuju, nie trzeba się martwić, że nasza tajemnica została odkryta. Bóg tak chciał, tak samo jak chciał, abyśmy spotkali na naszej drodze dwóch naszych rodaków, dwóch oddanych przyjaciół. I w imieniu mego ojca dziękuję wam, panowie, z całego serca, za to co już uczyniliście i za to, co postanowiliście jeszcze zrobić!

Nazajutrz dwaj młodzi ludzie, sierżant Martial i Jean — imię to zostanie zachowane dopóty, dopóki okoliczności będą tego wymagały — pożegnali panów Miguela, Felipe i Varinasa, przygotowujących się do badań dopływów Guaviare i Atabapo. Trzej koledzy z głębokim niepokojem oceniali podróż chłopca ku górnemu łożysku Orinoko, nawet mimo udziału jego rodaków. I życząc mu sukcesów w podróży, *señor* Miguel powiedział:

— Zapewne po swoim powrocie znajdziesz nas jeszcze tutaj, drogie dziecko, jeśli moi towarzysze i ja nie będziemy mogli dojść do zgody.

Wreszcie po pożegnaniu gubernatora, który dał im listy do komisarzy główniejszych miasteczek w górę rzeki, po uściskaniu *señora* Mirabala, który przycisnął Jeana do serca, Jacques Helloch i Germain Paterne, Jean i sierżant Martial wsiedli do swych piróg.

Mieszkańcy San Fernando asystowali przy odjeździe. Wiwaty żegnały dwie *falcas* odbijające od lewego brzegu rzeki. Po opłynięciu skał wznoszących się w miejscu, gdzie mieszają się wody Atabapo i Guaviare, osiągnęły główny nurt Orinoko i zniknęły płynąc w górę rzeki, na wschód.

II

Pierwszy etap

„Gallinetta” i „Morique” dowodzili nadal kapitanowie: Parchal i Valdez. Jacques Helloch i Germain Paterne nie mieli żadnych trudności z Parchalem przy przedłużaniu podróży. Natomiast z Valdezem trzeba było ustalić nowe warunki i nową zapłatę. Indianin miał doprowadzić sierżanta Martiala i jego siostrzeńca jedynie do San Fernando. Nie mogli się inaczej umawiać, gdyż wszystko zależało od informacji, jakie mieli nadzieję uzyskać w miasteczku. Valdez, jak wiadomo, pochodził z San Fernando, liczył, że zdobędzie nowych pasażerów, kupców lub podróżników. Sierżant Martial i Jean, byli nadzwyczaj usatysfakcjonowani sprawnością i gorliwością Valdeza i dlatego zaproponowali mu dalszą podróż „Gallinetta” do górnego Orinoko. Valdez zgodził się chętnie. Jednakże z dziewięciu swoich ludzi mógł liczyć jedynie na pięciu, gdyż czterech zatrudniło się przy zbiorze kauczuku, zapewniającym większy zarobek. Na szczęście kapitan znalazł innych, angażując trzech Mariquitaresów i jednego Hiszpana.

Mariquitaresi, jak wielu innych członków ich plemienia, byli doskonałymi przewoźnikami, świetnie znającymi dorzecze Orinoko na wiele setek kilometrów od San Fernando. Hiszpan, nazywany Jorres, przybył do miasteczka przed dwoma tygodniami i szukał okazji, by dostać się do Santa Juana, gdzie, jak mówiono, Padre Esperante potrzebuje ludzi do pracy w misji. Valdez, któremu brakowało ludzi, przyjął jego ofertę. Hiszpan ten wydawał się być obdarzony inteligencją, choć twardość rysów i ponure spojrzenie nie przemawiały zbytnio na jego korzyść. Poza tym był milczący i nieskory do zwierzeń.

Valdez i Parchal pływali już w górę rzeki aż do *rio Mavaca*, jednego z lewych dopływów, o około trzystu pięćdziesięciu kilometrów w dół od masywu Parima, skąd wypływają pierwsze wody wielkiej rzeki. Pirogi, pływające po górnym Orinoko, są zwykle lżejszej konstrukcji niż te pływające w jego środkowym biegu. „Gallinetta” i „Morique”, łodzie o niewielkich wymiarach, wydawały się odpowiednie do tego rodzaju żeglugi. Sprawdzono je troskliwie, naprawiono kadłuby, doprowadzono do pełnej sprawności. W październiku pora sucha nie obniżyła jeszcze rzeki do najniższego poziomu. Jej głębokość powinna wystarczyć do uniesienia dwóch *falcas*.

Wiatr sprzyjał, wiała dość silna bryza. Obie pirogi, z całkowicie rozwiniętymi żaglami, płynęły szybko prawie w jednej linii. Załogi, zebrane na dziobach, nie musiały wiosłować.

Po południu, gdzieś koło piątej, dwie pirogi, cały czas wykorzystując bryzę, zacumowały przy wyspie Mina, prawie naprzeciw Mawy. Nazajutrz, 4 października, wyruszone w podobnych warunkach. Po przepłynięciu w prostej linii dwudziestu kilometrów tej części Orinoko, której Indianie nadali nazwę kanionu Nube, „Morique” i „Gallinetta” zawinęły na postój u stóp dziwacznych skał Piedra Pintada. Jest to „Malowany Kamień” — na odsłoniętych przez wodę partiach

Germain Paterne na próżno usiłował odszyfrować widniejące napisy.

Następnego dnia pod wieczór udało się dotrzeć do ujścia *rio* Ventuario, ważnego dopływu na prawym brzegu. Była dopiero piąta po południu. Jednakże za radą Valdeza zatrzymano się w tym miejscu, gdyż powyżej Ventuario koryto, zatarasowane przez skały, utrudnia żeglugę i jest niebezpieczne.

Posiłek spożyto wspólnie. Jacques Helloch i Germain Paterne w widoczny sposób okazywali rezerwę w swych stosunkach z dziewczyną. Nie chcieli jej krępować zbyt nadskakiwaniem, szczególnie Jacques Helloch.

Dni 4, 5 i 6 października wymagały ogromnego wysiłku obu załóg bądź to przy holowaniu, bądź przy manewrach wiosłami i *palancas*. Po minięciu Piedra Pintada pirogi musiały płynąć przez siedem do ośmiu kilometrów wśród licznych wysepek i skał, które opóźniały żeglugę. Mimo że bryza dmuchała ciągle z zachodu, w tym labiryncie nie można było wykorzystać żagli. Poza tym z nieba spływały gwałtowne potoki deszczu i pasażerowie byli zmuszeni skryć się na wiele godzin pod pokładem.

W górę od skał pojawiły się bystrzyny Santa Barbara, które na szczęście pirogom udało się przebyć bez konieczności rozładunku. Dopiero za przełomem Cangreo warunki żeglugi były lepsze i *falcas* po południu 6 października dotarły do wioski Guachapana. Valdez i Parchal zarządzili odpoczynek przez pół dnia i jedną noc.

Powyżej Guachapana szerokość rzeki nie przekracza pięciuset metrów. Jej nurt jest podzielony licznymi wyspami, które tworzą *chorros**, gwałtowne bystrzyny, gdzie woda przeciska się z bardzo utrudniającą żeglugę burzliwością. „Moriche” i „Gallinetta” dotarły tego dnia jedynie do wyspy Perro de Agua. Była już prawie noc, gdy rzucono cumy.

Dwadzieścia cztery godziny później, po deszczowym dniu, wielokrotnie szarpani podmuchami wiatru, które powyżej wyspy Camucapi zmuszały do płynięcia przy użyciu *palancas*, podróżni dotarli do laguny Carida. Dawniej była w tym miejscu wioska, która została opuszczona, ponieważ jeden Piaroa padł ofiarą jaguara, co potwierdził również Chaffanjon. Podróżnik francuski znalazł w tej wiosce jedynie kilka chat używanych przez Indianina o imieniu Bare, mniej zabobonnego i mniej tchórzliwego od swych współplemieńców. Tenże Bare założył rancho, które Jacques Helloch i jego towarzysze znaleźli w kwitnym stanie. Indianin i jego żona mieli kilkunastu *peonów*, którzy żyli w Caridzie w harmonijnej zgodzie.

Trudno się było oprzeć zaproszeniu tego dzielnego człowieka do zwiedzenia jego gospodarstwa. Czekał na nich od chwili, jak tylko pirogi zbliżyły się do brzegu. Poczestowano go szklaneczką *aguardiente*. Przyjął poczęstunek pod warunkiem, że pójdą napić się tafla i wypalić papierosy z miejscowego *tabari* w jego chacie. W momencie, gdy schodzono z „Gallinety”, Bare zwrócił uwagę na jednego z członków załogi — tegoż Jorresa, którego kapitan przyjął w San Fernando. Bare zapytał go:

— Hej, przyjacielu... powiedz mi... czy nie widziałem cię już gdzieś?

Jorres lekko zmarszczył brwi i pośpiesznie odparł:

— Nie tutaj... nigdy nie byłem na twoim rancho.

— To dziwne... Tak mało obcych przybywa do Caridy, że nie zapomina się ich twarzy.

— To pewnie spotkałeś mnie w San Fernando? — wtrącił Hiszpan.

— A kiedy tam byłeś?

— Trzy tygodnie temu.

— Nie, to nie tam... gdyż od przeszło dwóch lat nie byłem w San Fernando.

— A więc pomyliłeś się, człowieku. Na pewno nigdy mnie nie widziałeś — stwierdził szorstkim tonem Hiszpan — a ja pierwszy raz podróżuję do górnego Orinoko.

— Chcę ci wierzyć — odparł Bare — jednakże...

Na tym rozmowa się skończyła i jeśli nawet Jacques Helloch jej wysłuchał, to wcale go nie zaniepokoiła. Bo rzeczywiście, dlaczego Jorres miałby coś ukrywać? Zresztą Valdez, wynajmując tego człowieka, nie obawiającego się zajęcia bądź co bądź męczącego, miał na uwadze jedynie to, że jest zręczny i silny.

Jacques Helloch postanowił zapytać jednak Jorresa, w jakim celu udaje się do Santa Juana. Jean, żywo zainteresowany wszystkim co dotyczyło tej misji, niecierpliwie oczekiwał wyjaśnień Hiszpana. A były całkiem proste, podane bez cienia zakłopotania. Oto co powiedział:

— W dzieciństwie byłem związany z Kościołem, byłem nowicjuszem w klasztorze Merced w Kadyksie*. Potem zachciało mi się podróżować. Przez kilka lat służyłem jako majtek w państwowej flocie, lecz ta służba znudziła mi się i górę wzięło moje pierwsze powołanie — zapragnąłem wstąpić do misjonarzy... Gdy przed sześciu miesiącami znalazłem się na statku handlowym w Caracas, usłyszałem o Misji Santa Juana, założonej przed kilku laty przez Padre Esperante. Postanowiłem dołączyć do niej. Opuściłem Caracas i wynajmując się jako przewoźnik na jednej lub drugiej *falca*, zdołałem dotrzeć do San Fernando. Tu oczekiwałem na okazję popłynięcia w górę Orinoko, a moje oszczędności zaczęły się wyczerpywać, gdy wasze pirogi przybiły do miasteczka. Rozeszła się wieść, że syn pułkownika de Kermora w poszukiwaniu ojca przygotowuje się do wyruszenia do Santa Juana. Kapitan Valdez uzupełniał w tym czasie załogę, poprosiłem, żeby mnie wzięł i oto płynę na „Gallinetcie”. Ten Indianin nie mógł mnie w żadnym wypadku widzieć w Caridzie, ponieważ przybyłem tu tego wieczoru po raz pierwszy.

Jacques Helloch i Jean zostali przekonani szczerością, z jaką mówił Hiszpan. Nie zaskoczyło ich, że wyrażał się gładko, gdyż, wedle jego opowieści, w młodości otrzymał był pewne wykształcenie. Postanowili do manewrów „Gallinetta” zatrudnić jakiegoś Indianina, a Hiszpanowi zaproponowali miejsce pasażera na jednej z pirog.

Jorres jednak chciał być nadal przewoźnikiem aż do źródeł rzeki.

— I — dodał — gdyby mi się nie udało pozostać w misji, proszę was panowie, abyście zabrali mnie do San Fernando przyjmując na służbę, i również w Europie, gdy tam wrócicie.

Hiszpan mówił cicho, głosem dość szorstkim, mimo że starał się go łagodzić. Pasował on zresztą do jego surowej fizjonomii, zdecydowanej postawy, ponurej twarzy i wąskich ust osłaniających bardzo białe zęby. Był jeszcze pewien szczegół, na który nikt dotąd nie zwrócił uwagi, a który od tego dnia wiele razy zaobserwował Jacques Helloch. Było to osobliwe spojrzenie, jakie Jorres od czasu do czasu rzucał na chłopca. Czyżby odkrył on tajemnicę Jeanne de Kermor, której nie podejrzewali ani Valdez, ani Parchal, ani nikt z załóg obu *falcas*?

Jacques Helloch postanowił bacznie obserwować Hiszpana, choć dziewczyna i sierżant Martial nie powzięli najmniejszych podejrzeń. Jeśli podejrzania Hellocha będą uzasadnione, na pewno nadarzy się okazja, żeby wysadzić Jorresa w jakiegokolwiek wiosce, na przykład w Esmeraldzie. Jednakże na razie nie było żadnego powodu, żeby tak z nim postąpić. Valdez dotrzyma umowy, a Hiszpan dotrze do Misji Santa Juana. Jean z kolei postanowił wypytać Hiszpana o misję i o znajomość z Padre Esperante.

— Czy pan widział Padre Esperante?

— Tak. W Caracas — odparł Jorres po lekkim wahaniu.

— Kiedy?

— W 1879 roku, gdy pływałem na pewnym statku handlowym.

— Czy wtedy Padre Esperante przybył do Caracas po raz pierwszy?

— Tak... pierwszy raz... i stamtąd wyruszył, by założyć Misję Santa Juana.

— A co to za człowiek — dodał Jacques Helloch — lub raczej, jak wyglądał w tamtym okresie?

— Miał około pięćdziesiątki, wysoki, energiczny, nosił brodę — wtedy przyprószoną siwizną, teraz pewnie już białą. Widać było na pierwszy rzut oka, że nie zawaha się ryzykować życia dla nawrócenia Indian...

— Szlachetne zadanie — powiedział Jean.

— Najwspanialsze jakie znam! — zawołał z przejęciem Hiszpan.

Na tym rozmowa się zakończyła. Nadeszła pora, by złożyć wizytę na rancho Bare. Sierżant Martial z Jeanem, Jacques Helloch i Germain Paterne wyszli na brzeg. Potem przez pola kukurydzy i manioku skierowali się ku domostwu, gdzie mieszkał Indianin z żoną. Ich chata była zbudowana o wiele staranniej niż zwykłe szałaszy indiańskie w tym regionie. Honory domu czynił Bare, gdyż żona nie znała hiszpańskiego. Kobieta była prostą Indianką, mniej ucywilizowaną niż mąż.

Podpłomyki z manioku, wspaniałe ananasy, tafla, którą Bare pędził z soku trzciny cukrowej, były

ofiarowane ze szczerego serca i tak samo przyjęte.

Goście zebrali się do wyjścia gdzieś około dziesiątej, a Bare w towarzystwie kilku peonów towarzyszył im do *falcas*, których załogi pogrążone były w głębokim śnie. Indianin nie mógł się powstrzymać przed zrobieniem aluzji:

— A jednak jestem pewien, że widziałem tego Hiszpana w okolicy rancho...

— Dlaczego by to ukrywał? — zapytał Jean.

— To tylko podobieństwo, mój dzielny Indianinie — uciął Jacques Helloch.

III

Dwudniowy postój w Danaco

Już od czterdziestu ośmiu godzin na wschodnim horyzoncie rysował się szczyt górski — zdaniem Valdeza i Parchala — *cerro* Yapacana. Pirogi powinny tam dotrzeć wieczorem 11 października. Jego rzeczywiste wymiary to cztery kilometry długości, półtora kilometra szerokości i około tysiąca dwustu metrów wysokości. Naprzeciw *cerro*, na lewym brzegu za wyspą Mavilla, znajdowały się zabudowania komisarza wenezuelskiego. Był to Metys Manuel Assomption, mieszkający tu z żoną, także Metyską i wieloma dziećmi.

Dopiero nocą *falcas* zatrzymały się w Danaco. Żegluga była opóźniona z powodu awarii. Otóż „Gallinetta”, porwana wirem, uderzyła o ostre skały. Do pirogi dostawała się woda, to prawda, że w niewielkiej ilości, gdyż udało się ją zatrzymać pękami suchej trawy. Ale mając na względzie dalszą podróż, należało uszkodzenie naprawić solidnie w Danaco.

Pasażerowie zostali na noc u stóp wysokiego brzegu, na południowym krańcu wyspy Mavilla. Nazajutrz, o wschodzie słońca, pirogi przepłynęły wąskie ramię rzeki i przybiły do pomostu, przeznaczonego do załadunku i rozładunku łodzi.

Już od świtu komisarz Manuel wiedział o przybyciu łodzi. W towarzystwie kilku peonów powitał podróżnych. Ci niezwłocznie zeszli na ląd. Tu Jean sądząc, że powinien na początek przedstawić jeden z listów, które dał mu gubernator San Fernando dla komisarza górnego Orinoko, wręczył go Manuelowi Assomptionowi. Ten wziął list, przeczytał go i z pewną dumą powiedział:

— Nie potrzebuję tego listu, by przyjąć należycie podróżnych, którzy zatrzymują się w Danaco. Cudzoziemcy, a szczególnie Francuzi, są zawsze mile widziani w naszych wenezuelskich osadach.

— Dziękujemy panu, *señor* Manuel — odpowiedział Jacques Heliach. — Ale naprawa, jakiej wymaga jedna z naszych *falcas*, pewnie zmusi nas, że zostaniemy pańskimi gośćmi przez dwie doby.

— Nawet osiem dni, jeśli pan zechce.

Manuel Assomption liczył sobie sześćdziesiąt lat. Miał wygląd człowieka jeszcze żywego, o smągłej cerze, inteligentnej fizjonomii, spojrzeniu pełnym zapału, umiającego zapewnić sobie posłuch, ale dobrego, troskliwego i opiekuńczego dla Indian zatrudnionych na jego rancho. Byli to Mariquitaresi, jeden z najlepszych rodzimych szczepów Wenezueli. Wioskę, zbudowaną obok rancho, zamieszkiwali Indianie wyłącznie z tego plemienia.

N niezwłocznie rozpoczęto naprawę „Gallinety”. Należało wyładować bagaż, wyciągnąć łódź na brzeg, odwrócić ją w celu uszczelnienia dna. Z robotnikami, których komisarz dał do dyspozycji Valdeza, praca ta z pewnością będzie zakończona w ciągu dwóch dni.

Teraz była siódma rano. Niebo zachmurzone, chmury wysokie, nie zagrażające deszczem,

temperatura znośna, nie przekraczająca dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza. Wyruszone w kierunku wioski ukrytej pod kopułami drzew. Od brzegu dzieliła ją odległość pół kilometra. Podróżnicy podziwiali bogate plony rancho, które pokazywał im komisarz. Plantacje mangowców, drzew cytrynowych, bananowców, krzewów kakaowych, palm z gatunku *macanille*.

Po przejściu kilkudziesięciu kroków przez wioskę komisarz poprowadził swych gości na lewo. Po dwóch minutach zatrzymali się przed główną siedzibą w Danaco.

Ukazała się podwójna chata lub raczej dwie połączone chaty, stykające się ze sobą. W ścianach wycięto otwory na okna i drzwi. Domostwo ocienione było wspaniałymi drzewami, a z obu stron wznosiły się szopy, w których przechowywano narzędzia rolnicze lub zamykano bydło.

W pierwszej izbie jednej z chat oczekiwała gości żona Manuela Assomptiona, Metyska z ojca Indianina brazylijskiego i matki Murzynki, w towarzystwie dwóch synów, potężnych zawadiaków, dwudziestopięcioletniego i trzydziestoletniego, o cerze nieco jaśniejszej niż ich ojciec i matka. Jacques Helloch i jego towarzysze zostali przyjęci bardzo serdecznie. Rozmowa toczyła się bez przeszkód w języku hiszpańskim.

— „Gallinetta” będzie przez dwie doby w naprawie, więc sierżant z siostrzeńcem zamieszkają tutaj — powiedział *señor* Manuel zwracając się do swej żony. — Przygotuj im pokój lub dwa, według ich życzeń.

— Dwa... jeśli można ... — odpowiedział sierżant Martial.

— Niech będą dwa — podjął komisarz — i jeśli *señor* Helloch i jego przyjaciel zechcą spać na rancho...

— Dziękujemy panu, *señor* Manuel — odparł Germain Paterne. — Nasza piroga, „Moriche”, jest w dobrym stanie i nie chcemy przysparzać panu kłopotów, wieczorem wrócimy na pokład.

— Jak sobie życycie, panowie — zgodził się komisarz. — Nie będziecie nas krępować, lecz my także nie chcemy wam zawadzać.

Potem zwrócił się do swych synów:

— Trzeba będzie wysłać kilku z naszych *peonów* do pomocy załodze *falca*...

— Będziemy pracować razem z nimi — odparł starszy z synów.

Po obiedzie *señor* Manuel chciał się dowiedzieć od swych gości o celu podróży. Do tej pory po górnym Orinoko żeglowali jedynie kupcy, udający się do Cassiquiare, w górę od Danaco. Dalej już nie było żeglugi handlowej i jedynie badaczom mógł przyjść pomysł dotarcia do źródeł rzeki. Komisarz był więc nieco zaskoczony, gdy Jean podał powody, dla których przedsięwziął tę podróż,

do której przyłączyli się dwaj jego rodacy.

— A więc poszukuje pan swego ojca? — powiedział z przejęciem, które dzielali również synowie i żona.

— Tak, *señor* Manuel — i mamy nadzieję odnaleźć jego ślady w Santa Juana.

— Czy nie słyszał pan o pułkowniku de Kermorze? — zapytał Jacques Helloch.

— Nigdy nie wymieniano tego nazwiska przy mnie.

— Może dlatego — powiedział Germain Paterne — że osiadł pan w Danaco dopiero przed dwunastoma laty...

— Nie, wcześniej zajmowaliśmy jeszcze *sitio** Guachapana, lecz nigdy nie dotarła do mnie wiadomość, że w tych okolicach pojawił się pułkownik de Kermor.

— A przecież — nalegał sierżant Martial, który rozumiał wystarczająco, by wziąć udział w rozmowie — między San Fernando i Santa Juana nie ma innej drogi, z której można skorzystać.

— Ta jest najłatwiejsza i najprostsza — odrzekł *señor* Manuel. — Podróżny jest tu mniej narażony, niż gdyby miał przemierzać pieszo *interior* opanowany przez Indian. Jeśli pułkownik de Kermor udał się do źródeł rzeki, musiał płynąć tak, jak wy.

Manuel Assomption wydawał się niezbyt przekonany do tej podróży. Był zaskoczony, że pułkownik de Kermor nie zostawił żadnych śladów żeglugi biegiem Orinoko, począwszy od San Fernando.

— *Señor* Manuel — zapytał przeto Jacques Helloch — czy odwiedzał pan misję?

— Nie, nie byłem dalej na wschód niż ujście Cassiquiare.

— A czy słyszał pan coś o Santa Juana?

— Tak, jest w pełni rozwoju, dzięki oddaniu jej szefa.

— Czy zna pan Padre Esperante?

— Tak... widziałem go pewnego razu... trzy lata temu... Załatwiał sprawy misji i zatrzymał się na jeden dzień w Danaco.

— A co to za człowiek, ten misjonarz? — zapytał sierżant Martial.

Komisarz przedstawił portret Padre Esperante zgodny z tym, co mówił o nim Hiszpan Jorres. A więc nie było wątpliwości, że tenże spotkał misjonarza w Caracas, jak twierdził.

— I od jego pobytu w Danaco — podjął Jean — nie miał pan kontaktu z Padre Esperante?

— Żadnego kontaktu — odparł *señor* Manuel. — Jednakże słyszałem kilkakrotnie od Indian przybywających ze wschodu, że Santa Juana rozwija się z każdym rokiem. Dzieło tego misjonarza przynosi zaszczyt ludzkości...

— Tak, panie komisarzu, i także krajowi, z którego pochodzą tacy ludzie! Jestem pewien, że doznamy dobrego przyjęcia u Padre Esperante...

— Bez wątpienia — dodał *señor* Manuel — będzie was traktował jak swoich rodaków.

— I — wykrzyknął Jean — może wskaże nam ślady mego ojca!

Po południu goście zwiedzili rancho, pola starannie uprawione, okoliczne gaje, gdzie synowie Manuela prowadzili nieustanną wojnę z małpami—szkodnikami, łąki z pasącymi się stadami.

Wieczorem spotkali się przy wspólnym stole na kolacji. Rozmawiali głównie o podróży.

Okolo dziesiątej wieczorem Jacques Helloch i jego towarzysz wrócili na pirogę. Helloch rozmyślał o Jorresie. Nie było już wątpiwości, że Hiszpan znał Padre Esperante, że spotkał go w Caracas lub gdzie indziej. Z drugiej strony jednak Indianin Bare twierdził, że widział już Jorresa płynącego w górę Orinoko, a przynajmniej do rancho Carida. Cudzoziemcy, którzy penetrują terytoria Wenezueli południowej nie są tak liczni, aby można było ich osoby pomylić. Taka pomyłka byłaby możliwa, gdyby chodziło o jakiegoś krajowca. Ale dotyczyło to Hiszpana, którego twarz była tak charakterystyczna.

A jeśli Jorres był już kiedyś w Caridzie, a więc również w wioskach i w pobliskich *sitios*, dlaczegóż zaprzeczał temu? Jakie miał powody, by to ukrywać?

Mimo wszystko Bare mógł się pomylić. Problem ten nurtował Jacquesa Hellocha, ponieważ wszystko, co dotyczyło podróży córki pułkownika de Kermora, wszystko to, co mogło ją opóźnić lub przeszkodzić w powodzeniu, dręczyło go, niepokoiło i wzburzało o wiele bardziej niż chciałby okazać.

IV

Ostatnie rady *señora* Manuela Assomptiona

W sercu Jacquesa Hellocha zachodziły zmiany od momentu odsłonięcia tajemnicy córki pułkownika. Jeanne, dwudziestodwuletnia dziewczyna, ukryta w chłopięcym odzieniu nie uniknęła również uczuć podobnej natury. Nawet Germain Paterne, który „nie rozumiał nic z tych rzeczy”, jak sądził jego współtowarzysz, bardzo łatwo dostrzegł zmiany, jakie stopniowo, ale w sposób nieunikniony, zachodziły w sercu Jacquesa Hellocha. A gdyby teraz powiedział mu: „Jacques, ty kochasz mademoiselle Jeanne de Kermor” jest pewne, że ten zaprzeczyłby w sposób zdecydowany: „Mój biedny przyjacielu, ty nie rozumiesz nic z tych rzeczy”. I Germain Paterne czekał tylko okazji, by wyrazić swą opinię na ten temat.

Sierżant Martial natomiast był wściekły — wściekły na siebie, wściekły na wszystkich. Jean nie powinien wpaść do rzeki w czasie huraganu... To on sam powinien rzucić się w wir rzeki i go uratować. Co to obchodziło Jacquesa Hellocha? A jednak postąpił właściwie, ponieważ bez niego... on... nie... ona... zginęłaby niechybnie. Trzeba mieć nadzieję, że tajemnica jest nadal starannie strzeżona. Obserwując godną postawę wybawcy Jeanne, sierżant Martial nie dostrzegł nic podejrzanego i jego pułkownik, gdy znajdują się obaj twarzą w twarz, nie będzie mógł mu nic zarzucić!

Biedny sierżant Martial! Wczesnym rankiem został obudzony przez Jeana wiadomością, że przed domem czekają już *señor* Manuel wraz z synami. Zaraz potem przybyli rodacy, którzy powiadomili, że naprawa „Gallinety” przebiega sprawnie i *falca* będzie gotowa do żeglugi od jutra. Wyruszono wkrótce na pola, gdzie zgromadzili się już *gomeros* — robotnicy zbierający kauczuk.

W rzeczywistości pola te były raczej lasami, w których oznakowano drzewa tak, jak się to robi w czasie wyřębu. Chodziło o to, by naciąć korę kauczukowców i „wydoić” je, tak jak mówi się o mlecznych drzewach w Australii. Robotnicy właśnie rozpoczynali swą pracę.

Po południu, po kilkugodzinnej sjeście, wszyscy udali się do portu, gdzie naprawiono pirogę. Wszyscy szli ku rzece przecinając uprawne pola rancho i słuchając *señora* Manuela, opowiadającego o swej posiadłości z dumą dobrego gospodarza. „Gallinetta”, całkowicie naprawiona, była gotowa do spuszczenia na wodę. Obok, na końcu cumy, kołysała się „Moriche”. Valdez i Parchal z pomocą załogi i *peonów* dobrze wykonali swą robotę. Tegoż wieczoru Jean i sierżant Martial mogą powrócić na łódź i odbić od brzegu, gdy tylko horyzont rozjaśni się pierwszymi przebłyskami świtu.

Obecnie słońce zachodziło już za purpurowymi obłokami, co zapowiadało zachodnią, sprzyjającą bryzę. Marynarze i *peoni* spuszczaali „Gallinettę” na wodę, a *señor* Manuel Assomption, jego synowie i pasażerowie pirog przechadzali się wzdłuż brzegu. Wśród ludzi, krzątających się wokół łodzi, komisarz zwrócił uwagę na Jorresa, wyraźnie wyróżniającego się wyglądem spośród towarzyszy.

— Kim jest ten człowiek? — zapytał.

— Jednym z przewoźników zatrudnionych na „Gallinette” — odparł Jacques Helloch.

— To nie jest Indianin...

— Nie, jest Hiszpanem.

— Skąd go wzięliście?

— Z San Fernando.

— Czy pływanie po Orinoko to jego zawód?

— Niezupełnie, lecz brakowało nam jednego człowieka, a ten Hiszpan chciał się dostać do Santa Juana i zaoferował się do pracy.

Jorres, mimo że nie przerywał pracy, zauważył, że rozmawiano o nim. Nadstawił uszu. Jacques Helloch zadał komisarzowi pytanie, które nasunęło mu się całkiem naturalnie:

— Czy zna pan tego człowieka?

— Nie — odparł *señor* Manuel. — Czy był on już kiedyś na górnym Orinoko?

— Indianin Bare twierdzi, że spotkał go w Caridzie, choć Jorres temu zaprzecza.

— Widzę go po raz pierwszy — podjął komisarz. — Chyba niemożliwe, żebym pomylił go z jakimś Indianinem. I mówi pan, że udaje się do Santa Juana...

— Ma zamiar, jak się wydaje, wstąpić na służbę w misji, gdyż był już w nowicjacie, zanim przemierzył świat jako marynarz. Jeśli mu wierzyć, zna Padre Esperante, którego spotkał w Caracas przed kilkunastoma laty. Wydaje się to prawdopodobne, ponieważ opisał on misjonarza podobnie jak pan.

— W gruncie rzeczy — zauważył *señor* Manuel — to mało ważne, czy ten człowiek jest zręcznym przewoźnikiem. W tym kraju należy się strzec awanturników, którzy zjawiają się nie wiadomo skąd i którzy udają się nie wiadomo gdzie... być może...

— Wezmę to pod uwagę, *señor* Manuel — odparł Jacques Helloch — i będę miał oko na tego Hiszpana.

Czy Jorres dosłyszał to wszystko? W każdym razie nie dał nic poznać po sobie, mimo że jego oczy wiele razy zapłonęły niepokojącym blaskiem. Komisarz i pasażerowie zbliżyli się do „Gallinette”, zacumowanej obok „Moriche”, ale nie rozmawiali już o Hiszpanie, choć ten nadal nadstawał uszu.

— Spotkanie jeszcze *raudals* — mówił *señor* Manuel — nieco krótsze, mniej niebezpieczne od tych w Atures i Maipure, ale bardzo utrudniające żeglugę. Łodzie będą ocierały się dnem o skały. Wykonano dobrą robotę dla sierżanta Martiala. Sądzę, że sprawdzono również pańską łódź, *señor* Helloch?

— Proszę nie wątpić, *señor* Manuel. Wydałem takie polecenie. Parchal zapewnił, że „Moriche” ma solidne dno. Musimy mieć więc nadzieję, że nasze *falcas* dadzą się przeciągnąć przez *raudals* bez szkód i wytrzymają ewentualne ataki *chubascos*.

— Największe niebezpieczeństwo stwarza obecność Indian wzdłuż brzegów...

— *Señor* Manuel — włączył się Jean — czy mówi pan o Guaharibusach?

— Nie, drogie dziecko — odparł komisarz uśmiechając się — ci Indianie są nieszkodliwi. Dlatego nie mówię: „Strzeżcie się Guaharibusów”, lecz: „Uważajcie na awanturników wszelkiej nacji, którzy wędrują przez sawanny. Strzeżcie się bandytów zdolnych do wszelkich zbrodni, a z których rząd chce oczyścić te tereny, używając do ich ścigania gwardii narodowej!”

— Jedno pytanie — dodał Germain Paterne. —: Czy zagrażają oni również rancho?

— Oczywiście, *señor* Paterne. Dlatego jesteśmy w pogotowiu. Bandyci nie zaskoczą nas, powita się ich ogniem z naszej broni i przejdzie im ochota na powtórny wizytę. Poza tym wiedzą, że Mariquitaresi z Danaco są odważni i nie będą ryzykowali ataku na nas. Natomiast podróżni płynący rzeką, szczególnie powyżej Cassiquiare, muszą zachowywać nadzwyczajną czujność, gdyż brzegi nie są bezpieczne.

— Rzeczywiście — dodał Jacques Helloch — uprzedzono nas, że liczna banda Quivasów nęka napadami te tereny.

— Niestety! — odparł komisarz.

— Mówi się, że ich szefem jest zbiegły galernik...

— Tak — i to człowiek niebezpieczny!

— Już kilkakrotnie — zauważył sierżant Martial — słyszeliśmy o tym galerniku, który, jak mówią, zbiegł z katorgi w Cayenne.

— To prawda.

— Czy to jest Francuz? — zapytał Jacques Helloch.

— Nie, pewien Hiszpan, który został skazany we Francji.

— A jak się nazywa?

— Alfaniz.

— Alfaniz? Nazwisko jest zapewne fałszywe? — zauważył Germain Paterne.

— Wydaje się, że to jego prawdziwe nazwisko.

Gdyby w tym momencie Jacques Helloch przyjrzał się Jorresowi, na pewno zauważyłby jego trwożę. Hiszpan przechadzał się wzdłuż brzegu wolnym krokiem w taki sposób, by lepiej słyszeć rozmowę. Cały czas udawał, że jest zajęty zbieraniem rozrzuconych przedmiotów na piasku. Lecz Jacques Helloch został zaskoczony nagłym okrzykiem.

— Alfaniz! — wykrzyknął sierżant Martial, zwracając się do komisarza. — Pan powiedział Alfaniz?

— Tak, Alfaniz.

— No tak... pan ma rację... To nie jest fałszywe nazwisko... To jest ten nędznik...

— Pan zna tego Alfaniza? — Jacques Helloch był zaskoczony tym oświadczeniem.

— Czy ja go znam! Mów, Jean. Opowiedz, jak go poznaliśmy! Ja płacę się w mym słabym hiszpańskim i *señor* Manuel może mnie źle zrozumieć.

Jean opowiedział więc historię, o której wspomniał sierżant Martial — historię, którą stary żołnierz wiele razy mu przypominał w domu w Chantenay, gdzie rozmawiali o pułkowniku de Kermorze. W roku 1871, tuż przed końcem nieszczęsnej wojny, pułkownik dowodził jednym z pułków piechoty. Występował wówczas jako świadek w procesie o podwójną zbrodnię, kradzież i zdradę. Tym złodziejem był Hiszpan Alfaniz. Zdrajca, działając na korzyść Prusaków i uprawiając szpiegostwo, dokonywał także kradzieży, wspólnie z jednym żołnierzem z administracji, który uniknął kary jedynie dlatego, że popełnił samobójstwo.

Gdy machinacje Alfaniza zostały odkryte, miał jeszcze czas na ucieczkę i ręka sprawiedliwości nie mogła go dosięgnąć. Jednakże dzięki zupełnie nieoczekiwanemu przypadkowi został aresztowany dwa lata później, w 1873 roku, około sześciu miesięcy przed zniknięciem pana de Kermora. Postawiony przed sądem przysięgłych Dolnej Loary, obciążony zeznaniami pułkownika, doczekał się kary dożywotnich ciężkich robót. Alfaniz zapalał straszną nienawiścią do pułkownika de Kermora, nienawiścią przejawiającą się w najstraszniejszych groźbach i zapowiedzi okrutnej zemsty.

Hiszpan został wysłany na katorgę do Cayenne w Gujanie, skąd udało mu się zbiec na początku 1892 roku, po dziewiętnastu latach pobytu, wraz z dwoma kompanami z tego samego łańcucha. W czasie procesu miał dwadzieścia trzy lata, teraz był więc mężczyzną czterdziestodwuletnim. Administracja francuska postawiła na nogi swych agentów w celu odnalezienia jego śladów. Wszystko bez skutku. Alfanizowi udało się opuścić Gujanę. Niestety, nie odnaleziono śladów zbiegłego galernika na tych rozległych terenach, prawie nie zaludnionych.

Galernik stanął na czele bandy tych Quivasów, którzy — przepędzeni z Kolumbii — przenieśli się na prawy brzeg Orinoko. Pozbawieni wraz ze śmiercią Mety Sarrapii swego przywódcy, Indianie ci, najbardziej niebezpieczni ze wszystkich krajowców, oddali się pod rozkazy Alfaniza. Rzeczywiście, pasował do tej bandy, której przypisywano grabieże i morderstwa dokonywane od roku w południowych prowincjach republiki.

Zły los chciał, że Alfaniz operował na tych terenach, gdzie Jeanne de Kermor i sierżant Martial mieli zamiar poszukiwać pułkownika. Nie było wątpliwości, że gdyby oskarżyciel wpadł w jego ręce, galernik nie okazałby mu litości. Oto jaka nowa troska została dorzucona do tylu innych zmartwień dziewczyny. Nie mogła powstrzymać łez na myśl, że nędznik wysłany na katorgę w Cayenne, który poprzysiągł śmierć jej ojcu, właśnie stamtąd zbiegł.

Jacques Helloch i *señor* Manuel starali się ją uspokoić. Jest małe prawdopodobieństwo, żeby Alfaniz wpadł na ślad pułkownika de Kermora. Nie! Nie ma obawy, że mógł wpaść w jego ręce... W każdym razie najważniejszy jest pośpiech i dalsze poszukiwania.

Zresztą byli gotowi do wyruszenia. Ludzie Valdeza — łącznie z Jorresem — zajmowali się załadunkiem „Gallinety” i nazajutrz na pewno popłyną.

Señor Manuel zabrał swych gości na rancho, by spędzili tam ostatni wieczór. Byli oni oczywiście niezmiernie wdzięczni za serdeczne przyjęcie w Danaco.

W końcu nadeszła godzina rozstania. Rodzina Assomptiona odprowadziła pasażerów do portu. Tu się pożegnano, wymieniono ostatnie uściski rąk, obiecując powtórne spotkanie w drodze powrotnej.

V

Drętwy elektryczne

Tegoż dnia po minięciu wielu wysp, na których wiatr wicherzył czuby wysokich drzew, łodzie dotarły pod wieczór do wyspy Bayanon w zakolu rzeki. Noc była jasna, wspaniale oświetlona promieniami księżyca, Parchal i Valdez zaplanowali postój na następny dzień, zwłaszcza że dzięki hojności *señora* Manuela Assomptiona i jego synów zapasy żywności były obfite.

Noc upłynęła bez zdarzeń, mimo że szerokość rzeki, już nie większa niż trzysta pięćdziesiąt metrów, była czasami jeszcze bardziej ograniczona sznurem wysepek, szczególnie u ujścia *rio* Guanami, prawego dopływu Orinoko.

Rankiem „Gallinetta” i „Morange” znalazły się na wysokości wyspy Temblador, gdzie Chaffanjon nawiązał stosunki z pewnym Murzynem, inteligentnym i usłużnym, o imieniu Ricardo. Murzyn ten, komisarz Cunucunumy i Cassiquiare, dwóch ważnych dopływów, prawego i lewego, nie przebywał już w swej siedzibie. Według raportu francuskiego podróżnika był to człowiek zmyślny, nadzwyczaj skromny, energiczny i po zdobyciu tu fortuny, założył zapewne jakieś nowe rancho na północy sawanny.

Być może pasażerowie mogli go spotkać na wyspie Temblador, gdyż Jean wymieniał ją czytając swój przewodnik.

— Żałuję, że tego Ricarda już tu nie ma — westchnął Jacques Helloch. — Na pewno moglibyśmy się dowiedzieć od niego, czy widziano w tych okolicach Alfaniza.

I zwracając się do Hiszpana:

— Jorres, czy w San Fernando słyszałeś o zbiegach z Cayenne i o bandzie Indian, z którą się połączyli?

— Tak, monsieur Helloch — odparł Hiszpan.

— Czy sygnalizowano ich obecność w prowincjach górnego Orinoko?

— Nie... Chodzi o pewną grupę Indian Quivasów...

— Właśnie na ich czele stanął Alfaniz, galernik.

— Nazwisko to słyszę po raz pierwszy — zapewnił Hiszpan. — W każdym razie nie powinniśmy obawiać się spotkania z tymi Quivasami. Podobno zamierzali wrócić na tereny Kolumbii, z których zostali wyrzuceni. Jeśli to prawda, nie mogą być po tej stronie Orinoko!

Tak czy inaczej podróżni nie powinni zapominać przestróg *señora* Manuela Assomptiona i mieć

się na baczności.

Dzień upłynął bez żadnego incydentu. Żegluga przebiegała w sprzyjających warunkach. Pirogi mijaly wyspę po wyspie, ledwo opuszczały jedną, a już zbliżały się do następnej. Wieczorem zatrzymały się na postój u krańca wyspy Caricha.

Nazajutrz wyruszone spieszenie, by wykorzystać poranną bryzę. Widać już było wysoki łańcuch górski, wznoszący się ponad dżunglą, która rozciągała się aż po horyzont na prawym brzegu. Był to łańcuch Duido, jeden z większych na tym terenie, do którego podróźni dopłyną za kilka dni.

Dwadzieścia cztery godziny później, pod koniec męczącego dnia z gwałtownymi ulewami, u ujścia Cunucunumy, jednego z ważniejszych prawych dopływów, Valdez i Parchal zarządzili nocny postój w Piedra Pinta. Nie należy mylić tego „Malowanego Kamienia” z tym, który podróźni spotkali już powyżej San Fernando. Jeśli jest tak samo nazwany, to dlatego, że skały na lewym brzegu mają podobne odciski posążków, ale inne hieroglify.

Nazajutrz „Gallinetta” i „Moriche” ruszyły w drogę. W tej części rzeki prawy brzeg jest bardzo urozmaicony, rysującym się na horyzoncie i pokrytym niedostępną dżunglą łańcuchem Duido, a *cerros* Guaraco tworzą tu naturalny brzeg, dając rozległy widok na powierzchnię liano sów na lewym brzegu, poprzecinaną przez kapryśny i urozmaicony bieg Cassiquiare. Warunki atmosferyczne nie sprzyjały żegludze. Przed południem Jean zauważył chmurę, bardzo niską i bardzo gęstą, ciągnącą się tuż nad sawanną. Parchal i Valdez przyjrzeni się dokładnie chmurze, której ciężkie i ciemne kłęby tłoczyły się, dochodząc powoli do prawego brzegu. Również Jorres, stojący na dziobie „Gallinety”, próbował znaleźć przyczynę tego zjawiska.

— To chmura pyłu — powiedział Valdez. Taką opinię wydał również Parchal.

— Co jest przyczyną takiego kurzu? — zapytał sierżant Martial.

— Jakieś stado w ruchu, bez wątplenia — zauważył Germain Paterne.

Chmura, już o jakieś dwieście metrów od brzegu, posuwała się szybko. Czasami rozwierała się i wtedy można było zauważyć poruszające się czerwone bryły.

— Czyżby to była banda Quivasów? — krzyknął Jacques Helloch.

— Na wszelki wypadek skierujmy pirogi ku przeciwnemu brzegowi — powiedział Parchal.

— I to natychmiast — rozkazał Valdez.

Wydano polecenie manewru. Ściągnięto żagle, przeszkadzające *falcas* w skośnym kursie przez główny nurt rzeki, a ludzie napierając na *palancas* skierowali ku lewemu brzegowi „Gallinette”, za którą podążyla „Moriche”.

Jorres wrócił na swoje miejsce przy wiosłach, nie wykazując żadnego zaniepokojenia. Podróżnicy

mieli jednak prawo do niepokoju, gdyż groziło im spotkanie z Alfanizem i jego Indianami. Ze strony tych bandytów nie można było spodziewać się litości. Na szczęście, ponieważ nie mieliby czym przepłynąć rzeki, pirogi, trzymające się teraz lewego brzegu, znajdowały się chwilowo poza zasięgiem ewentualnego ataku.

Valdez i Parchal zacumowali przy nadbrzeżnych pniach, a pasażerowie, z bronią w rękę, oczekiwali na dalszy bieg wydarzeń. Kłęby pyłu toczyły się nie dalej niż dwadzieścia kroków od rzeki. Dochodziły stamtąd krzyki lub raczej charakterystyczne porykiwania.

— Ech! Nie ma się czego obawiać! To tylko stado wołów! — wykrzyknął Valdez.

— Ten kurz wznosi wiele tysięcy zwierząt — dorzucił Parchal.

— I robią ogromny hałas! — dodał sierżant Martial.

W rzeczy samej, ten ogłuszający zgiełk to były ryki wydostające się z czegoś co przypominało żywą falę i toczyło się na powierzchni llanosów. Jean, którego Jacques Helloch uprosił, by skrył się w nadbudówce „Gallinety”, wyjrzał teraz ciekawy, jak takie stado przepłynie Orinoko.

Przepędzanie wołów jest częste na terenach Wenezueli. Właściciele bydła muszą brać pod uwagę warunki sezonu suszy i sezonu deszczowego. Gdy zabraknie trawy na wyżej położonych łąkach, bydło wypasa się na terenach w pobliżu rzek, gdzie roślinność jest zdumiewająco bujna. Trawy dostarczają zwierzętom obfitego i doskonałego pokarmu na całym obszarze *esteros*. Llanerosi muszą więc przepędzać swoje stada, a kiedy napotkają rzekę, przekraczają ją w pław.

Woły zatrzymały się na brzegu rzeki. Powstał potworny tumult, gdyż ostatnie rzędy napierały nieustannie na pierwsze, a te wahały się przed wejściem do wody! Będą zmuszone do tego — przez *cabestero*, który podążał za nimi.

— To jest dowódca przeprawy — powiedział Valdez. — Skoczy na koniu w nurty rzeki, a zwierzęta podążą za nim.

Rzeczywiście, *cabestero* runął do wody jednym skokiem. Poganiacze bydła, poprzedzani przez przewodnika, który zaintonował rodzaj dzikiego hymnu wykrzykując w dziwnym rytmie „naprzód”, popłynęli na drugą stronę. Tuż za nimi zanurzyło się w rzece stado. Na powierzchni wody widać było jedynie łby o długich, skrzyconych rogach. Zwierzęta prychały gwałtownie. Przeprawa przebiegała sprawnie, mimo wartości prądu, aż do środka koryta rzeki.

Nagle wśród wołów, których całe setki były jeszcze o kilkadziesiąt metrów od prawego brzegu, powstało ogromne zamieszanie. Z rykiem zwierząt zmieszały się wrzaski poganiaczy. Z nie znanej przyczyny całą tę masę ogarnęło przerażenie.

— *Les caribes... les caribes!* — krzyczeli marynarze z „Moriche” i „Gallinety”.

— *Les caribes!* — powtórzył Jacques Helloch.

— Tak! — zawołał Parchal — *les caribes i les parayos!*

Faktycznie, stado natknęło się na gromadę groźnych drętwek* elektrycznych, których wiele żyje w słodkich wodach Wenezueli. Przy wyładowaniach tych „lejdejskich butelek”, zawsze pod napięciem ogromnej mocy, woły doznawały stopniowego wstrząsu, a następnie padały paraliżowane. Przewracały się na bok podrzucane wstrząsami, wierzgały po raz ostatni nogami. Wiele z nich ginęło w ciągu kilku sekund, podczas gdy inne, nieczułe na głosy poganiaczy, z których kilku zostało również porażonych przez drętwy, poddawały się prądowi i lądowały na przeciwległym brzegu o setki metrów w dół rzeki. Tylne szeregi zwierząt pchały całe stado i oszalałe woły zmuszone były zanurzać się w wodę. Ale energia elektryczna *parayos* i *caribes* zmniejszała się i wielu zwierzętom udało się dopłynąć na lewy brzeg i rozbiec bezładnie po sawannie.

Pirogi podjęły żeglugę, bardzo powolną, bowiem wiatr po południu zwykle uspokaja się. Przez niektóre wąskie przesmyki, gdzie prąd był gwałtowny, musiano holować łodzie za pomocą *espilla*. Zapadła już noc, gdy pasażerowie zarządzili postój u stóp wioski Esmeralda.

Na prawym brzegu migotały światła na zadrzewionym wierzchołku Duido, łańcuchu górskim wysokim na dwa tysiące czterysta siedemdziesiąt cztery metry nad poziomem morza. Nie była to erupcja wulkanu, lecz płomienie, giętkie i wesołe, tańczące po zboczach *cerro*. Nad *falcas*, przycupniętymi przy brzegu, wirowały oślepienie ogniem nietoperze.

VI

Straszliwe obawy

Pojawienie się olbrzymich błędnych ogni na szczycie Duido Baresi uznają za zwiastun katastrofy. Według Mariquitaresów zjawisko to zapowiada serię szczęśliwych wydarzeń. Jak widać, te dwa plemiona indiańskie zupełnie inaczej odczytują prognozy owej proroczej góry. Ale na pewno sąsiedztwo Duido nie przyniosło szczęścia wiosce Esmeralda.

„Gallinetta” i „Morique” nie spotkały żadnej łodzi w porcie. Któż wypędził stąd Indian? To legiony komarów spowodowały, że okolica nie nadaje się do zamieszkania. Wszystkie płomienie Duido nie byłyby w stanie ich zniszczyć. *Falcas* zostały tak strasznie zaatakowane, że moskitiery okazały się niewystarczające, pasażerowie i przewoźnicy zostali pokłuci, a najbardziej siostrzeniec sierżanta Martiala. Parchal i Valdez odpłynęli przed świtem posługując się *palancas*. Wiatr powiał około szóstej, a dwie godziny później pirogi przekroczyły ujście Iguapo, jeden z prawych dopływów. Sierżant Martial i Jacques Helloch obawiali się, czy Jeanne, tak dotąd silna, tak wytrzymała, tak również energiczna, nie zapłaci daniny miejscowemu klimatowi. Na terenach bagiennych panuje gorączka endemiczna, której trudno uniknąć. Jacques Helloch, Germain Paterne i sierżant Martial, dzięki swym silnym organizmom, nie zostali nią zaatakowani. Odporna była również załoga. Młoda dziewczyna natomiast od kilku dni niedomagała. Germain Paterne orzekł, że zapadła na malarię. Coraz bardziej słabła, traciła apetyt i coraz częściej i dłużej zmęczenie nie do przewyciężenia zmuszało ją do leżenia. Starła się za wszelką cenę stawić czoło chorobie, nie chcąc przysparzać kłopotów współtowarzyszom podróży.

Wszyscy chcieli wierzyć, że to przejściowa niedyspozycja. A może diagnoza Germaina Paterne była błędna? A poza tym, biorąc pod uwagę wytrzymałość duchową i psychiczną Jeanne, czy sama natura nie będzie jej najlepszym lekarzem i czy najlepszym lekarstwem nie będzie młodość? W każdym razie niepokój podróżników wzrastał.

Falcas były dobrze zaopatrzone w mięso jeleni, *cabiais*, pekari, które myśliwi upolowali poprzedniego dnia. Tylko pogoda była niekorzystna. Od czasu do czasu lało jak z cebra. Z tego powodu Jeanne cierpiała jeszcze bardziej. Nic nie wskazywało na poprawę jej stanu. Gorączka utrzymywała się, a nawet rosła, mimo nieustannej opieki.

Nazajutrz, 21 października, napotkany *raudal*, wijący się między wysokimi, mocno zwężonymi brzegami, sprawił nieco kłopotów. Wieczorem „Morique” i „Gallinetta” dotarły do *rio* Padamo. Gorączka, która stopniowo rujnowała organizm dziewczyny, wcale nie ustępowała. Jeanne była coraz bardziej wyczerpana i nie opuszczała nadbudówki. Jakie gorzkie wymówki robił sobie stary żołnierz, że zgodził się na tę podróż! Wszystko to była jego wina! Jak powstrzymać ataki gorączki? Nawet jeśli w apteczce „Morique” są skuteczne leki, czy nie byłoby ostrożniej zawrócić do San Fernando?

Jeanne de Kermor — słysząc, jak sierżant Martial dyskutował na ten temat z Jacquesem Hellochem, zupełnie załamana, odezwała się zbolalym głosem:

— Nie!... Nie wracajmy do San Fernando. Muszę dotrzeć do misji! Dotąd będę szukać, aż odnajdę ojca. Do Santa Juana... do Santa Juana!

Opadła na posłanie prawie bez przytomności. Jacques Helloch nie wiedział co postanowić. Czy nie lepiej jednak kontynuować podróż, dotrzeć do Santa Juana, gdzie pomoc będzie taka sama jak w San Fernando?

— A więc nie możesz w niczym pomóc! — zawołał zdesperowanym głosem Helloch do Germaina Paterne. — Nie znasz żadnego lekarstwa, które mogłoby stłumić tę gorączkę, od której umiera! Czyż nie widzisz, że biedne dziecko marnieje z każdym dniem?

Germain Paterne nie wiedział co odpowiedzieć. Chinina nie powstrzymywała gorączki, mimo że była podawana w wysokich dawkach. Znalazł jedynie taką odpowiedź:

— Chinina niestety nie skutkuje! Najlepszy byłby napar z ziół... kory drzew... Muszą rosnąć na tych terenach... Lecz kto nam je wskaże i jak go przygotować?

Valdez i Parchal potwierdzili słowa Germaina Paterne. W San Fernando używano powszechnie ziołowych substancji, bardzo skutecznych przeciwko gorączce, wywoływanej przez bagienne wyziewy.

— Najczęściej — stwierdził Valdez — używa się kory z *chinchora*, a przede wszystkim z *coloradito*...

— Czy potraficie rozpoznać te rośliny? — zapytał Jacques Helloch.

— Nie — odparł Valdez. — Jesteśmy tylko przewoźnikami, ciągle na rzece... Trzeba zwrócić się o pomoc do llanerosów, ale nie widać żadnego z nich na brzegu!

Nazajutrz o świcie wznowiono żeglugę. Pogoda była burzowa, w oddali przetaczały się grzmoty. Wiatr sprzyjał, Valdez i Parchal nie chcieli stracić ani jednego podmuchu. Ci dzielni ludzie dzielali ból swych pasażerów. Lubili tego chłopca, rozpaczali widząc jego postępujące wyczerpanie. Jedynie Hiszpan Jorres był obojętny. Jego spojrzenie nieustannie omiatało llanosy na prawym brzegu. Trzymał się najczęściej na skraju „Gallinety”, podczas gdy jego towarzysze spali u stóp masztu. Raz lub dwa razy zauważył to Jacques Helloch i bez wątpienia zwróciłby uwagę na podejrzanę zachowanie się Hiszpana, gdyby miał czas go obserwować. Lecz jego myśli krążyły gdzie indziej: gdy *falcas* płynęły obok siebie, spoglądał na dziewczynę, która próbowała się uśmiechnąć, by podziękować mu za jego starania. Tego dnia powiedziała mu:

— Monsieur Jacques, chcę pana prosić, aby pan mi coś obiecał...

— Proszę mówić... proszę... mademoiselle Jeanne... Spełnię każdą prośbę.

— Monsieur Jacques, być może nie starczy mi sił, by kontynuować nasze poszukiwania. Być może

będę musiała pozostać w Santa Juana. I jeśli dowiemy się, co stało się z mym ojcem... zechce pan...

— Zrobić wszystko, by do niego dotrzeć!... Tak, Jeanne, moja droga Jeanne... tak! Wyruszę... puszcze się po śladach pułkownika de Kermora... odnajdę go... przyprowadzę go do córki...

— Dziękuję... monsieur Jacques... dziękuję! — odpowiedziała dziewczyna, a głowa jej opadła na posłanie.

Koniec dnia był niezwykle groźny dla chorej w wyniku nadzwyczaj silnego ataku gorączki. Można się było spodziewać najgorszego, jeśli Germainowi Paterne nie uda się zdobyć lekarstwa, które zadziała skutecznie. Jak opisać ból, który ogarnął pasażerów łodzi! Sierżant Martial popadł w tak straszliwą rozpacz, że obawiano się o jego zmysły. Ludzie na „Gallinette” nie spuszczała go z oka, obawiając się, żeby nie rzucił się do rzeki.

Jacques Helloch, siedząc obok Jeanne, gasił odrobiną wody pragnienie, które ją męczyło, śledząc najmniejsze poruszenie warg, wsłuchując się z niepokojem w najcichsze westchnienie. Czyżby nie mógł ocalić tej, którą kochał tak głęboko, tak czystą miłością, dla której poświęciłby setki razy własne życie? I wtedy przyszło mu na myśl, że powinien dać rozkaz zawrócenia do San Fernando. Nawet jeśli dotrą do źródeł Orinoko, trzeba się jeszcze dostać do Santa Juana... Być może do misji trzeba będzie dojść pieszo, przedzierając się przez nieprzebyte lasy, w obezwładniającym upale...

Lecz gdy tylko Jeanne de Kermor odzyskiwała nieco przytomność, gdy gorączka dawała jej trochę wytchnienia, pytała niespokojnym głosem:

— Monsieur Jacques, płyniemy ciągle w dobrym kierunku, nieprawdaż?

— Tak... Jeanne... tak! — odpowiadał.

— Myślę bez przerwy o mym biednym ojcu! Śni mi się, że go odnaleźliśmy! A jak panu dziękował za wszystko, co pan dla mnie zrobił... i dla niego!

Jacques Helloch odwrócił głowę, by ukryć łzy. Tak! Ten tak energiczny człowiek płakał. Czuł się bezradny wobec nasilającej się ciągle choroby, wobec śmierci przycupniętej u wezgłowia uwielbianej dziewczyny.

Wieczorem pirogi zatrzymały się w Piedra Mapaya, skąd wyruszyły o świcie, płynąc za wszelką cenę naprzód. Woda już znacznie opadła, *falcas* wiele razy ryzykowały wejście na piaszczyste mielizny rzeki. W czasie tego męczącego dnia przekroczyły punkt, gdzie cer r os Moras swymi pierwszymi rozgałęzieniami urozmaicają prawy brzeg.

Po południu nowy, niesłychanie gwałtowny atak zagroził życiu chorej. Sądzono, że nadeszła jej ostatnia godzina. Sierżant Martial tak rozpaczał, że Germain Paterne, aby Jeanne nie mogła słyszeć jego krzyków, musiał przesadzić go na „Moriche”, płynącą o sto stóp z tyłu. Chinina nadal nie działała.

— Germain... Germain... — powiedział płacząc Jacques Helloch, który pociągnął swego przyjaciela na dziób „Gallinette” — Jeanne umiera...

— Nie trać nadziei, Jacques!

— Mówię ci, że umiera! Jeśli nawet nie zabije jej ten atak, nie przetrzyma następnego!

Germain Paterne spuścił głowę. — I nic nie można zrobić... nic! — rozpacział.

Około trzeciej po południu spadł ulewny deszcz, który odświeżył nieco przytłaczającą atmosferę, prawie bez przerwy burzową. Rzeka korzystała z wody obficie wylewanej z bezbarwnych chmur, ułożonych grubymi warstwami. Prawe i lewe dopływy, tak liczne w tym biegu rzeki, przybierały i umożliwiały żeglugę łodziom.

O godzinie czwartej, po prawej stronie, ukazał się *cerro* Yaname, odnoga zalesionego masywu o znacznej wysokości. Za ostrym zakrętem Orinoko otwiera się szerokie ujście *rio* Mavaca. Wiatr ustał zupełnie, Valdez i Parchal zarządzili postój u stóp *sitio* złożonego z kilku chat, gdzie żyło pięć lub sześć rodzin Mariquitaresów. Pierwszy wyskoczył na brzeg Jacques Helloch, krzyknąwszy przedtem do kapitana „Moriche”:

— Chodź ze mną, Parchal.

Gdzież się tak śpieszył? Podążył do naczelnika *sitio*. Chciał prosić go, by wyrwał umierającą śmierci!

Naczelnik zajmował dość porządną chatę; takie są z reguły domostwa Mariquitaresów. Był to czterdziestoletni Indianin, inteligentny i chętny do pomocy. Przyjął obu gości bardzo przychylnie. Parchal natychmiast zapytał go o korę krzewu *coloradito*.

Rozmowa toczyła się w narzeczu indiańskim, którego Jacques Helloch nie rozumiał. Ale gdy Parchal przetłumaczył mu potwierdzającą odpowiedź naczelnika, zakrzyknął:

— Niech Indianin przygotuje nam trochę tej kory. Zapłacę mu, ile zechce... wszystko co posiadam!

Naczelnik wyciągnął z jednego z koszyków w swej chacie garść okruchów drzewnych i dał je Parchalowi. Chwilę po tym, Jacques Helloch i kapitan wrócili na pokład „Gallinety”.

— Germain... Germain... *coloradito*... *coloradito*! — tylko tyle mógł wykrztusić Jacques Helloch.

— Wspaniale! — odparł Germain Paterne. — Nowy atak jeszcze nie nadszedł. Teraz jest odpowiednia pora... Uratujemy ją... mój przyjacielu... uratujemy ją!

Germain Paterne przygotowywał napar, a Jacques Helloch dodawał Jeanne odwagi. Nigdy gorączka nie oparła się temu *coloradito*. Można wierzyć w tym względzie naczelnikowi Mavaca. I biedna chora, o rozszerzonych źrenicach, policzkach białych jak wosk, po ataku, który podnosił temperaturę ciała do czterdziestu stopni, miała jeszcze siłę, aby się uśmiechnąć.

— Czuję się już lepiej — mówiła — mimo że jeszcze nic nie zażyłam.

— Jeanne... moja droga Jeanne! — szeptał Jacques Helloch padając na kolana.

Germain Paterne przygotował napar z kory *coloradito* w ciągu kilku minut — i Jacques Helloch zbliżył filizankę do warg dziewczyny. Opróżniła ją, podziękowała i zamknęła oczy.

Teraz należało zostawić ją samą. Germain Paterne musiał odciągnąć Jacquesa Hellocha, który nie chciał opuścić chorej. Przyjaciele usiedli milcząc na dziobie pirogi. Ludzie otrzymali rozkaz zejścia na brzeg, aby nie było żadnego hałasu na pokładzie. Nic nie może zakłócać snu Jeanne.

Sierżant Martial wiedział, że przygotowano lek przeciwgorączkowy i że podano go Jeanne. Wyskoczył z oczyma pełnymi łez na brzeg, pobiegł ku „Gallinetcie”... Germain Paterne dał mu znak, by się zatrzymał. Biedak usłuchał i bezradnie oparł się o skałę.

Według opinii Germaina Paterne, jeśli nowy atak nie nastąpi, będzie to znaczyło, że *coloradito* odniosło skutek. Za dwie godziny będzie wiadomo, czy można mieć nadzieję, być może nawet pewność, ocalenia dziewczyny. W jakiej niewypowiedzianej trwodze wszyscy oczekiwali! Słuchano, czy jakieś westchnienie nie wydostanie się z ust Jeanne... czy nie zawoła... Nie! nie wypowiedziała ani słowa. Jacques Helloch zbliżył się do jej pośłania.

Jeanne już nie rzucała się w gorączce, spała snem spokojnym, snem, który przywraca zdrowie.

— Jest uratowana!... uratowana... — szeptał do ucha przyjacielowi.

— Ja też mam taką nadzieję ... wierzę w to... To zasługa tego *coloradito*!

Mijały godziny, atak nie następował. Nie może już powrócić. Po południu Jeanne obudziła się i wyciągając rękę do Jacquesa Hellocha wyszeptała:

— Czuję się lepiej... tak!... czuję się lepiej!

Później, gdy sierżant Martial otrzymał również pozwolenie na wejście na pokład „Gallinetty”, usłyszał:

— Wszystko będzie dobrze, wuju! — mówiła doń, a ręka jej ocierała łzy starego żołnierza.

Czuwano przy niej całą noc. Otrzymała nowe porcje naparu ze zbawiennej kory. Spała spokojnie, a nazajutrz, po przebudzeniu, było już pewne, że powraca do zdrowia. Jakaż radość odczuwali pasażerowie, jak również załogi obu piróg!

Było oczywiste, że naczelnik Mavaca, mimo że bronił się dumnie przed tym, miał prawo do sowitej zapłaty. Ten dzielny człowiek okazał się powściągliwy. Kilka noży, siekierka, sztuka materiału, lusterka, szklane paciorki, pół tuzina cygar stanowiły cenę jego *coloradito*.

W chwili odjazdu zauważono, że Jorresa nie ma na pokładzie „Gallinetty” i bez wątplenia nie było go od wczorajszego wieczoru. Po powrocie, wypytywany przez Jacquesa Hellocha, odparł, że poszedł spać do lasu. Trzeba było zadowolić się tą odpowiedzią, której nie można było sprawdzić

— odpowiedzią zresztą możliwą do przyjęcia.

Przez następne cztery dni *falcas* płynęła w górę rzeki, pokonując z wielkim wysiłkiem prąd Orinoko. W ciągu doby udawało się zrobić nie więcej niż dziesięć kilometrów. Najważniejsze, że Jeanne wracała szybko do zdrowia, że odzyskiwała siły dzięki pożywieniu, które przygotowywał z niesłychaną troskliwością Germain Paterne. Jacques Helloch już jej nie opuszczał i w końcu sierżant Martial musiał zaakceptować ten stan rzeczy.

— Tak widocznie było pisane! — powtarzał sobie. — Ale do stu tysięcy *carambas*, co powie mój pułkownik?

Od następnego dnia rekonwalescentka mogła już w południe opuszczać kabinę na dwie godziny. Okryta lekkim kocem, wyciągnięta na wspaniałym łożu z suchej trawy na rufie łodzi, oddychała ożywczym i pokrzepiającym powietrzem, płynącym z nadbrzeżnej sawanny.

25 października ukazał się po prawej stronie łańcuch górski, oznaczony na mapie jako cen os Guanayos. 26 października, nie bez ogromnych trudności i skrajnego wyczerpania, pirogi zdobyły *raudal* Marques.

Prawy brzeg rzeki nie był bezludny, jakby się wydawało. Od czasu do czasu jakieś ludzkie postaci przemykały za drzewami i krzakami. Gdyby założyć, że są to Guaharibusi, nie trzeba by się niepokoić, ponieważ plemiona te są raczej nieszkodliwe. Jacques Helloch i sierżant Martial na próżno próbowali dogonić którąś z tych istot.

Parchal i Valdez śledzili bacznie brzegi i nie pozwalali swym ludziom opuszczać łodzi. W wyglądzie i zachowaniu się Jorresa nie było nic podejrzanego i ani razu nie okazywał ochoty zejścia na ląd. Jeszcze siedem lub osiem etapów i pirogi zakończą podróż. Orinoko zmniejszy się do wąskiego strumyka, który wypływa z gór Parima i dopiero dzięki trzystu dopływom staje się wielką arterią Ameryki Południowej. Trzeba będzie opuścić *falcas* i przez gęste lasy na prawym brzegu przejść około pięćdziesięciu kilometrów pieszo do Santa Juana.

Dzień 27 października i następne były najtrudniejsze z całej podróży od wyruszenia z Caicary. Potrzebne było całkowite poświęcenie załóg i cała zręczność kapitanów, by przebyć *raudal* Guaharibusów.

Wyobraźmy sobie zbiorniki wodne, następujące po sobie na kształt schodów, ciągnące się na długości dziesięciu do dwunastu kilometrów. Wszyscy przewoźnicy musieli przyłożyć ręce do *espillas*, zaczepianych do drzew lub skał. Bystrzyna ta niewątpliwie zatrzymałaby ostatecznie pirogi, gdyby była to pora sucha.

Wyruszone o brzasku. Rzeka miała nie więcej niż piętnaście do dwudziestu metrów szerokości. *Falcas* pokonały jeszcze bystrzyny u stópień a Guahariba, między innymi *raudal* Francuzów i niejeden raz łodzie, ledwie płynąc, ciągnięte ramionami przewoźników, drążyły głębokie bruzdy w piaszczystym dnie. W końcu pod wieczór Parchal i Valdez przywiązali cumy na skarpie prawego brzegu. Na przeciwległym brzegu wznosił się ciemny masyw wysokiej góry. Mógł to być jedynie Pic

Maunoir, nazywany tak przez podróżnika francuskiego na cześć sekretarza generalnego Towarzystwa Geograficznego w Paryżu.

Po kolacji wszyscy myśleli tylko o spoczynku, którego tak bardzo potrzebowali. Pasażerowie i marynarze zapadli natychmiast w głęboki sen. W nocy nie było żadnej napaści, żadnego ataku ani Indian Bravos, ani Quivasów Alfaniza.

O świcie, dwaj szyprowie, zbudziwszy się, wydali okrzyk rozczarowania. Od wczorajszego dnia woda opadła o pięćdziesiąt centymetrów. Pirogi spoczywały na suchym gruncie. Ledwie kilka żółtawych strumyków płynęło korytem Orinoko. W ten sposób została przerwana żegluga. Gdy załogi zebrały się na dziobach łodzi, zauważono, że brakuje jednego człowieka. Jorres zniknął w nocy i tym razem już nie wrócił.

VII

Obozowisko pod Pic Maunoir

Pic Maunoir wznosił się nad sawanną lewego brzegu na wysokość tysiąca pięciuset metrów. Łańcuch górski, opierający się o jego ogromny masyw, który wydawał się niewzruszoną podporą, wyciągał swe odnogi aż po horyzont na południowym wschodzie.

Rankiem tego dnia Jacques Helloch, Germain Paterne, Jean, któremu szybko wracały siły, sierżant Martial, do których dołączyli Valdez i Parchal, zwołali naradę. Te sześć osób zebrało się na brzegu lasu, w miejscu nazwanym „obozowiskiem pod Pic Maunoir”, choć szczyt wznosił się na drugim brzegu. Poniżej ciągnęły się stopnie z kamieni i piasku, wzdłuż których leżały na suchej ziemi *falcas* — u ujścia *rio* Torrida.

Pierwszy zabrał głos Jacques Helloch:

— Valdez, czy nigdy nie płynąłeś górnym Orinoko powyżej tego miejsca?

— Nigdy — odpowiedział zdecydowanie kapitan „Gallinety”.

— Ani ty, Parchal?

— Ani ja — odparł szyper „Morange”.

— I żaden z waszych ludzi nie zna biegu rzeki powyżej Pic Maunoir?...

— Żaden — odpowiedzieli Parchal i Valdez.

— Oprócz Jorresa — zauważył Germain Paterne — ale ten Hiszpan opuścił nas bez pożegnania... Podejrzewam, że nie jest to pierwszy jego spacer przez te tereny, choć temu zaprzeczał.

— Gdzież on mógł pójść? — zapytał sierżant Martial.

— Tam, gdzie jest oczekiwany, bez wątpienia... — odrzekł Jacques Helloch.

— Oczekiwany?

— Tak, sierżancie — i przyznam się, że od pewnego czasu Jorres wydawał mi się dość podejrzany.

— Tak samo, jak i mnie — dodał Valdez.

— Po tej całonocnej nieobecności przy *rio* Mavaca, gdy go wypytywałem, odpowiedział mi... właściwie nic nie odpowiedział.

— Jednakże — zauważył Jean — z San Fernando miał na pewno zamiar udać się do Misji Santa Juana...

— I niewątpliwie znał Padre Esperante — dorzucił Germain Paterne.

— To prawda — powiedział sierżant Martial

— lecz to nie wyjaśnia, dlaczego zniknął akurat teraz, gdy jesteśmy zaledwie o kilka dni drogi od misji...

W ostatnim czasie wzrosły podejrzenia Jacquesa Hellocha w stosunku do Jorresa. Nie rozmawiał o tym z nikim, ponieważ nie chciał niepokoić swych współtowarzyszy. Ze wszystkich to właśnie on był najmniej zaskoczony zniknięciem Hiszpana. Poważnie zastanawiał się, czy Jorres nie należy do grupy zbiegów z Cayenne, która przyłączyła się do Quivasów, dowodzonych przez Alfaniza. Gdyby tak było, to co robił Jorres w San Fernando, gdzie go spotkano? Na pewno dowiedziawszy się, że pasażerowie piróg mają zamiar udać się do Santa Juana, zaoferował swe usługi kapitanowi „Gallinety”... A teraz, odkąd podejrzenia stały się faktem, Jacques Helloch rozumował następująco: Odszedł wtedy, gdy wszystko wskazywało, że powinien zostać. Prawdopodobnie, skrycie uprzedzony, że Quivasi i ich szef przebywają w okolicznej sawannie, wykorzystał osłonę nocy, by do nich dołączyć... A jeśli tak było, to mała grupa, zmuszona do przedzierania się przez gęste lasy, byłaby narażona na ogromne niebezpieczeństwo.

Lecz tymi obawami nie dzielił się z nikim — z wyjątkiem Valdeza, który podzielał jego podejrzenia wobec Hiszpana. Skierował rozmowę w innym kierunku, bardziej praktycznym.

— Zostawmy Jorresa, gdziekolwiek jest — powiedział. — Być może wróci, być może nie wróci... Teraz musimy się przede wszystkim zająć naszą sytuacją i tym, co zrobić, aby osiągnąć cel. Nie możemy podróżować dalej rzeką...

— Ale te trudności — zauważył Jean — i tak wystąpiłyby za kilka dni, u stóp *sierra* Parima. Ponieważ Santa Juana nie ma połączenia z Orinoko żadnym spławnym dopływem, byliśmy przygotowani na przebycie ostatnich etapów, stamtąd do misji, przez sawannę...

— Masz rację — odparł Jacques Helloch — prędzej czy później, jutro, jeśli nie dziś, musielibyśmy porzucić *falcas*. To prawda, ale gdybyśmy byli czterdzieści kilometrów dalej na wschód, mniej zmęczilibyśmy się... Tego się obawiam, szczególnie ze względu na ciebie.

— Siły mi całkowicie wróciły, monsieur Helloch — oświadczył Jean. — Jestem gotów wyruszyć natychmiast i nie będę zostawał w tyle...

— Ładnie powiedziane — zawołał Germain Paterne — nic tylko cię słuchać, Jean! Ale musimy coś postanowić. Jacques, w jakiej odległości znajdujemy się od źródeł i misji?

— Zmierzyłem te odległości na mapie — odrzekł Jacques Helloch. — Jeśli chodzi o Parima, jesteśmy nie dalej jak o pięćdziesiąt kilometrów. Ale sądzę, że nie musimy wspinać się aż do źródeł...

— A to dlaczego? — zapytał sierżant Martial.

— Ponieważ misja jest położona nad *rio* Torrida, na północny wschód od naszego obozu. Spróbujemy dostać się tam bezpośrednio, nie wydłużając drogi przejściem przez *sierra* Parima.

— Rzeczywiście — potwierdził Jean. — Sądzę, że niepotrzebnie męczylibyśmy się na tym obejściu i że lepiej pójść w prostej linii na Misję Santa Juana...

— W jaki sposób? — zapytał zaniepokojony sierżant Martial.

— Tak, jak musimy to zrobić...

— Pieszko?

— Pieszko — odparł Jacques Helloch. — Na tych bezludnych terenach nie ma *sitio* ani *rancho*, gdzie moglibyśmy zdobyć konie.

— A nasze bagaże? — zapytał Germain Paterne. — Trzeba będzie więc zostawić je na pirogach...

— Też tak myślę — odpowiedział Jacques Helloch. — Po co mają nam przeszkadzać kłopotliwe pakunki?

— Hm! — powiedział jedynie Germain Paterne, który troszczył się o swoje przyrodnicze zbiory bardziej niż o koszule i skarpetki.

— Ale — zastanowił się Jean — kto wie, czy nie będziemy musieli udać się poza Santa Juana?

— Być może, a w takim wypadku — odparł Jacques Helloch — wrócimy po bagaże. Pirogi będą tutaj czekały na nasz powrót. Parchal i Valdez, a przynajmniej jeden z nich, będzie ich strzegł wraz z przewoźnikami. Misja nie jest bardzo oddalona i konno tę odległość pokona się w ciągu doby.

— A więc pańskim zdaniem, monsieur Helloch — podjął Jean — należy zabrać tylko tyle, ile jest niezbędne na trzy— lub czterodniową podróż...

— Moim zdaniem, mój drogi, trzeba wyruszyć natychmiast w drogę, jeśli nie chcemy rozbijać obozu u ujścia *rio* Torrida. Nie zapominajmy, że musimy zastać tu pirogi, jeżeli chcemy spłynąć Orinoko do San Fernando...

— Z moim pułkownikiem! — zawołał sierżant Martial.

— Z moim ojcem — wyszeptał Jean.

Cień wątpliwości zachmurzył twarz Jacquesa Hellocha. W każdym razie starał się nie odbierać

odwagi współtowarzyszom. Okoliczności sprawiły, że postanowił iść w tej kampanii aż do końca i nie cofnie się przed żadnym niebezpieczeństwem.

Ponieważ stał się mimo woli szefem tej ekspedycji, której sukces jest — być może — bardzo niepewny, ma obowiązek objąć jej kierownictwo i nie zaniedbać niczego.

Wymarsz przełożono na dzień następny. Zajęto się wybraniem rzeczy niezbędnych na wędrowkę w ciągu trzech lub czterech długich etapów przez lasy *sierra*. Valdez i dwaj z jego ludzi mieli towarzyszyć podróżnym do misji. Parchal i szesnastu pozostałych marynarzy miało pozostać w obozie i pilnować piróg. Kto wie, być może upłynie wiele miesięcy, zanim Jacques Helloch wraz ze współtowarzyszami będą mogli na nie wrócić! Region Górnego Orinoko był bezludny i podróżni nie mogli uzyskać żadnych informacji co do dalszej drogi, o Misji Santa Juana, o jej dokładnym położeniu na północny wschód od rzeki.

Gdy Jacques Helloch zwierzył się Valdezowi, że chciałby spotkać Indian, ten przerwał mu, mówiąc:

— Prawdopodobnie o jeden lub dwa strzały fuzji od obozu znajdziemy chaty Guaharibusów.

— Czy masz podstawy, aby tak sądzić?

— Mam co najmniej jedną, *señor* Helloch. Przechodząc brzegiem lasu, o dwieście kroków od brzegu, znalazłem popiół z ogniska...

— Wygaszonego...

— Tak, lecz popiół był jeszcze gorący.

— A czy nie pomyliłeś się, Valdez?! I dlaczego, jeśli w pobliżu są Guaharibusi, nie przybiegli do piróg?...

— Należy przypuszczać, że raczej umknęli w pośpiechu...

— Ale dlaczego? Czyż to nie dobra okazja dla nich, takie spotkanie z podróżnikami... okazja do wymiany i zarobku?

— Ci biedni Indianie są zbyt wielkimi tchórzami!... Ich pierwszym odruchem jest ukrycie się w lesie.

— No dobrze, Valdez, jeśli uciekli, ich chaty przynajmniej zostały i może odnajdziemy którąś z nich w lesie...

— Łatwo się o tym przekonać — odparł Valdez — wysyłając zwiad na dwieście lub trzysta kroków w głąb lasu... Indianie zwykle nie oddalają się od rzeki... Jeśli w okolicy jest jakieś *sitio* lub chata, wystarczy pół godziny, by ją odnaleźć.

— Dobrze, Valdez, pójdziemy na poszukiwania. Posilmy się najpierw, a potem ruszamy w drogę.

Obozowisko, pod kierunkiem obu kapitanów, zostało zorganizowane szybko. Mimo że zapasów solonego mięsa, konserw, mąki maniokowej nie brakowało, postanowiono zachować ten prowiant na drogę, aby nic nie zaskoczyło wędrowców. Valdez i dwaj jego ludzie przytroczyli do pasów torby. Dołączą do nich jacyś Indianie, jeśli ich spotkają w okolicy. Zachęta w postaci kilku plastrów uczyni z nich z łatwością tragarzy i przewodników. Polowanie powinno dostarczyć więcej mięsa niż potrzeba podróżnym w drodze, jak również marynarzom na postoju w obozie pod szczytem Maunoir.

W czasie posiłku Jacques Helloch oznajmił o postanowieniu, jakie podjął razem z Valdezem. Obaj pójdą na poszukiwania, w promieniu jednego kilometra, Indian Guaharibusów, którzy — być może — przebywają w tych llanosach górnego Orinoko.

— Chętnie będę wam towarzyszył... — powiedział Jean.

— Jeśli ja ci na to pozwolę, mój siostrzeńcze! — stwierdził sierżant Martial. — Musisz oszczędzać siły na podróż... Odpocznij jeszcze ten jeden dzień... z polecenia lekarza.

Jacques Helloch musiał przyznać rację sierżantowi Martialowi. Wystarczająco dużo wysiłku wymagał marsz od Santa Juana. Jeanowi de Kermorowi trzeba nakazać dwudziestoczworgodzinny odpoczynek.

— Mój drogi — powiedział — twój wuj dobrze radzi... Ten dzień przywróci ci w pełni siły, jeśli pozostaniesz w obozie... Valdez i ja to wystarczy...

— Nie potrzeba wam przyrodnika?... — zapytał Germain Paterne.

— Nie potrzeba przyrodnika, by odkryć dzieci przyrody — odparł Jacques Helloch. — Pozostań tutaj i zbieraj rośliny, jakie tylko zechcesz, na brzegu lasu i wzdłuż rzeki.

— Pomogę panu, monsieur Paterne — dodał Jean — i jeśli są tu jakieś ciekawe rośliny, wykonamy obaj dobrą robotę!

Jacques Helloch, wyruszając z obozu, polecił Parchalowi przyspieszyć przygotowania do podróży. Obaj z Valdezem mieli nadzieję wrócić nie później niż za dwie godziny, a w każdym razie nie przekraczać pewnej odległości. Zatem jeden z karabinem na ramieniu, drugi z toporkiem za pasem, opuścili obóz i — kierując się na północny wschód — zniknęli za pierwszymi drzewami.

Była dziewiąta rano. Słońce zalewało las ognistymi promieniami. Na szczęście nad ziemią rozciągało się gęste listowie. Las w *sierra* Parima zdawał się być bezludny. Jednakże wygnieciona trawa, złamane gałęzie i świeże jeszcze ślady świadczyły o obecności Indian na prawym brzegu rzeki.

W miarę jak Jacques Helloch zagłębiał się w las, budził się w nim instynkt myśliwski. Ileż pięknych strzałów można by oddać do *cabiais*, leniwców, pekari, licznych białych małp, zwanych *vinditas* i wielu tapirów, które znalazły się w zasięgu strzelby! Ale nie mogli obciążać się zwierzyną,

a poza tym należało zachować ostrożność. Nie wiadomo przez kogo strzały mogą być usłyszane i czy Quivasi nie kryją się w krzakach...

Jacques Helloch poruszał się po cichu. Szli krętą ścieżką, widoczną w trawie. Gdzie może prowadzić ta ścieżka?... Czy skończy się na jakiejś polanie u podnóża *sierra*?...

Wędrówka zapowiadała się bardzo wolna, bardzo męcząca. Gdyby pirogi mogły dotrzeć do źródeł Orinoko, droga do Misji Santa Juana przez region Parima byłaby pewnie mniej skomplikowana. Takim różnym rozmyślaniami oddawał się Jacques Helloch, podczas gdy jego towarzysz pilnie poszukiwał *sitio* lub indiańskiej chaty. Po godzinie marszu kapitan „Gallinety” zawołał: — Chata! — Obaj zatrzymali się.

O sto kroków przed nimi wyłoniła się okrągła chata w kształcie wielkiego grzyba, wyglądająca dość mizernie. Ukryta była głęboko w kępie palm, a jej stożkowy dach opadał aż do ziemi. U dołu tego dachu widać było szeroki, nieregularny otwór bez jakichkolwiek drzwi. Jacques Helloch i Valdez skierowali się ku niej, weszli do środka. Była pusta. W tej samej chwili, gdzieś na północy, rozległ się dość odległy huk.

VIII

Mały Indianin

To wystrzał — krzyknął Jacques Helloch.

— I nie dalej jak o trzysta kroków — dodał Valdez.

— Czyżby sierżant Martial wybrał się na polowanie po naszym wyjściu?

— Nie sędzę...

— A może to Indianin, do którego należy ta chata?

— Zobaczymy, czy jest zamieszкана — odparł kapitan „Gallinety”.

Ponieważ w momencie strzału obaj wycofali się na kilka kroków, weszli ponownie do chaty, wewnątrz tak samo nędznej, jak na zewnątrz. Żadnych mebli. W głębi, na ziemi, posłanie ze świeżo pogniecionej trawy. Pod ścianą rozliczne tykwy. W rogu kosz zawierający resztki *cassave*, na jednej z żerdzi dachu zawieszony kawał pekari. Wreszcie na płaskim kamieniu ognisko, w którym płonęło jeszcze grube polano i skąd sączył się gęsty dym.

— Właściciel tej chaty — zauważył Valdez — musiał tu być przed naszym przybyciem.

— Nie może być daleko — dodał Jacques Helloch — i to pewnie on strzelał!

Valdez pokręcił głową.

— Ci Indianie nie mają ani strzelb, ani pistoletów — powiedział. — Łuk, strzały, dmuchawka to wszystko.

— Musimy to sprawdzić — zawołał Jacques Helloch, który, ponownie ogarnięty niepokojem, zastanawiał się, czy to nie Quivasi Alfaniza myszkują po okolicy.

Jacques Helloch i Valdez opuścili chatę z bronią w ręku i ukrywając się za drzewami i krzakami pomaszzerowali w kierunku, skąd słyszeli strzał.

Chata, którą przed chwilą opuścili, nie należała do żadnego *sitio*. W otoczeniu nie było śladów karczowania czy uprawy ziemi, zagonu warzyw, drzew owocowych ani pastwiska dla bydła. Jacques Helloch i Valdez, nadstawiając uszu i rozglądając się, posuwali się małymi krokami. Żadnych odgłosów prócz krzyku *hocos* i gwizdu *pavas**, zabłąkanych w gałęziach i chrzęstu łamanej przez dziką zwierzynę gęstwiny krzewów.

Tak szli przez dwadzieścia minut, zastanawiając się, czy nie wrócić do szałas. W pewnej chwili usłyszeli dość blisko wyraźne jęki. Valdez dał znak, by paść na ziemię, żeby się skryć. Za kępą

karłowatych *calebassiers* otwierała się polana, rozświetlona strumieniami promieni słonecznych. Rozchylając gałęzie Valdez mógł obserwować polanę w całej jej rozciągłości. Jacques Helloch, przycupnięty obok niego, z palcami na spuście karabinu, spoglądał przez gałęzie.

— Tam... tam! — wskazał Valdez.

Na przeciwległym brzegu polany, u stóp palmy *moriche* dostrzeżono dwóch ludzi. Jeden z nich leżał na ziemi. Drugi klęczał przy nim, unosił mu głowę i wydawał jęki, których przyczynę teraz zrozumiano. Nie było więc żadnego niebezpieczeństwa z ich strony, a normalny obowiązek nakazywał przyjść im z pomocą. Nie byli to Bravosi, włóczący się lub osiadli, których spotyka się na terenach górnego Orinoko. Należeli do plemienia Banivasów, z którego pochodził Valdez. Ten, który nie dawał znaków życia, wydawał się mężczyzną pięćdziesięcioletnim, drugi był trzynastoletnim chłopcem.

Jacques Helloch i Valdez rozchylili krzaki i wyszli na polanę. Mały Indianin poderwał się z przestraczem na twarzy. Przez chwilę wahał się, a później po raz ostatni podniósł głowę leżącego pod drzewem i rzucił się do ucieczki. Na nic się zdały przyjazne gesty, przesyłane przez Valdeza.

Obaj podbiegli do leżącego Indianina. Serce już nie biło. Zbielałych ust nie poruszał żaden oddech. Indianin był martwy — martwy zaledwie od kwadransa, gdyż ciało było jeszcze ciepłe, bez oznak pośmiertnego zeszywnienia. Pod jego *guayuco*, poplamionym krwią, widać było pierś przeszytą kulą na wysokości płuc. Valdez przeszukał ziemię i w zakrwawionej trawie znalazł pocisk. Była to kula rewolwerowa, kalibru sześć i pół milimetra.

— To kaliber rewolwerów z „Gallinety”... — zauważył Jacques Helloch — te na „Moriche” mają osiem milimetrów... Czyżby?...

I pomyślał o Jorresie.

— Trzeba będzie postarać się odnaleźć chłopca... Tylko on może nam powiedzieć, w jakich okolicznościach ten Indianin został zastrzelony i kto jest jego zabójcą.

— Niewątpliwie — odparł Valdez — lecz gdzie go szukać?... Uciekł w wielkim strachu.

— Może wróci do chaty?

— To mało prawdopodobne.

Tak rzeczywiście było. Mały Indianin nie odbiegł dalej niż o sto kroków — na lewo od polany. Stamtąd, ukryty za drzewem, obserwował dwóch obcych. Gdy zrozumiał, że z ich strony nic mu nie grozi, gdy zobaczył, że próbują pomóc leżącemu, postąpił kilka kroków do przodu. Valdez dostrzegł go, podniósł się, ale chłopiec wydawał się gotów do ponownej ucieczki.

— Odezwij się do niego, Valdez — powiedział Jacques Helloch.

Kapitan „Gallinety” powiedział kilka słów w narzeczu indiańskim, przyzywając chłopca. Ten, uspokojony, zaczął się do nich zbliżać. Valdez poprosił go, żeby im pomógł przenieść Indianina do

chaty. Nie bez pewnego wahania chłopiec zgodził się. Po przerażeniu, jakie malowało się na jego twarzy, powróciła wyraźna boleść. Z piersi chłopca znów wydobywały się jęki. Wracił wolnym krokiem, a gdy znalazł się obok ciała, rzucił się na kolana, wstrząsany szlochem. Indianin, o łagodnym wyrazie twarzy, mocnej budowy, wydawał się wymizerowany niedostatkiem i biedą. Jak mogło być inaczej w warunkach, w jakich żył, w głębi tego bezludnego lasu, w tej chacie, sam z Indianinem, który teraz martwy leżał na ziemi? Na jego piersi wisiał mały krzyżyk, jakie rozdają w misjach katolicycy misjonarze nowo nawróconym. Wydawał się rozgarnięty. Okazało się, że zna hiszpański.

— Jak się nazywasz? — zapytał Helloch.

— Gomo.

— Kim jest ten Indianin?

— Moim ojcem.

— Biedaku! — zawołał Jacques Helloch.

I gdy chłopiec rozplakał się, wziął go za rękę, przyciągnął do siebie, pocieszał pieszczotami. Gomo zaczął dochodzić do siebie, powstrzymał płacz. Naturalny instynkt podpowiadał mu, że wśród tych obcych znalazł opiekunów i przyjaciół. Valdez pytał go więc dalej:

— Kto zabił twego ojca?

— Pewien mężczyzna zjawił się w nocy... Wszedł do chaty.

— Do tej chaty? — zapytał Valdez, pokazując ręką w kierunku szałasu.

— Tak... Nie ma innej w okolicy.

— Skąd przybył ten człowiek?...

— Tego nie wiem.

— Czy był Indianinem?

— Nie... Hiszpanem.

— Hiszpanem! — zawołał Jacques Helloch.

— Tak... rozumieliśmy go, kiedy do nas mówił — odparł Gomo.

— A czego chciał?

— Chciał dowiedzieć się, czy Quivasi dotarli już do *sierra Parima*...

— Jacy Quivasi? — zapytał Valdez tak szybko, że współtowarzysz nie zdążył go ubiec.

— Quivasi Alfaniza — odparł Gomo.

— Banda tego zbiegłego galernika! Jacques Helloch interesował się dalej:

— A więc widziano ich tutaj?...

— Tego nie wiem — odpowiedział chłopiec.

— A czy nie słyszałeś, że pokazali się na tych terenach?

— Nie.

— Ale... spotkałeś ich chyba już kiedyś?

— Tak... tak!

I oczy młodego Indianina wypełniły się ponownie łzami, a na twarzy wystąpiły oznaki przerażenia. Zmuszany pytaniami Valdeza opowiedział, że Quivasi Alfaniza zaskoczyli wioskę San Sal—vador, gdzie mieszkała jego rodzina, na północ od *sierra* Parima, że dokonali masakry, że została zabita jego matka, że wraz z ojcem udało im się uciec do tego lasu, gdzie dziesięć miesięcy temu zbudowali tę chatę. Jeśli chodzi o obecność Quivasów na tym terenie, Gomo nie mógł udzielić żadnych informacji.

— Czy ten Hiszpan, który przyszedł nocą do twojej chaty, pytał was o to samo? — podjął Valdez.

— Tak... i bardzo się gniewał, ponieważ nie umieliśmy mu odpowiedzieć.

— Czy został u was?

— Do rana.

— A potem?

— Chciał, żeby ojciec doprowadził go do podnóża *sierra*.

— Twój ojciec zgodził się?

— Odmówił, ponieważ ten człowiek nie wzbudzał zaufania.

— Co on na to?

— Poszedł sam, o świcie, gdy przekonał się, że nie chcemy go poprowadzić.

— A potem wrócił?...

— Tak... gdzieś po czterech godzinach.

— Cztery godziny później?... A to w jakim celu?...

— Gdyz zabłądził w lesie... nie mógł odnaleźć kierunku w stronę *sierra* i tym razem zaczął nam grozić rewolwerem... przysięgał, że nas zabije, jeśli odmówimy...

— I twój ojciec został zmuszony...

— Tak... mój ojciec... mój biedny ojciec! — zapłakał mały Indianin. — Hiszpan schwycił go za ramię... wywłókł go z chaty... zmusił go do maszerowania przed sobą... Ja posuwałem się za nimi... Tak szliśmy przez godzinę ... Mój ojciec nie chciał służyć za przewodnika temu człowiekowi, zrobił koło, nie oddalając się zbyt od chaty. Zrozumiałem go dobrze, gdyż znałem las... Lecz Hiszpan w końcu również zorientował się... Zaczął się wściekać... zasypał ojca przekleństwami... od nowa zaczął mu grozić... Ojciec rozgniewał się również i rzucił na Hiszpana... Walka nie trwała długo... Mój ojciec był bez broni... Rozległ się strzał... i upadł, a Hiszpan uciekł ... Podbiegłem do ojca... Z piersi lała się krew... Nie miał już siły mówić... Chciał wrócić do domu... Dowłókł się jedynie tutaj... gdzie oddał ducha!

I chłopiec z synowską miłością, tak charakterystyczną dla tubylczych plemion górnego Orinoko, rzucił się z płaczem na ciało Indianina. Trzeba go było uspokajać, pocieszać, a przede wszystkim zapewniać, że ojciec będzie pomszczony. Zabójca będzie musiał odpokutować swą zbrodnię! Na te słowa oczy Gomo otwarły się i przez łzy zapłonęły ogniem nienawiści. Jacques Helloch zadał mu ostatnie pytanie.

— Czy dokładnie przyjrzałeś się temu człowiekowi? — zapytał.

— Tak, widziałem go dobrze... i nigdy nie zapomnę jego twarzy.

— Jak był ubrany... jego wzrost... włosy... rysy twarzy?

— Był ubrany w bluzę i spodnie marynarskie.

— Dobrze.

— Miał włosy czarne... broda też była czarna...

— To Jorres!... — zawołał Jacques Helloch.

— To on! — potwierdził Valdez.

Obaj zaproponowali Gomo, aby udał się z nimi.

— Gdzie? — zapytał.

— Nad rzekę, przy ujściu *rio* Torrida, gdzie zatrzymały się nasze pirogi.

— Pirogi? — zdziwił się Gomo.

— Nie wiedzieliście, że dwie *falcas* przypląnęły wczoraj wieczorem?

— Nie... ale gdyby nie zabrał nas Hiszpan do lasu, spotkalibyśmy was tego ranka, w porze połowu ryb.

— No dobrze, moje dziecko — powiedział Jacques Helloch — powtarzam, czy chcesz pójść z nami? Obiecuję ci, że twój ojciec będzie pomszczony.

— Idę z wami...

— Chodźmy więc.

I cała trójka skierowała się w stronę Orinoko. Zabitego Indianina nie pozostawiono na pożarcie dzikim zwierzętom. Należał on do plemienia Banivasów z wioski San Salvador, nawróconych na katolicyzm, którzy zostali zmasakrowani przez bandę Quivasów. Jacques Helloch postanowił wrócić po południu z kilkoma marynarzami, aby pogrzebać ciało zgodnie z obyczajami chrześcijańskimi. Gomo poprowadził ich najkrótszą drogą, omijając chatę i po pół godzinie dotarli do obozu.

Jacques Helloch i Valdez uzgodnili między sobą, że nie powiedzą nic o Jorresie. Będzie lepiej zataić związki, jakie istniały, co było niewątpliwe, między nim a Alfanizem. Nie należało martwić współtowarzyszy. Sytuacja się bardzo pogorszyła, ponieważ Hiszpan znał pokrewieństwo łączące Jeana z pułkownikiem de Kermorem. Ten nędznik Alfaniz, powiadomiony przez Jorresa, aby zaspokoić żądzę zemsty, będzie próbował zdobyć dziecko pułkownika.

To prawda, że Quivasi, co w pewnej mierze było pocieszające, nie pokazywali się w pobliżu rzeki. Gdyby zauważono ich obecność w *sierra* Parima, Indianin i jego syn wiedzieliby o tym. Jacques Helloch ograniczył się do wyjaśnień, że Hiszpan po swej ucieczce wdał się w awanturę z Indianinem, który nie chciał służyć mu za przewodnika do Misji Santa Juana. W czasie bójki człowiek ten poniósł śmierć. Była to lekcja dla Gomo i zrozumiał ją, gdyż oczy skrzyły mu się inteligencją. Nie powie nikomu ani o Quivasach, ani o Alfanizie.

Jakież było zaskoczenie sierżanta Martiala, Jeana i Germaina Paterne, gdy Jacques Helloch przedstawił im Gomo i opowiedział jego historię — tylko tyle, ile należało powiedzieć! Wszyscy przyjęli małego Indianina bardzo serdecznie, a Jean uściskał go, obsypał pieścotami — gdy dowiedział się, że to biedne dziecko jest teraz samo na świecie.

Pojawienie się Gomo mogło być uważane za opatrnościowe, ponieważ gdy Jean zapytał go, czy zna Misję Santa Juana, odpowiedział:

— Znam ją. Chodziłem tam z ojcem wiele razy.

— I poprowadzisz nas?

— Tak... tak... Nie jesteście tacy, jak ten niegodziwy człowiek... który chciał, abyśmy służyli mu za przewodników.

Na znak Valdeza Gomo powstrzymał się od dalszego opowiadania. Jeśli chodzi o zabójcę Indianina, ani Jacques Helloch, ani Valdez nie mieli najmniejszej wątpliwości, kto nim był. Gdyby nawet mieli takowe, byłyby one rozwiane. Z „Gallinety” skradziono bowiem rewolwer, a był to rewolwer sierżanta Martiala.

— Mój rewolwer ukradziony — krzyczał — ukradziony przez tego bandytę, posłużył do zabójstwa nieszczęsnego Indianina! Rewolwer, który podarował mi mój pułkownik!

Doprawdy, żal starego żołnierza był równie wielki jak gniew. Gdyby Jorres wpadł kiedyś w jego ręce...

Gomo wydawał się bardzo wzruszony współczuciem, jakie mu okazywano. Po obiedzie zakończono organizację obozowiska pod Pic Maunoir, w którym mieli pozostać marynarze *falcas* oraz przygotowania do podróży pasażerów. Rozstanie mogło trwać nie wiadomo jak długo. W tym czasie Gomo dowiedział się od Jeana, w jakim celu udają się do Misji Santa Juana. Zmienił się na twarzy.

— Idziesz, by połączyć się z ojcem — powiedział.

— Tak, moje dziecko!

— Ty go zobaczysz... a ja... już nigdy nie zobaczę swojego... nigdy!

Następnie Jacques Helloch, Germain Paterne i marynarze z „Moriche” opuścili obóz i udali się w kierunku polany. Towarzyszył im Gomo; również Jean uzyskał zgodę, by pójść z nimi. W ciągu pół godziny wyprawa dotarła do miejsca, gdzie u stóp palmy leżało ciało Indianina. Ludzie z załogi, wyposażeni w łopaty, wykopali grób na tyle głęboki, by nie dostały się tam dzikie zwierzęta.

Gomo cały we łzach, ucałował po raz ostatni ojca i ciało złożono do grobu. Usypano mogiłę, Jean ukląkł, obok niego Gomo i obaj pogrążyli się we wspólnej modlitwie.

Wrócono do obozowiska. Jean nie był zbyt zmęczony, wrócił całkowicie do siebie. W czasie podróży nie powinny go zawieść siły. Zapewniał o tym Jacquesa Hellocha i sierżanta Martiala.

— Mam tak wielką nadzieję! — powtarzał.

Nadeszła noc, pasażerowie udali się do kajut, natomiast marynarze przygotowywali się do spoczynku w obozie. Zrobiono miejsce na „Gallinecie” dla Gomo. Biedny chłopiec nie mógł uspokoić się i żalosne westchnienia często przerywały jego sen.

IX

Sierra

Jacques Helloch i jego współtowarzysze o szóstej rano opuścili obóz pod Pic Maunoir, pozostawiając go pod opieką Parchala.

Parchal miał pod swymi rozkazami załogę z „Gallinety” i z „Moriche” — w sumie piętnastu ludzi. Dwóch marynarzy towarzyszyło podróżnym, niosąc bagaże. Parchal, w wypadku napaści Alfonza, jeśli nie będzie w stanie obronić się, miał pozostawić obóz i jak najszybciej dotrzeć do Misji Santa Juana.

Oddział składał się z ośmiu osób. Jacques Helloch i Valdez maszerowali na czele według wskazówek małego Indianina, potem szli Jean i Gomo. Następną parę tworzyli Germain Paterne i sierżant Martial. Za nimi dwaj marynarze z „Gallinety” nieśli pakunki, zredukowane do najniezbędniejszych rzeczy: koce na nocne postoje, peklowane mięso, mąkę maniokową w potrzebnej ilości. Każdy z nich miał również manierkę z *aguardiente* lub tafią.

Pogoda była dogodna do marszu. Chmury przepuszczały promienie słoneczne. Rześki wiatr przelatywał nad wierzchołkami drzew, wnikał w ich korony, podrywał suche liście.

Wędrowcy, zostawiając opuszczoną chatę po lewej stronie, skierowali się na północny wschód, aby w ten sposób przeciąć ukośnie terytorium *sierra* Parima. Marsz nie był łatwy po terenie porośniętym krzewami, czasem pokrytym grubą warstwą opadłych liści, czasem zatarasowanym stosami gałęzi, połamanych rozhukanymi porywami *chubascos*. Jacques Helloch starał się raczej zwalniać tempo marszu, z myślą o dziewczynie.

Na czas południowego odpoczynku zatrzymano się nad brzegiem *rio* Torrida, której wartkiego nurtu nie dało się przekroczyć. Po godzinie przerwy mała grupa wznowiła wędrówkę. Teren już się wznosił, ale las jeszcze się nie przzerzedzał. Ciągłe drzewa, gąszcz i krzewy. Las był bardzo ożywiony. Tysiące ptaków fruwało z gałęzi na gałąź, głośno ćwierkając. Małpy skakały w koronach drzew — głównie wyjce, które wieczorem lub rano dawały ogłuszające koncerty.

Co jakiś czas kapitan „Gallinety” wyprzedzał mały oddział, kierował się na lewo i penetrował okoliczne wzniesienia, by uniemożliwić zaskoczenie.

Podróżnicy trzymali się w zwartej grupie na tyle, na ile pozwalała wąska ścieżka wzdłuż *rio* Torrida. Często jednakże zagłębiali się w las, aby obejść wysokie skały i głębokie wyrwy. Strumień płynął ciągle z kierunku północno-wschodniego, wzdłuż podnóża *sierra* Parima. Las na drugim brzegu rozciągał się zielonymi tarasami, nad którymi wystrzelały tu i ówdzie gigantyczne palmy.

Jean i Gomo maszerowali obok siebie ścieżką nadbrzeżną, szeroką akurat na dwóch pieszych. Rozmawiali oczywiście o Misji Santa Juana. Młody Indianin wiedział dość dużo o fundacji Padre Esperante i o samym zakonniku.

— Czy znasz go dobrze? — pytał Jean.

— Tak... znam go... widywałem go często... Mój ojciec i ja przebywaliśmy w Santa Juana przez rok.

— Jak dawno temu?

— Niedawno... przed sezonem deszczowym poprzedniego roku... Było to po tej tragedii... gdy naszą wieś San Salvador złupili Quivasi... My i inni Indianie uciekliśmy do misji.

— I zostaliście przyjęci w Santa Juana przez Padre Esperante?

— Tak... to człowiek wielkiej dobroci! Zgodził się nas zatrzymać... Kilku pozostało do dziś.

— A dlaczego wy odeszliście?

— Mój ojciec tak chciał. Jesteśmy Banivasami... Jego pragnieniem było wrócić na ojczyście tereny... Był przewoźnikiem na rzece. Ja się też uczyłem tego zawodu. Od czterech lat... wiosłowałem razem z nim.

Opowiadanie chłopca nie zdziwiło wcale Jacquesa Hellocha i jego współtowarzyszy. Znali Banivasów z opisu francuskiego podróżnika, najlepszych marynarzy znad Orinoko, od wielu lat nawróconych na katolicyzm, Indian inteligentnych i uczciwych. Matka Gomo należała do plemienia ze wschodu i dlatego jego ojciec osiedlił się w wiosce San Salvador, oddalonej od źródeł rzeki. Instynkt kazał mu opuścić Santa Juana i powrócić do llanos między San Fernando i Caicarą. Oczekiwał więc na okazję, na przybycie piróg, na których mógł znaleźć zajęcie, mieszkając w mizernej chacie w *sierra* Parima.

O tych to sprawach rozmyślała Jeanne de Kermor słuchając Indianina. Następnie skierowała rozmowę na Santa Juana, a szczególnie na osobę Padre Esperante. Gomo odpowiadał szczegółowo na wszystkie pytania. Opisywał misjonarza hiszpańskiego jako mężczyznę wysokiego, zwawego, mimo swych sześćdziesięciu lat, przystojnego... przystojnego, co powtarzał. Z białą brodą, oczyma błyszczącymi ogniem, takiego samego, jak go przedstawił *señor* Manuel Assomption i ten nędznik Jorres. Jeanne w marzeniach widziała się już w Santa Juana... Padre Esperante witają z otwartymi ramionami i dostarcza potrzebnych informacji... opowiada jej o losach pułkownika de Kermora od czasu jego pobytu w San Fernando, a w końcu mówi, gdzie ojciec przebywa obecnie.

O szóstej wieczorem Jacques Helloch zarządził postój i Indianie zajęli się przygotowaniem nocnego odpoczynku. Miejsce wydawało się odpowiednie. Głęboka szczelina, przecinająca brzeg, w kształcie leja, dochodziła aż do *rio*. Ponad zagłębieniem rozciągały się, niczym zasłona, splecione gałęzie wysokich drzew, opadające na skalne ściany. W jednej ze skał odkryto coś w rodzaju wydrążonej niszy, w której dziewczyna będzie mogła spędzić noc. Z suchych ziół i liści zrobi się jej łożo, na którym wypocznie tak samo dobrze jak w kabinie „Gallinety”. Naturalnie Jean bronił się przed taką troskliwością, ale Jacques Helloch odwołał się do autorytetu sierżanta Martiala. Przecież siostrzeniec powinien słuchać swego wuja!

Germain Paterne i Valdez przygotowali posiłek. *Rio* roiło się od ryb. Gomo wyciągnął kilka sposobem indiańskim za pomocą dzidy. Upieczono je na małym ognisku, rozpalonym między skałami. Do tego posiłku dodano zapasy z torby niesionej przez Indian. Wszyscy orzekli, że nigdy nie spożywali lepszego posiłku.

Nadeszła noc, wszyscy rozeszli się w poszukiwaniu miejsc na nocleg. Jean położył się w głębiniszy, a chłopiec indiański u jej wejścia. Obozowisko nie może pozostawać bez straży — zdecydowano, że przez pierwszą połowę nocy wartę będzie trzymał Valdez z jednym ze swych ludzi, a przez drugą — Jacques Helloch z drugim.

Sierżant Martial i Germain Paterne mieli czuwać następnej nocy. Tak więc stary żołnierz znalazł miejsce przy skale, możliwie najbliżej dziewczyny.

Gdy tylko zaczęło się ściemniać, drapieżniki rozpoczęły koncert, a dołączyły się do nich wyjące małpy. Skończy się on wraz z pierwszymi promieniami jutrzeńki. Dzikie zwierzęta najlepiej odstrasza ogień, ale zrezygnowano z tego sposobu. Ognisko mogło wprawdzie odstraszyć drapieżniki, ale mogło również zwabić złoczyńców — być może Quivasów, jeśli przebywają na tych terenach i to tych, których najbardziej się obawiano. Wkrótce obóz, z wyjątkiem Valdeza na brzegu i przewoźnika stróżującego po drugiej stronie, pogrążył się w głębokim śnie. O północy zmienili ich Jacques Helloch i drugi tragarz.

Valdez ani nie zauważył, ani nie usłyszał nic podejrzanego. Zresztą, usłyszeć cokolwiek byłoby trudno pośród łoskotu wody *rio*, rozbryzgującej się o skały *sierra*. Jacques Heliach udał się na brzeg. Stąd mógł strzec nie tylko lasu, ale również lewego brzegu *Torridy*. Gdy usadowił się u stóp olbrzymiej *moriche*, naszły go myśli i uczucia, które wypełniały umysł i serce. Jednakże nie przeszkadzało mu to w pełnieniu warty.

Około czwartej nad ranem, gdy horyzont na wschodzie zaczął się rozbielać, zaniepokoił go podejrzany ruch na przeciwległym brzegu, mniej stromym niż brzeg prawy. Wydawało mu się, że jakieś postacie poruszają się między drzewami. Czy to złudzenie, może zwierzęta... a może ludzie? ... Przeczłogał się ostrożnie na skraj nadbrzeżnej skarpy i znieruchomiał, pilnie się rozglądając. Nie mógł dostrzec nic wyraźnego. Jednakże coś się działo na przeciwległym brzegu, tego był prawie pewien. Czy ma podnieść alarm lub przynajmniej zbudzić Valdeza śpiącego o kilka kroków? Postanowił uczynić to drugie i — dotykając ramienia Indianina — wyrwał go ze snu.

— Nie ruszaj się, Valdez — powiedział po cichu — i obserwuj drugi brzeg rzeki.

Valdez, wyciągnięty wzdłuż brzegu, odwrócił głowę we wskazanym kierunku. Przez chwilę penetrował podnóże ciemnego masywu drzew.

— Chyba się nie mylę — powiedział w końcu — troje lub czworo ludzi kręci się na brzegu.

— Co robić?

— Nie będziemy budzić nikogo. W tym miejscu nie można przedostać się przez *rio*... chyba że powyżej jest jakiś bród...

— Ale z tamtej strony? — zapytał Jacques Helloch, wskazując na las rozciągający się na północnym zachodzie.

— Nic tam nie zauważyłem... nic nie widzę... — odparł Valdez. — Być może jest tam jedynie dwóch lub trzech Indian Bravos...

— A cóż robiliby nocą na tamtym brzegu? Na pewno odkryli nasz obóz. I spójrz, Valdez, jeden z tych ludzi próbuje zejść aż do *rio*...

— Rzeczywiście... — wyszeptał Valdez — i to nie jest Indianin.

Pierwsze promienie światła omiotły oddalone wierzchołki na horyzoncie i dotarły w tym momencie do strumienia. Valdez mógł więc potwierdzić swoje obserwacje.

— To są Quivasi Alfaniza — powiedział Jacques Helloch. — Tylko oni mają interes w tym, by sprawdzić, czy towarzyszą nam czy nie marynarze z piróg.

— Byłoby znacznie lepiej, gdyby byli z nami — odrzekł kapitan „Gallinety”.

— Niewątpliwie... chyba trzeba będzie wrócić nad Orinoko, szukać wsparcia... Nie... nie ma już na to czasu. Zostaniemy zaatakowani, zanim nadejdzie pomoc.

Valdez chwycił gwałtownie za ramię Hellocha, który natychmiast zamilkł. Brzegi Torridy były już bardziej oświetlone, natomiast rozpadlinę, w głębi której spali Jean, Gomo, sierżant Martial, Germain Paterne i drugi tragarz, okrywała jeszcze głęboka ciemność.

— Wydaje mi się... — powiedział Valdez — poznaję tego człowieka... To Hiszpan!

— Jorres!

— To on.

— Nikt nie powie, że pozwoliłem uciec temu nędznikowi! — Jacques Helloch pochwycił karabin oparty obok niego o skałę i gwałtownym ruchem podniósł go do góry.

— Nie... nie! — zaprotestował Valdez. — To nic nie zmieni. Między drzewami są ich setki. I nie mogą przedostać się przez *rio*...

Jacques Helloch przyznał rację Valdezowi. Szyper z „Gallinety” był dobrym doradcą, zwykle przebiegły i ostrożny. Jorres, jeśli był to on, ryzykował, że zostanie dostrzeżony. Czyżby cofnął się między drzewa, gdy marynarz trzymający wartę nad Torridą podszedł bliżej?

Jacques Helloch i Valdez pozostali bez ruchu na tym samym miejscu przez kwadrans. Ani Jorres, ani nikt inny nie pokazał się na przeciwległym brzegu.

Ale z nastaniem dnia Hiszpan — jeśli Valdez nie pomylił się — będzie mógł dostrzec, że tylko dwaj tragarze towarzyszą pasażerom piróg. Jak w tych warunkach kontynuować podróż?... Jorres nie

zgubi już teraz ich śladów. Okoliczność sama w sobie nadzwyczaj groźna, a jeszcze groźniejsza, skoro Hiszpan na pewno połączył się z Quivasami, którzy penetrują te tereny pod rozkazami galernika Alfaniza.

X

Bród Frascaés

O godzinie piątej obóz zaczął się budzić. Pierwszy zerwał się Jean. Przechadzał się wzdłuż brzegu rzeki, a sierżant Martial, Germain Paterne i młody Indianin spali jeszcze, przykryci kocami, z kapeluszami na twarzach.

Marynarz, stojący na straży nad brzegiem, potwierdził słowa Valdeza. On także rozpoznał Jorresa w człowieku, który kręcił się na przeciwległym brzegu Torridy. Jacques Helloch przede wszystkim polecił, aby nic nie mówić pozostałym podróżnikom.

Po rozważeniu wszystkich argumentów za i przeciw postanowiono podążać ku Misji Santa Juana. Jeśli Alfaniz ma zamiar zaatakować grupę Jacquesa Hellocha, może to zrobić i podczas odwrotu. To prawda, że wracając w stronę Orinoko będą osłonięci przez *rio* Torrida, pod warunkiem jednak, że napastnicy nie przekroczą rzeki w górnym biegu.

Marsz do Santa Juana był bardziej korzystny. Po pierwsze, Torrida dawała pewną ochronę, przynajmniej do miejsca, gdzie będzie można przebyć ją w bród. Po drugie, każdy krok do przodu przybliżać będzie cel. A w Misji Santa Juana nie trzeba będzie się już niczego obawiać. Żyją w niej setki ucywilizowanych Indian. Tak, Santa Juana jest schronieniem bezpiecznym przed Alfanizem. A więc należy za wszelką cenę dotrzeć do misji w jak najkrótszym czasie. Jacques Helloch wrócił do obozu, aby przygotować natychmiastowy wymarsz.

— Śpią jeszcze, monsieur Helloch — powiedziała dziewczyna, zbliżając się do niego.

— Obudzę zaraz wszystkich i ruszamy w drogę! — odparł Jacques Helloch.

— Czy zauważył pan coś podejrzanego?

— Nie... nic... nic... ale wyruszamy... Obliczyłem, że jeśli pójdziemy bez zatrzymywania się, dotrzemy, jeśli nie tego wieczoru, to tej nocy do Santa Juana...

— Ach! monsieur Helloch, jakżebym chciała być już w misji!

— A gdzie jest Gomo? — zapytał Jacques Helloch.

— Tam... w tym zakątku! Śpi tak mocno, biedne dziecko...

— Muszę z nim pomówić... Potrzebuję pewnych informacji przed wyruszeniem.

— A może pozostawi pan mnie to zadanie? — zaproponowała Jeanne de Kermor. — Wydaje mi się pan tego ranka zatroskany, monsieur Helloch. Czy są jakieś złe wiadomości?

— Nie... zapewniam panią... mademoiselle Jeanne... nie!

Dziewczyna zaczęła nalegać, ale widząc, że wprawia w zakłopotanie Jacquesa, skierowała się w stronę Gomo, którego delikatnie obudziła. Sierżant Martial przeciągnął się, kilka razy sapnął i stanął na nogi w jednej chwili. Więcej kłopotów było z Germainem. Zawinięty w koc, z głową opartą na przyrodniczym pudle zamiast poduszki, spał jak suseł, który ma reputację największego śpiocha w przyrodzie.

W tym czasie Valdez wyciągnął z worków resztki z wczorajszej kolacji, przeznaczone na śniadanie i przygotował bagaże do drogi. Górno i Jean dołączyli do Jacquesa Hellocha, który rozłożył pod skałą mapę tych okolic. Mapa obejmowała tereny między sień a Parima i masywem Roraima, poprzecinane zygzakami *rio*. Gomo umiał czytać i pisać, mógł więc udzielić dość dokładnych informacji.

— Czy widziałeś kiedykolwiek mapy przedstawiające jakiś region z morzami, kontynentami, górami, rzekami? — zapytał go Jacques Helloch.

— Tak, proszę pana. Pokazywano nam je w szkole w Santa Juana — odpowiedział mały Indianin.

— To dobrze, obejrzyj tę oto i zastanów się. Ta wielka rzeka, która jest tu narysowana jako półkole, to Orinoko, które znasz.

— Które znam i które Kocham!

— Tak!... jesteś dzielnym chłopcem i Kochasz swą piękną rzekę! A czy widzisz u jej krańca te potężne góry? Tu właśnie ma swoje źródła.

— To *sierra* Parima, znam je, proszę pana ... Oto *raudals*, przez które często przepływaliśmy z ojcem.

— Tak... to *raudal* Salvaju.

— A potem jest pic...

— To Pic Lesseps.

— Masz rację.

— Dlaczego zadaje pan Gomo te wszystkie pytania? — zapytała Jeanne.

— Chciałbym mieć pewność co do biegu *rio* Torrida. Być może Gomo będzie mógł dostarczyć mi potrzebnych informacji...

Dziewczyna rzuciła pytające spojrzenie na Jacquesa Hellocha, który spuścił głowę.

— Gomo — powiedział — oto okolica, gdzie zostawiliśmy nasze pirogi... to las, gdzie stoi chata twego ojca... a to ujście *rio* Torrida...

— Tu... tu... — odparł mały Indianin, wskazując palcem na mapie.

— Właśnie tutaj, Gomo. A teraz uważaj dobrze! Będę pokazywał ci bieg rzeki w kierunku Santa Juana, a ty mnie zatrzymaj, jeśli popełnię jakiś błąd.

Jacques Helloch poprowadził palec po mapie, skośnie w kierunku północno—wschodnim, okrążając podnóże *sierra* Prima przez około pięćdziesiąt kilometrów. W tym punkcie postawił krzyżyk i zapytał:

— Tutaj powinna być misja?

— Tak.

— I *rio* Torrida stamtąd wypływa?

— Tak... jak jest zaznaczone.

— A może wypływa nieco powyżej?

— Oczywiście, nieco wyżej i kilkakrotnie bywaliśmy tam.

— A więc Santa Juana znajduje się na lewym brzegu...

— Na lewym brzegu.

— Trzeba będzie więc przedostać się na drugi brzeg, gdyż my jesteśmy na prawym.

— Trzeba będzie... proszę pana... ale to jest łatwe. Powyżej nas jest przejście, gdzie można, jeśli woda jest płytka, przejść po skałach. Jest to bród Frascaés.

— Ty znasz ten bród?...

— Tak, proszę pana... i zanim słońce obwieści południe, powinniśmy tam dotrzeć.

Odpowiedzi chłopca były zdecydowane i pewne. Jednakże te informacje zaniepokoiły Jacquesa Hellocha. Jeśli bród Frascaés jest łatwy do pokonania, to również Quivasi mogą przejść na prawy brzeg. Jacques Helloch i jego współtowarzysze nie będą już chronieni przez *rio* aż do wysokości misji.

Najważniejsze, żeby zdążyć do Santa Juana w ciągu dwudziestu czterech godzin!

— I mówisz — zapytał po raz ostatni Jacques Helloch — że możemy dotrzeć do brodu Frascaés koło południa...

— Tak... jeśli wyruszymy bez zwłoki.

Do brodu było około dwunastu kilometrów. Ponieważ postanowiono przyspieszyć marsz w nadziei osiągnięcia celu około północy, bród powinno się dość łatwo przekroczyć przed pierwszym postojem. Jacques Helloch wydał rozkaz do wymarszu. Wszystko było przygotowane — worki na

ramionach dwóch tragarzy, zrolowane koce na plecach podróżników, skrzynka przyrodnicza na pasku Germaina Paterne, broń w stanie gotowości.

— Sądzi pan, monsieur Helloch, że dotrzemy do Santa Juana w ciągu dwunastu godzin? — zapytał sierżant Martial.

— Mam taką nadzieję, oczywiście, jeśli zrobi pan właściwy użytek ze swych nóg.

— To nie ja mogę być przyczyną opóźnienia, monsieur Helloch. Ale czy on... Jean... będzie w stanie...

— Pański siostrzeniec, sierżancie Martial! — ripostował Germain Paterne. — I tak nas pokona na trasie! Widać, że otrzymał dobrą szkołę! Ma krok sprawnego piechura!

Gomo nie znał więzów rodzinnych, wyimaginowanych więzów, łączących syna pułkownika de Kermora z sierżantem Martialem. Zapytał więc, zwracając się do tego ostatniego:

— Pan jest jego wujem?

— W pewnym stopniu... mój mały!

Gomo skinął głową na znak, że zrozumiał. Dzień był pochmurny. Chmury zwisały nisko, pędzone południowo-wschodnim wiatrem, grożąc deszczem. Za tą szarą zasłoną zniknął szczyt *sierra* Parima, a na południu Pic Maunoir ukazywał się jedynie między drzewami w chwili przejaśnień na niebie. Jacques Helloch rzucał niespokojne spojrzenia w stronę, skąd nadciągały chmury. Wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca niebo ściemniło się pod warstwami podnoszących się gęstych oparów. Jeśli rozpęta się gwałtowna ulewa, jedna z tych, które tak często zalewają południowe sawanny, trudno będzie dotrzeć do Santa Juana w zaplanowanym czasie.

Mały oddziałek wyruszył, obierając ścieżkę ciągnącą się między *rio* Torrida a brzegiem nieprzebitego lasu. Zachowany został porządek z dnia poprzedniego — Valdez i Jacques Helloch na czele. Obaj po raz ostatni przyjrzeni się dokładnie przeciwległemu brzegowi. Był pusty. Bezludny był również obszar leśny rozciągający się na lewym brzegu. Żadnej żywej istoty, jeśli nie liczyć ogłuszającego ptasiego świata, którego śpiew pozdrawiał wschodzące słońce, przy akompaniamencie wyjących małąp.

Wszyscy mieli nadzieję, że dotrą do misji przed północą. Forsowny marsz przerwali zaledwie na krótki postój południowy. Pod zamglonym niebem utrzymywała się szczęśliwie znośna temperatura, gdyż ani jedno drzewo nie ocieniało brzegu. Od czasu do czasu Jacques Helloch, zżerany niepokojem, odwracał się pytając:

— Czy nie idziemy zbyt szybko, Jean?

— Nie, monsieur Helloch, nie — odpowiadał mu. — Proszę się nie martwić ani mną, ani Gomo, który zdaje się mieć nogi młodego jelonka...

— Monsieur Jean — wtrącił Gomo — jak będzie trzeba, mogę być tego wieczoru w Santa Juana...

— Do licha... co za wyscigi chcesz tu urządzać! — zawołał Germain Paterne, który często pozostawał w tyle.

Jacques Helloch nie okazywał mu wcale litości. Popędzał go, wymyślał mu, prosił go:

— Popatrz... Germain... spóźniasz się...

— Mamy już jedną godzinę w zapasie! — tenże odpowiadał.

— Skąd to wiesz?

Germain Paterne musiał słuchać poleceń dowódcy i słuchał ich. Jacques Helloch rozważał przez chwilę słowa małego Indianina: „Tego wieczoru mogę być w Santa Juana”. A więc za sześć lub siedem godzin Gomo jest w stanie dotrzeć do Misji Santa Juana. Może to jest szansa, z której należy skorzystać? Jacques Helloch, cały czas maszerując, podzielił się tą myślą z Valdezem.

— Tak... za sześć lub siedem godzin — powiedział — Padre Esperante może być powiadomiony, że nasza mała grupa kieruje się do Santa Juana. Na pewno nie zawaha się z wysłaniem nam pomocy... Pewnie sam ją poprowadzi.

— To prawda — odparł Valdez. — Ale pozwolić odejść chłopcu, to znaczy pozbawić się przewodnika.

— Masz rację, Valdez, Gomo jest nam potrzebny, a szczególnie do przejścia brodu Frascaés...

— Będziemy tam około południa. A po przejściu brodu zobaczymy...

— Tak... zobaczymy... Pewnie ten bród jest najbardziej niebezpieczny.

Myśli Jacquesa Hellocha zajmowało także znacznie bliższe niebezpieczeństwo. Przecież Jorres, odnalazłszy obóz na prawym brzegu Torridy, mógł pójść z bandą Alfaniza w górę *rio*. A ponieważ Quivasi wyprzedzali wyprawę o kilka godzin, było możliwe, że przebyli już bród Frascaés... A teraz schodzą prawym brzegiem i niebawem mogą napotkać mały oddział... Taka hipoteza była prawdopodobna.

Okolo dziewiątej Valdez wyprzedził grupę o kilkaset kroków. Na szczęście droga była wolna. Również na drugim brzegu nic nie wskazywało na obecność Quivasów. Jacques Helloch postanowił więc zrobić postój w tym miejscu, zapytawszy uprzednio Gomo:

— Jak daleko do brodu?

— Okolo dwóch godzin marszu — odpowiedział mały Indianin, który potrafił określać odległość jedynie za pomocą czasu potrzebnego do jej przebycia.

— Odpoczniemy tutaj — zarządził Jacques Helloch — i zjemy to, co nam pozostało z zapasów. Nie będzie potrzeba zapalać ogniska.

W ten sposób nie zdradzą swej obecności — myśl tę Jacques Helloch zachował dla siebie.

— Śpieszmy się, moi przyjaciele... śpieszmy się — powtarzał — jedynie kwadrans postoj!

Dziewczyna niezbyt rozumiała jego postępowania. Jacquesa Hellocha drażył niepokój, którego przyczyny przecież nie znała. Oczywiście, ogólnie wiedziała, że Jorres zniknął, ale nie mogła przypuszczać, że Hiszpan, płynąc na „Gallinetcie” w górę Orinoko, czynił to jedynie w zamiarze dotarcia do Alfaniza. Ani tego, że istniały związki między nim a zbiegiem z Cayenne. Po raz któryś o mało nie zawołała: „Co to znaczy, monsieur Helloch”? Jednakże powstrzymywała się, polegając na inteligencji Jacquesa Hellocha, jego odwadze, oddaniu, jego pragnieniu jak najszybszego dotarcia do celu. Posiłek przełknięto szybko. Germain Paterne chętnie by go przedłużył, ale nadrabiał miną. Kwadrans po dziewiątej zarzucono bagaże na plecy i wyruszono w dalszą drogę, w tym samym porządku.

Na prawym brzegu *rio* Torrida rozciągał się teraz niezmierny las, natomiast brzeg lewy przedstawiał zupełnie odmienny obraz. Drzewa spotykało się jedynie w rozrzuconych na powierzchni llanosu pojedynczych kępach. Ziemia pokryta była grubym dywanem traw i ziół. Podobnie wyglądały zbocza *sierra*, gdzie łąki sięgały niemal do szczytu. Przeciwny brzeg oprócz tego był bardzo niski, schodził płasko do poziomu *rio*. Było więc łatwo ogarnąć spojrzeniem rozległe przestrzenie sawanny, której nie zasłaniały już gęste drzewa. Do tej pory wyprawa miała góry na północnym wschodzie, od wczoraj również na południu.

Jacques Helloch i Valdez nieustannie obserwowali z niepokojem drugi brzeg — nie zaniehbując również brzegu, którym podążali w górę *rio*. Na razie nic podejrzanego. Być może Quivasi oczekiwali na podróżnych u brodu Frascaés? Około godziny pierwszej po południu Gomo wskazał na odległe o kilkaset kroków zakole rzeki, która — płynąc skośnie na wschód — zniknęła za potężnym masywem nagich skał.

— To tu — powiedział.

— Tu? — powtórzył Jacques Helloch, dając znak swym współtowarzyszom, by się zatrzymali.

Sam zbliżył się do *rio* Torrida, by rozeznać jego dalszy bieg. Stwierdził, że koryto usiane było kamieniami i żwirem, a woda płynęła jedynie cienką strugą, łatwą do przebycia.

— Czy chce pan, abym sprawdził okolice brodu? — zaproponował Valdez Jacquesowi Hellochowi.

— Zrób to, Valdez, ale dla ostrożności nie zapuszczaj się na drugi brzeg i wracaj tu zaraz, jeśli droga będzie wolna.

Valdez odszedł i za kilka minut stracono go z oczu za zakrętem Torridy. Jacques Helloch, Jean, sierżant Martial, Gomo i tragarze oczekiwali zebrani na brzegu. Germain Paterne rozsiadł się wygodnie. Jacques Helloch, panując nad sobą, nie dał poznać po sobie niepokoj. Gomo zapytał więc:

— Dlaczego nie idziemy dalej?...

— Tak, dlaczego... — podtrzymał Jean — i dlaczego Valdez poszedł naprzód?

Jacques Helloch nie odpowiedział nic. Odłączył się od grupy i zbliżył się do *rio*, pilnie obserwując przeciwległy brzeg. Upłynęło pięć minut, pięć minut, które zdawały się trwać całe godziny. Jeanne zbliżyła się do Jacquesa Hellocha.

— Dlaczego Valdez nie wraca? — zapytała bacznie go obserwując.

— Powinien zaraz wrócić... — odpowiedział jedynie Jacques Helloch.

Upłynęło pięć minut, potem następne pięć. Nikt nie wypowiedział ani słowa. Jacques Helloch panował na tyle nad sobą, aby poczekać jeszcze pięć minut. Oczywiście, czy pójść do brodu Frascaés czy pozostać na miejscu lub nawet zawrócić z drogi — niebezpieczeństwo było takie samo. Jeśli gromadka miała być zaatakowana, może się to odbyć tak samo dobrze powyżej, jak poniżej tego miejsca.

— Idziemy — zdecydował w końcu Jacques Helloch.

Maszerował na czele, a postępujący za nim współtowarzysze nie zadawali mu żadnych pytań. Przebyli wzdłuż brzegu około trzystu kroków i dotarli do kolana *rio*. W tym miejscu należało zejść do brodu Frascaés. Mały Indianin wysunął się do przodu na kilka kroków i ześlizgnął się do skał omywanych nurtem strumienia. Nagle zebrani na brzegu podróżnicy usłyszeli na lewym brzegu przeraźliwe krzyki. Kilkuset Quivasów biegło ze wszystkich stron przekraczając bród, wymachiwało bronią, dyszało chęcią mordy.

Jacques Helloch nie zdążył zrobić użytku ze swej strzelby. Na co zresztą zdałyby się jego, Germaina Paterne i sierżanta Martiala karabiny... co pomogłyby rewolwery marynarzy przeciwko setce Indian?

Jacques Helloch i jego współtowarzysze zostali natychmiast otoczeni i pozbawieni jakiegokolwiek możliwości obrony. W środku tłumu wrzeszczących Quivasów dostrzeżono Valdeza.

— Valdez! — krzyknął Jacques Helloch.

— Te łotry złapały mnie w pułapkę! — odkrzyknął kapitan „Gallinety”.

— A z kim mamy do czynienia? — zapytał Germain Paterne.

— Z bandą Quivasów — odparł Valdez.

— I z jej szefem! — dorzucił ktoś złowieszczym głosem.

Na brzegu stał jakiś człowiek, a obok niego trzech osobnicy nie wyglądający na Indian...

— Jorres! — krzyknął Jacques Helloch.

— Nazywajcie mnie moim nazwiskiem... Alfaniz!

— Alfaniz! — powtórzył sierżant Martial.

I jego spojrzenie, jak również Jacquesa Hellocha, pełne przerażenia, spoczęło na córce pułkownika de Kermora.

Jorres był właśnie tym Alfanizem, zbiegłym wraz z trzema współnikami z katorgi w Cayenne. Zastąpił on przywódcę Quivasów Metę Serrapię, zabitego w starciu z policją wenezuelską. Hiszpan buszował wraz ze swą bandą w sawannie już od ponad roku.

Pięć miesięcy wcześniej — o czym nie należy zapominać — Quivasi ci postanowili wrócić na tereny na zachód od Orinoko, skąd zostali przepędzeni przez oddziały kolumbijskie. Ale przed opuszczeniem górzystych terenów Roraimy ich nowy szef chciał dokonać rozeznania po tej stronie rzeki. Oddalił się więc od swej bandy, doszedł przez llanosy aż do San Fernando nad Atabapo, został zauważony przez *señora* Manuela Assomptiona na rancho Carida. W San Fernando oczekiwał na okazję powrotu do źródeł Orinoko, gdy pirogi „Gallinetta” i „Moriche” przygotowywały się do drogi do Misji Santa Juana.

Alfaniz — znany dotąd pod przybranym nazwiskiem Jorres — pod pretekstem dostania się do misji, zaoferował swą służbę patronowi „Gallinety”, werbującemu załogę. Jak wiadomo, został przyjęty, na nieszczęście dla tych, którzy postanowili zapuścić się do górnego biegu rzeki. Alfaniz swego czasu poprzysiągł zemstę pułkownikowi de Kermorowi. Dowiedział się, że ten młody chłopiec, płynący na „Gallinecie” wraz z sierżantem Martialem, poszukuje ojca, którego zeznania przed sądem przysięgłych w Dolnej Loarze spowodowały skazanie go na dożywotnią katorgę w Cayenne. Czyż nie była to jedyna i niespodziewana okazja, by wziąć do niewoli chłopca, a być może samego pułkownika? W każdym razie, z braku ojca, można się zemścić na synu.

Reszta jest znana. Spotkawszy uprzednio jednego ze swych współników w czasie noclegu w *sitio* Yaname Alfaniz zbiegł, gdy pirogi dotarły do obozowiska pod Pic Maunoir. Potem zabił Indianina, który nie chciał mu służyć za przewodnika. Następnie udał się w górę *rio* Torrida, przekroczył bród Frascaés i dołączył do bandy Quivasów... Teraz pewnie ten nędznik liczył na zawładnięcie pirogami, zakotwiczonymi na Orinoko. Syn, a raczej córka pułkownika de Kermora była w jego rękach.

XI

Misja Santa Juana

Trzydzieści lat przed tymi wypadkami w regionie, przez który przepływa Torrida, nie było ani wioski, ani rancho, ani żadnego *sitio*. Od czasu do czasu pojawiali się jedynie Indianie, przepędzający stada na nowe pastwiska. Na tych terenach rozpościerały się rozległe llanosy — żyzne, lecz nie uprawiane nieprzeniknione sawanny, bagienne *esteros**, zatapiane zimą przez wylewające sąsiednie ciek.

Indianie, rozrzućeni na tych terenach, należeli w większości do plemienia Guaharibusów. Zwykle wędrowali oni po llanosach, w głębi gęstych lasów, na północ od prawego brzegu górnego Orinoko. Byli to pożałowania godni Indianie, do których nie dotarły podmychy cywilizacji. Mieszkali w nędznych szałasach, odziani w kawałki skór. Żywili się korzeniami, pędami palm, mrówkami i innymi owadami nie umiejąc nawet robić *cassave* z manioku, która stanowi podstawę wyżywienia w środkowej Ameryce. Wydawali się być na najniższym szczeblu rozwoju ludzkości: małego wzrostu, wątlej budowy, z wydętymi brzuchami.

Krajowcy stali się groźni i nawet ich współplemieńcy rzadko odważali się zapuszczać na te tereny. Mówiono o nich, że są tak skłonni do grabieży i morderstw, że handlarze z San Fernando nigdy nie zapuszczają się powyżej Ocamo i Mavaca. Jednym słowem, Guaharibusi mieli fatalną reputację. Ale już w tym czasie wielu z nich zgrupowało się wokół hiszpańskiego zakonnika, tworząc pierwszy załazek Misji Santa Juana. Religia zaczęła przenikać do ich dusz, dzięki wysiłkom apostoła, który poświęcił im swe życie, widząc w tym cały sens swego istnienia.

Padre Esperante postanowił walczyć o ciało lub lepiej powiedziawszy, o dusze Guaharibusów. W tym to celu osiadł w głębi sawanny w *sierra* Parima. Tu postanowił założyć wioskę, która z biegiem czasu miała rozwinąć się w miasteczko. Był przekonany, że z reszty swej fortuny nie może zrobić lepszego użytku niż stworzyć to dzieło miłosierdzia, zbudować je na tak solidnych podstawach, aby po jego śmierci nie rozpadło się.

Padre Esperante za cały personel miał jedynie młodego współtowarzysza o imieniu Angelos. Był to dwudziestoletni młodzieniec, nowicjusz misji zagranicznych, który płał taką samą gorliwością apostołską, sprawiającą cuda. Obaj — mimo niesłychanych trudności i niebezpieczeństw — zbudowali i rozwinęli Misję Santa Juana. Odrodzili moralnie i fizycznie cały szcep, stworzyli nową populację, liczącą obecnie około tysiąca dusz, wliczając również Indian z okolicznych llanosów.

Misjonarz wybrał miejsce oddalone o pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od źródeł i ujścia *rio* Torrida. Tu miało być kiedyś miasteczko. Wybór okazał się szczęśliwy; ziemia była zadziwiająco płodna.

Na lewym brzegu tegoż *rio*, u stóp Roraimy, powstały pierwsze zabudowania misji. Nie były to wcale zwykłe szałas, lecz chaty znacznie lepsze od tych budowanych przez Banivasów lub Mariquitaresów.

Wioska została założona tuż pod ceno, należącym do *sierra Parima*. U podnóża skarpy, w cieniu młodych palm, wznosił się kościół Santa Juana, zbudowany w bardzo prostym stylu ze skał pochodzących z kamieniołomów w *sierra*. Obecnie z trudem mieścił wiernych przyciąganych kazaniami Padre Esperante i ceremoniami katolickimi. Powoli język hiszpański zastępował narzecze Guaharibusów. Również nieco białych, narodowości wenezuelskiej, w liczbie około pięćdziesięciu, osiedliło się w misji. Zostali bardzo dobrze przyjęci przez jej przywódcę.

Ale ileż było niebezpieczeństw na początku! Trzeba było bronić powstającej wioski przed zazdrosnymi szczepami, pchanymi instynktem grabieżczym i morderczym. Misjonarz okazał się na szczęście człowiekiem energicznym, a jego odwaga była równa talentom organizacyjnym.

Wszyscy Guaharibusi w sile wieku zostali poddani dyscyplinie wojskowej, wyszkoleni we władaniu bronią. Obecnie stu ludzi, wyposażonych w nowoczesne strzelby, zaopatrzonych w amunicję, sprawnych strzelców, zapewniało bezpieczeństwo misji.

I była już okazja do sprawdzenia tej gotowości rok wcześniej, kiedy Alfaniz, jego wspólnicy z katorgi i zgraja Quivasów napadli na misję. Mimo że liczbowo siły były równe, wojownicy pod dowództwem Padre Esperante zadali znaczne straty napastnikom. I właśnie z powodu owej klęski Quivasi postanowili opuścić te strony i przenieść się na zachód od Orinoko.

Padre Esperante był dokładnie taki, jak opisywali go *señor* Mirabal, Gomo, a także fałszywy Jorres. Jego wygląd, postawa i sposób poruszania się wskazywały, że jest to człowiek aktywny, urodzony przywódca. W każdej sytuacji tryskał energią i błyszczał żywą inteligencją. Jego oczy, stanowcze i spokojne, przepojone były wyrazem wielkiej dobroci. Obrazu dopełniała broda pobielona przez wiek. Był tak samo odważny, jak wspaniałomyślny — te cechy najczęściej idą w parze. Przekroczył już sześćdziesiątkę, ale był bardzo sprawny i odporny fizycznie, wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany. Od czasu napaści Quivasów nic nie zakłóciło spokoju mieszkańców Santa Juana. Jednakże pierwszego listopada, około piątej po południu, następnego dnia po tym, kiedy Jacques Helloch i jego współtowarzysze wpadli w ręce Alfaniza, w miasteczku dał się zauważyć niepokój. Dostrzeżono jakiegoś małego Indianina, który biegł co sił w nogach przez sawannę z południowego zachodu, jakby ktoś go gonił. Kilku Guaharibusów wyszło ze swych chat. Gdy chłopiec zauważył ich, zaczął krzyczeć:

— Padre Esperante... Padre Esperante! Chwilę potem brat Angelos przyprowadził go do misjonarza. Ten rozpoznał od razu malca, który pilnie uczęszczał do szkoły misyjnej w Santa Juana.

— To ty, Gomo? — zdziwił się.

Gomo nie mógł jeszcze złapać tchu.

— Skąd przybywasz?

— Udało mi się uciec... Od samego rana... biegłem tutaj...

Mały Indianin ledwie mógł mówić.

— Odpocznij, moje dziecko — powiedział misjonarz. — Ledwie żyjesz. Czy chcesz coś zjeść?

— Najpierw muszę powiedzieć, po co tu przybiegłem. Potrzebna jest pomoc...

— Pomoc?

— Tam są Quivasi... o trzy godziny stąd... w *sierra*... od strony rzeki...

— Quivasi! — zawołał brat Angelos.

— I ich przywódca także — dodał Gomo.

— Ich przywódca... — powtórzył Padre Esperante — ten zbiegły galernik, Alfaniz...

— Połączył się z nimi przed kilkoma dniami i przedwczoraj napadli na grupę podróżników, którym służyłem za przewodnika do Santa Juana...

— Podróżnicy, którzy zdążali do misji?

— Tak, Padre, podróżnicy francuscy...

— Francuzi?

Twarz misjonarza pokryła się nagłą bladością, na chwilę przymknął powieki. Następnie wziął za rękę małego Indianina, przyciągnął go do siebie i bacznie mu się przyglądając powiedział:

— Opowiedz mi wszystko co wiesz — a głos drżał mu mimowolnym wzruszeniem.

Gomo podjął:

— Jeszcze przed czterema dniami mieszkaliśmy z ojcem w chacie nad Orinoko, gdy pojawił się pewien człowiek. Wypytywał nas, gdzie znajdują się Quivasi. Chciał, żebyśmy byli jego przewodnikami. Byli to ci, którzy zniszczyli naszą wioskę San Salvador, którzy zabili moją matkę! Ojciec się nie zgodził... i strzałem z rewolweru... został zabity...

— Zabity — wyszeptał brat Angelos.

— Tak... przez tego człowieka... Alfaniza...

— Alfaniz! A skąd się wziął ten nędznik? — zapytał Padre Esperante.

— Z San Fernando.

— W jaki sposób przyплыł w górę Orinoko?

— Jako przewoźnik, pod fałszywym nazwiskiem... Jorres... na pokładzie jednej z dwóch piróg wiozących podróżnych.

— Mówiłeś, że ci podróżni są Francuzami?

— Tak... Francuzami, którzy dopłynęli do *rio* Torrida... Pozostawili swe łodzie u ujścia rzeki, a jeden z nich, szef wyprawy, wraz z szyprem *falca* znaleźli mnie w lesie, przy zamordowanym ojcu... Zlitowali się nade mną... zabrali mnie ze sobą... pochowali mego ojca... Następnie zaproponowali mi, abym poprowadził ich do Santa Juana... Wyruszyliśmy... i przedwczoraj dotarliśmy do brodu Frascaés, gdy zaatakowali nas Quivasi i wzięli do niewoli.

— A potem? — zapytał Padre Esperante.

— Potem? Quivasi skierowali się w stronę się a i tego ranka udało mi się uciec...

Misjonarz słuchał młodego Indianina z ogromną uwagą. Błyski w jego oczach wskazywały, jaki ogarnia go gniew na tych złoczyńców.

— Mówiłeś, mój chłopcze — podjął po raz trzeci — że ci podróżnicy są Francuzami...

— Tak, Padre.

— Ilu ich jest?

— Czterech.

— A kto jest oprócz nich?

— Szyper jednej z piróg, pewien Banivas o imieniu Valdez i dwóch przewoźników niosących bagaże.

— A skąd przybywają?

— Z Ciudad Bolivar, skąd wyruszyli przed dwoma miesiącami, aby dotrzeć do San Fernando, a potem popłynąć w górę rzeki aż do *sierra* Parima.

Padre Esperante, pogrążony w myślach, milczał przez chwilę. A potem zapytał:

— Mówiłeś o ich szefie, Gomo. Ta mała grupa ma więc swego dowódcę?

— Tak, jest to jeden z podróżnych.

— A jak się nazywa?

— Jacques Helloch.

— I ma współtowarzysza...

— Który nazywa się Germain Paterne i zajmuje się zbieraniem roślin.

— A kim są dwaj pozostali podróżni?

— Po pierwsze, młody człowiek, który okazał mi tyle przyjaźni... którego bardzo lubię...

Rysy twarzy Gomo wyrażały ogromną wdzięczność.

— Młodzieniec — dodał — nazywa się Jean de Kermor.

Na dźwięk tego nazwiska misjonarz zerwał się zaskoczony.

— Jean de Kermor?... — powtarzał. — Tak się nazywa?

— Tak, Jean de Kermor.

— Ten młodzieniec, jak powiadasz, przybył z Francji z panami Hellochem i Paterne?

— Nie, Padre; jak mi opowiadał mój przyjaciel Jean, spotkali się po drodze... na Orinoko... w wiosce Urbana.

— I dopłynęli do San Fernando?

— Tak, i stąd postanowili razem dotrzeć do misji.

— A co robi ten młodzieniec?

— Poszukuje swego ojca.

— Swego ojca?... Powiedziałeś: swego ojca?

— Tak... pułkownika de Kermora.

— Pułkownika de Kermora! — wykrzyknął misjonarz.

Gdyby ktoś obserwował go w tym momencie, zauważyłby najpierw ogromne zaskoczenie, a następnie nadzwyczajne podniecenie. Tak energiczny, tak zazwyczaj panujący nad sobą Padre Esperante puścił rękę małego Indianina, przechadzał się nerwowo po sali tam i z powrotem i nie mógł opanować wzburzenia. W końcu, najwyższym wysiłkiem woli, uspokoił się nieco i powrócił do pytań:

— Dlaczego Jean de Kermor wybrał się do Santa Juana?

— W nadziei otrzymania nowych informacji, które pozwoliłyby mu odnaleźć ojca.

— A więc on nie wie, gdzie przebywa ojciec?

— Nie! Pułkownik de Kermor opuścił przed czternastu laty Francję i wyjechał do Wenezueli. Jego syn nie wie, gdzie on teraz się znajduje.

— Jego syn... jego syn! — szeptał misjonarz, który zakrył twarz rękoma, jakby chcąc ożywić wspomnienia.

Potem zwracając się do Gomo, zapytał:

— Czy ten młodzieniec wyruszył sam w taką podróż?

— Nie.

— A kto mu towarzyszy?

— Pewien stary żołnierz.

— Stary żołnierz?...

— Tak, sierżant Martial.

— Sierżant Martial! — machinalnie powtórzył Padre Esperante.

Gdyby teraz nie podtrzymał go brat Angelos, byłby upadł jak rażony piorunem.

XII

W drogę

Nie było wątpliwości, że należy pośpieszyć na pomoc Francuzom, więźniom Quivasów. Misjonarz udałby się w drogę tegoż samego wieczoru, puściłby się sawanną, gdyby wiedział, w jakim kierunku. Właśnie, gdzie obecnie może znajdować się Alfaniz? Przy brodzie Frascaés? Nie! według słów Gomo, opuścił go nazajutrz po ataku.

O godzinie szóstej dwóch Indian na koniach pomknęło w stronę brodu Frascaés na zwiad. Trzy godziny później jeźdźcy wrócili, nie znajdując żadnego śladu Quivasów.

Czy Alfaniz i jego banda przeszli strumień, by zaszyć się w lasach na zachodzie, czy zesłi w kierunku *sierra* Parima, by dotrzeć do obozowiska pod Pic Maunoir, na lewym brzegu no? Tego nie wiadomo, a trzeba było się dowiedzieć, zanim upłynie noc, przed wyruszeniem. Dwaj inni Indianie opuścili misję z rozkazem obserwowania sawanny od strony źródeł Orinoko, gdyż Alfaniz mógł udać się bezpośrednio ku rzece. Zbadali sawannę w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów.

Indianie ci wrócili do Santa Juana przed świtem. Co prawda nie spotkali Quivasów, ale od Indian Bravos dowiedzieli się, że banda skierowała się ku *sierra* Parima. A więc Alfaniz próbuje dotrzeć do Orinoko u jego źródeł, z zamiarem napaści na obóz pod Pic Maunoir. Z tego wniosek, że należy go zaskoczyć w *sierra* Parima.

Słońce dopiero co wstało, gdy Padre Esperante wyruszył na pomoc Francuzom. Jego oddział składał się z Guaharibusów, wyszkolonych specjalnie w posługiwaniu się nowoczesną bronią. Kilkunastu Indian wiozło na wozach kilkudniowe zapasy. Miasteczko zostało pod rządami brata Angelosa. Łączność z wyprawą mieli zapewniać specjali kurierzy.

Padre Esperante jechał konno na czele oddziału, ubrany w strój bardziej wygodny niż habit misjonarza. Na głowie miał hełm, na nogach wysokie buty, karabin przy siodle, u pasa rewolwer. Był milczący i zamyślony, wstrząśnięty zaskakującymi wiadomościami. Rewelacje, wyjawione przez małego Indianina, mieszały mu myśli. Był jak niewidomy, któremu przywrócono wzrok, a który odczytał się patrzeć.

Oddział ruszył przez sawannę na południowy wschód. Kierunek ten tworzył ostry kąt z drogą, którą Gomo prowadził Jacquesa Hellocha i jego współtowarzyszy. Była to najkrótsza trasa między misją i masywem Parima. Po dość świeżych śladach można było rozpoznać, że niedawno przechodziła tędy jakaś liczna grupa.

Po półgodzinnym postoju około południa Padre Esperante podjął marsz. I tak pośpieszał, że o piątej jego Guaharibusi znaleźli się już u podnóża masywu Parima, nie opodal miejsca, gdzie wznosi się jeden z *cerros*, który Chaffanjon nazwał imieniem Ferdinanda de Lessepsa. Tu natrafiono na ślady obozowiska, które zostało niedawno opuszczone.

W czasie postępu, trwającym godzinę i pozwalającym nakarmić konie, Padre Esperante przechadzał się na uboczu. Wszystkie jego myśli obracały się dookoła tych dwóch nazwisk, które wymienił mały Indianin.

— Sierżant Martial — powtarzał — sierżant... tutaj w drodze do Santa Juana...

Następnie przeniósł się myślą na Jeana de Kermora... na to dziecko poszukujące swego ojca!... Kim był ten młody chłopiec?... Pułkownik nie miał syna! Nie! Gomo musiał się pomylić!... W każdym razie byli uwięzieni Francuzi, rodacy, których trzeba uwolnić z rąk Quivasów!

Ruszono w dalszą drogę i koło szóstej oddział znalazł się na prawym brzegu Orinoko. Tu wylewają się pierwsze wody z *sierra* Parima, poprzez wąwóz, na dnie którego odważny odkrywca zatknął flagę Francji, 18 grudnia 1886 roku. Miejsce wydawało się zupełnie bezludne. Nie docierały tu w sezonie suchym ani pirogi, ani nawet curiare. Dwie *falcas* naszych podróżników zatrzymały się o pięćdziesiąt kilometrów w dół rzeki. Te pięćdziesiąt kilometrów, gdyby Guaharibusów ożywił ten sam zapał co ich przywódcę, mogłoby być pokonane przez noc. Oddział mógłby dotrzeć do obozowiska pod Pic Maunoir o wschodzie słońca. By nie zgubić drogi, wystarczyło trzymać się prawego brzegu rzeki. Wyschnięte dopływy nie stanowiły żadnych przeszkód.

Orinoko, u swych źródeł bardzo ściśnięte wysokimi brzegami zbudowanymi ze skał i gliny, miało tu zaledwie kilka metrów szerokości. W tej pierwszej części swego biegu, w okresie dużych opadów, piroga musiałaby pokonać wiele *raudals*, a podróż trwałaby bardzo długo.

Gdy koło ósmej zaczęła zapadać noc, Guaharibusi przekroczyli bród Crespo, tak oznaczony na mapie podróżnika francuskiego na cześć prezydenta republiki wenezuelskiej. Korzystając z blasku księżyca, oddział mógł przebyć długi etap.

O świcie, około piątej rano, Padre Esperante dotarł do zakola rzeki, o dwanaście kilometrów od ujścia *rio* Torrida. W ciągu trzech godzin będzie można nawiązać kontakt z kapitanem Parchalem i marynarzami pozostałymi na straży dwóch *falcas*.

Nie planowano nawet najkrótszego odpoczynku. Może Quivasi po splądrowaniu łodzi zagłębili się w sawannę? Kto wie, czy Alfaniz nie chce powrócić na tereny na zachód od Wenezueli, zabierając więźniów ze sobą?

Maszerowano przez godzinę i Padre Esperante niewątpliwie nie zrobiłby przerwy przed osiągnięciem ujścia *rio* Torrida, gdyby nie zdarzył się, około godziny szóstej rano, pewien incydent. Gomo wyprzedzał oddział o jakieś pięćdziesiąt kroków. Tropił ślady przemarszu Quivasów, nagle zatrzymał się, pochylił nad ziemią i krzyknął. W tym miejscu, pod drzewem, leżał jakiś człowiek, nieruchomy, jakby pogrążony we śnie lub martwy. Padre Esperante galopem dotarł do Gomo.

— To on... on! — krzyczał chłopiec.

— On? — powtórzył Padre Esperante. Zeskoczył na ziemię, zbliżył się do leżącego.

— Sierżant... sierżant Martial! — zawołał.

Stary żołnierz leżał cały we krwi, z piersią przedziurawioną kulą, chyba martwy...

— Martial... Martial! — powtarzał Padre Esperante, a oczy jego wypełniły się łzami.

Podniósł nieszczęsnego, zbliżył swą głowę do ciała, szukał śladu oddechu na jego wargach...
Potem usłyszano, jak powtarza słowa:

— On żyje... on żyje!

Rzeczywiście, sierżant oddychał. Jego ramiona uniosły się i zaraz opadły bez sił. Potem otworzył na sekundę oczy i spojrzał na misjonarza...

— To pan, pułkowniku!... Tam... Alfaniz! Wyrzekłszy te słowa, przerywane konwulsyjnymi drgawkami, stracił przytomność.

Padre Esperante podniósł się, wzburzony, targany sprzecznymi myślami. Sierżant Martial tutaj... ten chłopiec, który mu towarzyszył w poszukiwaniu ojca... i którego riie ma z nim... obaj w tych odległych regionach Wenezueli... któż wyjaśni mu więc tyle niewytłumaczalnych spraw, jeśli ten nieszczęśnik umrze bez słowa? Nie!... on nie może umrzeć! Uratuje go jeszcze raz... tak, jak kiedyś na polu walki... Wydrze go śmierci! Na jego rozkaz zbliżył się jeden z wozów i położono tam sierżanta Martiala na posłaniu z traw. Żołnierz nie otworzył ani oczu, ani ust. Ale ze zbielejących warg wydostawał się słabiutki oddech.

Wznowiono marsz. Padre Esperante trzymał się wozu, na którym spoczywał jego stary towarzysz wypraw wojennych. Jego sierżant, opuszczony przed czternastu laty w Bretanii, którą pułkownik de Kermor porzucił bez nadziei powrotu! ... A on go odnalazł tutaj... w tym zagubionym zakątku... z kulą w piersi... pewnie pochodzącą z ręki tego nędznika Alfaniza... — A więc — myślał — Gomo się nie pomylił, gdy mówił o sierżancie Martialu! Lecz co mówił oprócz tego?... To dziecko, syn szukający ojca... syn... syn? I zwracając się do małego Indianina, który szedł obok:

— Mówiłeś, że ten żołnierz nie był sam? Był z nim młody chłopiec...

— Tak... mój przyjaciel Jean.

— I obaj udawali się do misji?...

— Tak... w poszukiwaniu pułkownika de Kermora.

— I ten chłopiec jest synem pułkownika?

— Tak... jego synem.

Wobec tak stanowczych odpowiedzi Padre Esperante poczuł, że serce bije mu tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Jednakże nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Może tajemnica wyjaśni się przed końcem dzisiejszego dnia? Najważniejszym celem jest obecnie zaatakować Quivasów. Z kilku słów, które udało się wypowiedzieć sierżantowi Martialowi, wynikało, że jest tam Alfaniz. Trzeba odbić więźniów. Guaharibusi puścili się biegiem, wozy zostały z tyłu, z wystarczającą

eskortą.

Tuż przed ósmą Padre Esperante zatrzymał oddział. Dotarli właśnie do rozległej polany za zakolem rzeki.

Naprzeciwno, na drugim brzegu, wznosił się Pic Maunoir. Wzdłuż prawego brzegu nie było żywego ducha. Na Orinoko żadnych łodzi. Ale za zakolem, na lewym brzegu *rio* Torrida, unosił się dym, pionowo, gdyż nie było wiatru. W odległości stu pięćdziesięciu metrów musiał więc znajdować się obóz. Mógł to być jedynie obóz Quivasów, ale co do tego należało się upewnić.

Kilku Guaharibusów przeczołgało się przez zarośla na zwiad. Był to rzeczywiście obóz bandy Alfaniza. Oddział Padre Esperante zebrał się na skraju polany. Dotarły wozy, a ten, który wioził sierżanta Martiala, pozostał w środku.

Stwierdziwszy, że stan rannego nie pogorszył się, pułkownik de Kermor wydał rozkazy, aby otoczyć Alfaniza i jego kompanów. Skierował jeźdźców skośnie przez polanę tak, aby odciąć drogę odwrotu Quivasom i zniszczyć ich do ostatniego. Kilka chwil później rozległy się straszne okrzyki, mieszające się ze strzałami broni palnej.

Guaharibusi dopadli Alfaniza, zanim ten mógł zorganizować obronę. Obie strony walczących liczebnie były w równowadze, ale Guaharibusi byli lepiej uzbrojeni i mieli lepszego dowódcę. Broń bandy Hiszpana pochodziła z kradzieży na łodziach — było to kilka rewolwerów pozostawionych przez Jacquesa Hellocha i oczywiście ta zabrana więźniom. Walka nie mogła więc trwać długo i nie trwała. Po słabym oporze większość Quivasów wzięła nogi za pas. Jedni rzucili się do lasu, drudzy uciekali przez prawie wyschniętą rzekę, by dostać się na przeciwległy brzeg, większość została śmiertelnie raniona. W tym samym czasie Jacques Helloch, Germain Paterne, Valdez, Parchal, marynarze *falcas* rzucili się na tych Quivasów, którzy ich strzegli. Gomo był pierwszym, który pobiegł do nich, krzycząc:

— Santa Juana... Santa Juana!

Wkrótce cała akcja skoncentrowała się pośrodku polany. Tu Alfaniz, zbiegowie z Cayenne i kilku Quivasów broniło się strzelając z rewolwerów. W wyniku tego wielu Guaharibusów zostało rannych, na szczęście niezbyt groźnie. Padre Esperante uwijał się pośrodku grupy otaczającej Hiszpana. Dziwna nie do pokonania siła pociągała Jeanne de Kermor ku misjonarzowi. Chciała doń dotrzeć, lecz Jacques Helloch powstrzymywał ją. Alfaniz, opuszczony przez Quivasów, których słyszano jedynie oddalające się krzyki, stawiał jeszcze opór; dwóch jego towarzyszy z galer zostało zabitych obok niego.

Padre Esperante znalazł się naprzeciw Hiszpana i jednym gestem powstrzymał Guaharibusów, którzy go już otoczyli. Alfaniz cofał się do brzegu *rio*, dzierżąc rewolwer naładowany kilkoma nabojami. Zapadła cisza, wśród której rozległ się donośny głos Padre Esperante:

— Alfaniz... to ja! — zawołał.

— Misjonarz z Santa Juana! — odkrzyknął Hiszpan i — mierząc z rewolweru — miał zamiar

strzelić do niego, gdy Jacques Helloch podbił mu rękę. Kula poszła w niebo.

— Tak, Alfaniz... Padre Esperante z Misji Santa Juana, a także pułkownik de Kermor!

Alfaniz, widząc o kilka kroków Jeana, wycelował do niego, lecz zanim doń wystrzelił, rozległ się inny strzał i nędznik upadł, trafiony przez Padre Esperante.

W tym momencie wóz, wiozący sierżanta Martiala, dotarł na pole walki, a Jeanne rzuciła się w ramiona pułkownika de Kermora. Nazywała go swoim ojcem... Tenże powtarzał tylko:

— Ja nie miałem syna...

Sierżant Martial uniósł się nieco i wyciągając rękę ku Jeanne, powiedział:

— Tak... panie pułkowniku... ale miał pan córkę... i oto ona!

XIII

Dwa miesiące w misji

Od zniknięcia pułkownika de Kermora upłynęło czternaście lat. I historia tych czternastu lat będzie tu opowiedziana w kilku zdaniach.

Był rok 1872, gdy pułkownik dowiedział się, że „Norton” zatonął, a jego żona i dziecko zginęły w morskiej topieli. Okoliczności, w jakich wydarzyła się katastrofa, nie pozwalały mieć nadziei, że te dwie najdroższe istoty, żona i mała córka Jeanne, mogły się uratować. Swej córki nawet nie widział. Jeszcze przez rok pułkownik de Kermor dowodził pułkiem. Potem, po złożeniu dymisji, żadne więzy nie łączyły go z tym światem. Postanowił resztę swego życia poświęcić temu tak szlachetnemu dziełu, jakim są misje zagraniczne. Miał zawsze w sobie duszę żołnierza i duszę apostoła. Był całkowicie zdecydowany poświęcić się nawracaniu, czyli — inaczej mówiąc — cywilizowaniu dzikich plemion.

Pułkownik de Kermor, nie powiadamiając o swych zamiarach nikogo, nawet sierżanta Mar—tiala, opuścił w tajemnicy Francję w 1875 roku i udał się do Wenezueli, gdzie tyle plemion indiańskich żyło w upadku fizycznym i moralnym. Po skończeniu studiów teologicznych w tym kraju otrzymał święcenia kapłańskie i wstąpił do Towarzystwa Misji Zagranicznych, przybierając imię Padre Esperante. Zapewniło mu to incognito w jego nowym wcieleniu. Dymisja z wojska nastąpiła w 1873 roku, a wyświęcenie na kapłana w 1878 roku, gdy miał czterdzieści dziewięć lat.

To właśnie w Caracas Padre Esperante postanowił udać się na niebezpieczne tereny południowej Wenezueli, gdzie misjonarze docierali rzadko. Liczne tubylcze ludy nie zetknęły się nigdy z religią chrześcijańską. Dotrzeć do nich aż po granice imperium Brazylii — takie było zadanie, do którego misjonarz francuski czuł się powołany. Na początku 1879 roku wyruszył tam, gdzie nikt nie wiedział nic o jego poprzednim życiu.

Po przepłynięciu środkowego biegu Orinoko Padre Esperante, który mówił po hiszpańsku, jak w swym ojczystym języku, dotarł do San Fernando, gdzie przebywał przez kilka miesięcy. To właśnie z tego miasteczka wysłał list do jednego ze swych przyjaciół, notariusza w Nantes. W liście tym, ostatnim podpisanym jego prawdziwym nazwiskiem, w którym przekazywał polecenie załatwienia jakiejś sprawy rodzinnej, prosił adresata o zachowanie tajemnicy. Należy tu przypomnieć, że ten list, znaleziony w papierach notariusza, został doręczony sierżantowi Martialowi dopiero w 1891 roku, gdy Jeanne de Kermor już od sześciu lat przebywała we Francji.

W San Fernando, dzięki osobistemu majątkowi, Padre Esperante mógł zaopatrzyć się w materiały niezbędne do założenia siedziby powyżej źródeł rzeki. W miasteczku tym przyłączył się do niego brat Angelos, znający zwyczaje indiańskie.

Brat Angelos zwrócił uwagę Padre Esperante na Guaharibusów, których najwięcej tułało się wzdłuż brzegów górnego Orinoko i w okolicach *sierra* Parima. Głosić ewangelię wśród tych Indian

znaczyło czynić akt miłosierdzia, gdyż byli oni najbardziej godni pożałowania. Guaharibusi mieli, o czym wiadomo, reputację rabusiów, morderców, a nawet ludożerców, co było już przesadą. Nie powstrzymało to człowieka tak zdecydowanego jak eks—pułkownik de Kermor. Postanowił więc stworzyć ośrodek misyjny na północ od Roraimy, grupując dookoła siebie krajowców z okolicy.

Padre Esperante i brat Angelos opuścili San Fernando na dwóch pirogach, obficie zaopatrzonych w niezbędne na początek zamierzenia przedmioty. Reszta miała być dosłana w miarę potrzeb małej kolonii. *Falcas* płynęły w górę rzeki, zatrzymywały się w ważniejszych osadach i przybrzeżnych rancho i dotarły do *rio* Torrida, na terytorium Guaharibusów.

Po wielu bezowocnych usiłowaniach, po wielu rozczarowaniach, Indianie zostali przyciągnięci obietnicami Padre Esperante, jego dobrocią, jego odwagą. Na mapie pojawiła się wioska, której misjonarz nadał imię Santa Juana, to imię, które nosiła jego córeczka...

Upłynęło czternaście lat. Misja się rozwijała, wiadomo w jakich warunkach. Wydawało się więc, że Padre Esperante zapomniał już o swej tragedii z przeszłości, gdy zdarzyło się to, o czym mówi ta historia.

Po słowach sierżanta Martiala pułkownik wziął w ramiona Jeanne i był to jakby chrzest we łzach, które spływały na twarz jego dziecka. W kilku słowach dziewczyna opowiedziała mu swoje życie: o tym jak uratowała się na pokładzie „Vigo”, o swym dzieciństwie w rodzinie Eredia w Hawanie, o powrocie do Francji, o latach spędzonych w domu w Chantenay, o podjętym postanowieniu, gdy wraz z sierżantem Martialem dowiedzieli się o liście wysłanym z San Fernando, o wyjeździe do Wenezueli pod imieniem i w przebraniu Jeana, o podróży po Orinoko, o ataku galernika Alfaniza i Quivasów i w końcu o tym cudownym uwolnieniu.

Oboje skierowali się teraz do wozu, na którym spoczywał stary wiarus. Sierżant Martial czuł się jak wskrzeszony. Cały promieniał... i płakał na przemian... i mógł jedynie wymówić słowa:

— Panie pułkowniku... panie pułkowniku! Teraz ja mogę już umrzeć...

— Zabraniam ci tego, mój stary towarzyszu! Zaopiekujemy się tobą... wyleczymy cię...

— Jeśli mnie wyleczycie, to oczywiście nie umrę!

— Ale teraz potrzebujesz spokoju...

— Mam już go, panie pułkowniku!... Proszę... oto sen, który mnie ogarnia... i tym razem jest to dobry sen.

— Śpij, mój stary przyjacielu, śpij! Wrócimy do Santa Juana. Droga nie powinna cię zmęczyć, za kilka dni będziesz na nogach.

Pułkownik de Kermor pochylił się nad posłaniem, ucałował sierżanta Martiala, a jego „stary przyjaciel” usnął cały uśmiechnięty.

— Ojczy! — zawołała Jeanne — musimy go uratować.

— Tak... moja najdroższa Jeanne... z boską pomocą!

Wraz z Germainem Paterne zbadali ranę sierżanta Martiala i nabrali przekonania, że nie musi mieć śmiertelnych następstw. Wiedzano, że niedoszłym zabójcą sierżanta był Alfaniz, który strzelił do starego żołnierza, gdy ten, w akcie rozpaczki, rzucił się na niego. Padre Esperante zarządził:

— Dzisiaj moi dzielni Indianie muszą odpocząć, a także wasi współtowarzysze, monsieur Helloch. Jutro rano wyruszymy do misji, a najkrótszą drogą poprowadzi nas Gomo.

— Temu dzielnemu chłopcu zawdzięczamy nasze ocalenie — zauważyła Jeanne.

— Wiem o tym — odparł Padre Esperante. I wezwał małego Indianina:

— Chodź, Gomo, chodź tutaj! Ucałuję cię za wszystkich, których uratowałeś!

Po wyzwoleniu się z objęć Padre Esperante Gomo rzucił się w ramiona Jeanne, którą nadal, będąc tak wzruszony, nazywał: mój przyjaciel Jean!

Dziewczyna nadal nosiła męskie ubranie. Pułkownik zastanawiał się, czy jej współtowarzysze wiedzieli, że za „monsieur Jean” kryje się panna Jeanne de Kermor.

Po uściśnięciu rąk Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne, Parchala i Valdeza, dwóch uczciwych i solidnych szyprów, których poświęcenie w czasie długiej i uciążliwej żeglugi nigdy nie osłabło, Jeanne zabrała głos:

— Mój ojciec, muszę ci powiedzieć o mych dwóch rodakach, którym nigdy nie będę w stanie się odwdzięczyć.

— Mademoiselle... — wtrącił się Jacques Helloch drżącym głosem — bardzo panią proszę... ja nic nie zrobiłem...

— Proszę pozwolić mi powiedzieć, monsieur Helloch.

— A więc proszę mówić o Jacquesie, a nie o mnie, mademoiselle de Kermor — zawołał Germain Paterne śmiejąc się — gdyż ja w żadnym wypadku nie zasługuję...

— Jestem dłużniczką was obu, moi drodzy towarzysze — podjęła Jeanne — tak, obu, mój ojciec! Gdy monsieur Helloch uratował mi życie...

— Pan uratował życie mej córki? — zawołał pułkownik de Kermor.

I Jacques Helloch musiał wysłuchać opowiadania Jeanne o wypadku pod San Fernando i w jaki sposób, dzięki jego poświęceniu, została wyrwana śmierci. Dziewczyna dodała:

— Powiedziałam, mój ojciec, że monsieur Helloch uratował mi życie, ale uczynił jeszcze coś więcej — towarzyszył mi i Martialowi w naszych poszukiwaniach... z panem Germainem Paterne.

— Na przykład! — zareplikował ten ostatni protestując. — Proszę mi wierzyć... mademoiselle... my też mieliśmy zamiar dotrzeć do źródeł Orinoko... Takie było nasze zadanie... powierzone nam przez ministra Edukacji Publicznej.

— Nie, monsieur Germain, nie — odparła śmiejąc się Jeanne. — Mielicie zatrzymać się w San Fernando, a jeśli dotarliście do Santa Juana...

— To był nasz obowiązek! — stwierdził po prostu Jacques Helloch.

Rozumie się samo przez się, że szczegółów pułkownik de Kermor dowie się później. Później również, w spokojniejszej atmosferze pozna różne przypadki tej ryzykownej wyprawy. Oczekując na to, biorąc pod uwagę również rozmyślną rezerwę Jacquesa Hellocha, ojciec nie dostrzegł jeszcze, jakie uczucia przepełniają serce jego córki.

Podczas gdy Jeanne de Kermor, Jacques Helloch, Germain Paterne i misjonarz rozprawiali żywo o niedawnych zdarzeniach, Parchal i Valdez przygotowywali obozowisko, gdzie wszyscy mieli spędzić resztę dnia i następną noc. Ich ludzie odciągnęli do lasu ciała pokonanych wrogów. Opatrywaniem ran Guaharibusów zajął się Germain Paterne.

Następnie rozdzielono pożywienie przywiezione na wozach, w kilku miejscach zapłonęły ogniska. Jacques Helloch i Germain Paterne, w towarzystwie pułkownika de Kermora i jego córki, udali się do pirog. Na szczęście pirogi nie zostały uszkodzone, gdyż Alfaniz chciał je wykorzystać do podróży na tereny zachodnie, płynąc w górę Ventuario. Gdy poziom rzeki się podniesie, obie *falcas* będą mogły popłynąć z powrotem w dół rzeki.

— Dzięki tym łotrom — zawołał Germain Paterne — że zechcieli uszanować moje zbiory! Czy wyobrażacie sobie, że mógłbym wrócić bez nich do Europy?! Po zrobieniu tylu fotografii nie przywieźć ani jednej kliszy! Nigdy nie ośmieliłbym się stanąć przed ministrem Edukacji Publicznej!

Można sobie wyobrazić radość przyrodnika, a także zadowolenie pozostałych pasażerów „Gallinety” i „Morique”, gdy odnaleźli na łodziach swe bagaże, nie mówiąc już o broni zebranej na polanie.

Teraz już pirogi mogą pozostać bez obaw u ujścia *rio* Torrida, pod strażą załóg. Gdy nadejdzie pora odpłynięcia — przynajmniej „Morique” — Jacques Helloch i Germain Paterne wejdą tylko na pokład. Ale nie pora mówić jeszcze o odjeździe. Padre Esperante zabierze do Santa Juana swą córkę Jeanne, sierżanta Martiala i większość Indian. A jak mogliby nie przyjąć dwaj Francuzi zaproszenia do spędzenia kilku dni lub kilku tygodni w misji, w domu rodaka? Oczywiście przyjęli to zaproszenie.

— Tak trzeba — zauważył Germain Paterne zwracając się do Jacquesa Hellocha. — Czy możesz wyobrazić sobie nas wracających do Europy, gdybyśmy nie odwiedzili Santa Juana! Nigdy nie ośmieliłbym się pokazać ministrowi Edukacji Publicznej — ani ty, Jacques.

— Ani ja, Germain.

Posiłki spożywano wspólnie z zapasów odnalezionych w pirogach i przywiezionych z osady. Brakowało jedynie sierżanta Martiala. Ale był on tak szczęśliwy, tak szczęśliwy odnalazwszy swego pułkownika, choć w sukni Padre Esperante! Dobre powietrze Santa Juana uzdrowi go w ciągu kilku dni! Był tego pewien.

Jacques Helloch i Jeanne musieli opowiedzieć szczegółowo pułkownikowi de Kermorowi o podróży. Słuchał ich, obserwował, na próżno próbował odgadnąć uczucia, które wypełniały serce Jacquesa Hellocha. Pozostawał zamyślony... Oczywiście, że dziewczyna założyła od tego dnia odzienie należne jej płci — suknie troskliwie zapakowane w walizie, umieszczonej w kabynie „Gallinety”.

— Uroczą jako chłopiec... uroczą jako dziewczyna! prawda... ja nic nie widziałem! — Germain Paterne drażnił swego przyjaciela.

Nazajutrz, oprócz Parchala i Valdeza, którzy woleli pozostać na straży pirog, Padre Esperante, jego goście i Guaharibusi opuścili obozowisko pod Pic Maunoir. Z pomocą koni i wozów podróż przez lasy i sawannę nie była zbyt męcząca. Posuwali się najkrótszą drogą prowadzeni przez małego Indianina. Marsz był tak szybki, że około południa osiągnięto bród Frascaés. Nie napotkano żadnych śladów Quivasów, obecnie rozproszonych. Nie było się już czego obawiać.

Tu postanowiono zrobić krótki odpoczynek. Ponieważ jazda wozem nie zmęczyła sierżanta Martiala, ruszono wkrótce ku Santa Juana. Odległość między brodem a miasteczkiem pokonali w kilka godzin i po południu dotarli do misji. Z powitania, jakiego doznał Padre Esperante, Jacques Helloch i jego współtowarzysze zrozumieli, jak był kochany przez swych wiernych Indian.

Dwa pokoje na plebanii przeznaczono dla Jeanne de Kermor i sierżanta Martiala, dwa inne dla Jacquesa Hellocha i Germaina Paterne w sąsiedniej chacie, gdzie honory domu czynił brat Angelos.

Nazajutrz kościelny dzwon wezwał całe miasteczko na dziękczynną mszę. Jakich uczuć doznawała dziewczyna podczas mszy odprawianej przez Padre Esperante, widząc po raz pierwszy swego ojca przed ołtarzem. A co czułby sierżant Martial, gdyby mógł być obecny na tym nabożeństwie celebrowanym przez swego pułkownika!

Nie ma potrzeby opisywać szczegółowo dni, które upłynęły w Misji Santa Juana. Przed wszystkim zdrowie rannego poprawiało się z dnia na dzień. Pod koniec tygodnia mógł siedzieć w wygodnym fotelu z jeleniej skóry, w cieniu palm.

Pułkownik de Kermor i jego córka prowadzili długie rozmowy o przeszłości. Jeanne dowiedziała się więc, dlaczego mąż osierocony przez żonę, ojciec osierocony przez dziecko, chciał poświęcić całe swe życie dziełu apostołskiemu. Czy mógłby je teraz opuścić, zostawiając nie dokończone? Nie, oczywiście... Jeanne pozostanie z nim... poświęci jej całe swoje życie... Potem Padre Esperante rozmawiał z sierżantem Martialem. Misjonarz dziękował gorąco staremu wojakowi za to, co uczynił dla jego córki. Za to, że zgodził się na tę podróż. Potem wypytywał o Jacquesa Hellocha. Pytał go, czy przyglądał się im obojgu... Jeanne i jemu...

— Cóż pan chce, panie pułkowniku — odparł sierżant Martial — przedsięwzięciem wszelkie

środki ostrożności. To był przecież Jean... młody chłopiec z Bretanii... siostrzeniec, którego wuj zabrał w podróż do tego kraju dzikusów. Przeznaczenie, że Jacques Helloch i nasza droga córeczka spotkali się po drodze... Robiłem wszystko, żeby przeszkodzić... ale nie udało się! Diabeł musiał się wmieszać.

— Nie... to Bóg, mój dzielny towarzysz! — odparł Padre Esperante.

Jednakże czas upływał, a sprawy nie posuwały się. Rzeczywiście, dlaczego Jacques Helloch wahał się? Czyżby się pomylił? Nie... ani co do swych własnych uczuć, ani co do uczuć, jakie wzbudził u Jeanne de Kermor. To z powodu powściągliwości, która przynosiła mu zaszczyt. Wydawało mu się, że byłoby to oczekiwanie nagrody za oddane przysługi. W samą porę Germain Paterne przeciął sprawy i pewnego dnia tak zagadnął przyjaciela:

— Kiedy wyruszamy?...

— Kiedy zechcesz, Germain.

— Poczekaj! Tylko, że kiedy ja zechcę, ty pewnie nie będziesz chciał...

— A to dlaczego?

— Ponieważ mademoiselle de Kermor wyjdzie za męża.

— Za męża?

— Tak, gdyż chcę ją prosić o rękę.

— Ty chcesz! — wykrzyknął Jacques.

— Nie dla mnie... oczywiście... lecz dla ciebie!

I zrobił, jak powiedział — bez oglądania się na zastrzeżenia, które uznał za nie do przyjęcia.

Jacques Helloch i Jeanne de Kermor stawili się więc przed misjonarzem — w obecności Germaina Paterne i sierżanta Martiala. Następnie na pytanie swego ojca, dziewczyna oświadczyła do głębi wzruszonym głosem:

— Jacques, jestem gotowa zostać twoją żoną i nie starczy mi życia, by dowieść ci mej wdzięczności.

— Jeanne... moja droga Jeanne... — odrzekł Jacques — kocham cię... tak!... kocham cię!

— Nie mów więcej, drogi przyjacielu — zawołał Germain Paterne. — Nie trafiłbyś lepiej!

I pułkownik de Kermor uściskał dwoje swych dzieci, które połączyły się na jego sercu.

Uzgodniono, że ślub będzie celebrowany za dwa tygodnie w Santa Juana. Padre Esperante połączy

ich najpierw jako naczelnik cywilny misji, a potem udzieli nowożeńcom błogosławieństwa religijnego, które będzie również błogosławieństwem ojcowskim. Jacques Helloch, którego rodzinę pułkownik de Kermor znał dawniej, będąc stanu wolnego, nie potrzebował żadnych zezwoleń. Majątek jego i Jeanne, powierzony sierżantowi Martialowi, wystarczy na wygodne życie. Kilka tygodni po ślubie wyjadą, wstąpią do Hawany, by odwiedzić rodzinę Eredia. Potem popłyną do Europy, do Francji, do Bretanii w celu uregulowania swych interesów. Wreszcie wrócą do Santa Juana, by połączyć się z pułkownikiem de Kermorem i jego starym żołnierzem.

Tak się miały rzeczy. 25 listopada, przed uradowaną ludnością, w obecności Germaina Paterne i sierżanta Martiala jako świadków młodej pary, ojciec udzielił ślubu cywilnego i religijnego swej córce Jeanne de Kermor z Jacquesem Hellochem. Przejmująca uroczystość; nie należy się dziwić głębokiemu wzruszeniu i radości, jaką okazywali dzielni Guaharibusi.

Po upływie miesiąca Germain Paterne uświadomił sobie, że czas już zdać sprawę z naukowej misji, którą jemu i jego towarzyszowi powierzył minister Edukacji Publicznej. Jak widać, to nie on, lecz jego minister ciągle przypominał o obowiązkach ...

— Już? — zdziwił się Jacques Helloch. To dlatego, że nie liczył wcale upływającego czasu. Był zbyt szczęśliwy, by zajmować się takimi rachunkami!

— Już! — stwierdził Germain Paterne. — Jego Ekscelencja pewnie sądzi, że pożarły nas wenezuelskie jaguary lub co najmniej, że znajdujemy się w żołądkach Karaibów, gdzie skończyła się nasza kariera naukowa!

Za zgodą Padre Esperante rozstanie z misją zostało ustalone na 22 grudnia. Ból serca pułkownika de Kermora rósł wraz ze zbliżającym się terminem rozstania z córką, mimo że miała wrócić za kilka miesięcy. Obecnie podróż odbędzie się w warunkach o wiele dogodniejszych i madame Jeanne Helloch nie będzie narażona na takie niebezpieczeństwa, jak Jeanne de Kermor. Spływ rzeką do Ciudad Bolivar odbędzie się szybko. Za pięć tygodni pirogi dotrą do Caicary, gdzie młoda para przesiądzie się na statek pływający po dolnym Orinoko. Jeśli chodzi o powrót do Santa Juana, to można się zdać na Jacquesa Hellocha, który zapewni niewątpliwie największą szybkość i bezpieczeństwo.

— A poza tym, panie pułkowniku — zauważył filozoficznie sierżant Martial — nasza córka ma tak dobrego męża, który ją obroni we wszelkich okolicznościach. To nie to, co stary poczciwy żołnierz... stary głupiec... który nie był w stanie ustrzec jej ani przed falami Orinoko, ani przed miłością tego dzielnego Jacquesa Hellocha!

XIV

Pożegnanie

Rankiem 25 grudnia pirogi były gotowe do drogi. W tej porze roku opady nie podniosły jeszcze poziomu Orinoko. Trzeba było więc przeciągnąć „Gallinette” i „Moriche” pięć kilometrów w dół, do ujścia małego *rio* na prawym brzegu, gdzie głębokość wody była wystarczająca. Od tego miejsca ryzyko osadzenia na mieliźnie było znacznie mniejsze i nie trzeba było czekać na piasku aż do sezonu deszczowego.

Padre Esperante odprowadził swe dzieci do następnego obozowiska, z eskortą pięćdziesięciu Guaharibusów. Sierżant Martial, w pełnej formie, towarzyszył mu z małym Indianinem, który został adoptowany przez Misję Santa Juana. Wszyscy szczęśliwie dotarli do ujścia *rio*.

Nadeszła godzina rozstania. Valdez zajął swe miejsce na „Gallinette”, którą płynęli Jacques Helloch i jego żona. Parchal znalazł się na „Moriche”.

Ponieważ obie *falcas* miały płynąć razem, najczęściej burta w burte, Germain Paterne nie będzie samotny. Jeśli tylko będzie chciał, może dotrzymywać towarzystwa młodej parze. Poza tym, co jest oczywiste, posiłki będą spożywać razem na pokładzie „Gallinette”, oprócz przypadków, gdy Jacques i Jeanne Helloch przyjmą zaproszenie Germaina Paterne na pokład „Moriche”.

Pogoda była sprzyjająca, to znaczy wiatr dmuchał dość silnie ze wschodu. Promienie słoneczne, przesiane przez lekki woal chmur, dawały zupełnie znośną temperaturę.

Pułkownik de Kermor i sierżant Martial zeszli na sam brzeg, by ucałować przed rozstaniem swe kochane dzieci. Ani jedni, ani drudzy nie próbowali ukryć wzruszenia, w tej sytuacji zupełnie naturalnego. Jeanne, tak dzielna w innych okolicznościach, płakała cicho w ramionach ojca.

— Przywiozę cię do niego, moja droga Jeanne! — powiedział Jacques Helloch. — Za kilka miesięcy wrócimy oboje do Santa Juana.

— Wszyscy troje — dodał Germain Paterne — gdyż pewnie zapomniałem zebrać wiele z tych rzadkich roślin, które rosną jedynie na terenie misji i przekonam ministra Edukacji Publicznej...

— Żegnaj... kochany Martialu... żegnaj — powiedziała młoda pani, całując starego żołnierza.

— Jeanne, myśl o swym pocziwym wuju, który nigdy o tobie nie zapomni!

Potem przyszła kolej na Gomo, który otrzymał swoją część uścisków i pocałunków.

— Żegnaj... mój ojciec — rzekł Jacques Helloch, ściskając rękę misjonarza — i do widzenia... do zobaczenia!

Jacques Helloch, jego żona i Germain Paterne wsiedli do „Gallinety”. Podniesiono żagle, odwiązano cumy i pirogi popłynęły nurtem rzeki. Padre Esperante wyciągniętymi rękoma udzielał ostatniego błogosławieństwa. Następnie wraz z sierżantem Martialem, małym Indianinem, w eskorcie Guaharibusów, udali się w drogę do misji.

Podróż powrotna, dzięki prądowi, wymagała trzy do czterech razy mniej czasu i dziesięć razy mniej wysiłku, a także była dziesięciokrotnie bezpieczniejsza.

I tak oto 4 stycznia „Gallinetta” i „Moriche” opuściły nurt Orinoko, wpływając na Atabapo i zacumowały przy nabrzeżu miasteczka. Upłynęły trzy miesiące, odkąd Jacques Helloch i jego współtowarzysze zostawili w San Fernando panów Miguela, Felipe i Varinasa. Czy trzej koledzy są tu jeszcze? Sądono, że to niemożliwe. Po dogłębnym zbadaniu kwestii Orinoko, Guaviare i Atabapo powinni udać się w drogę do Ciudad Bolivar. Germain Paterne był bardzo ciekawy, która z tych trzech rzek będzie go teraz niosła. Ponieważ *falcas* wymagały kilkudniowego postoju na uzupełnienie zapasów przed podróżą do Caicary, będzie czas, by zaspokoić ciekawość.

Jacques Helloch, jego żona i Germain Paterne opuścili łodzie i wynajęli pokoje w tej samej chacie, gdzie poprzednio mieszkał sierżant Martial. Tego samego dnia złożyli wizytę gubernatorowi, który wysłuchał z satysfakcją opowieści o wydarzeniach w Misji Santa Juana: z jednej strony, z powodu całkowitego rozbicia bandy Alfaniza, z drugiej z powodu szczęśliwego wyniku podróży.

Natomiast jeśli chodzi o panów Miguela, Felipe i Varinasa — pozostawali — co nie wywołało większego zdziwienia — nie mniej skłóceni w kwestii trzech rzek niż to było przy wyjeździe z Ciudad Bolivar. Rzeczywiście, tego samego wieczoru pasażerowie „Gallinety” i „Moriche” mogli uścisnąć ręce trzech pasażerów „Maripare”. Powitanie byłych współtowarzyszy podróży było bardzo serdeczne. Można sobie wyobrazić zaskoczenie, gdy zobaczyli Jeana... ich drogiego Jeana... w ramionach Jacquesa Hellocha, w damskim odzieniu!

— Dlaczego on się tak przebrał? — zapytał *señor* Varinas.

— Ponieważ go poślubiłem — odparł Jacques Helloch.

— Pan poślubił Jeana de Kermora? — zawołał *señor* Felipe, którego oczy rozszerzyły się zdziwieniem.

— Nie... mademoiselle Jeanne de Kermor.

— Co?! — jeszcze bardziej zdziwił się *señor* Miguel — mademoiselle de Kermor?

— Siostrę Jeana — odparł śmiejąc się Germain Paterne. — A co, nieprawda, że są podobni!

Wszystko się wyjaśniło i nowożeńcom złożono najserdeczniejsze życzenia, a także gratulacje mada — me Jeanne Helloch z okazji odnalezienia ojca, pułkownika de Kermora, w misjonarzu z Santa Juana.

— A Orinoko? — zapytał Germain Paterne. — Jest ciągle na swoim miejscu?...

— Ciągłe — potwierdził *señor* Miguel.

— No więc... czy to jego wody niosły nasze pirogi aż do źródeł w *sierra* Parima?

Twarze panów Varinasa i Felipe zachmurzyły się. Ich oczy, ciskające błyskawice, zapowiadały burzę. *Señor* Miguel pokiwał głową. I znowu rozgorzała dyskusja — z siłą, której nie zmniejszył czas — między rzecznikiem Atabapo a zwolennikiem Guaviare. Nie!... Oni nie mogą się zgodzić, nie pogodzą się nigdy...

Przygotowania do dalszej drogi posuwały się. Pirogi sprawdzone, przygotowane, doprowadzone do stanu doskonałego, zaopatrzone. Będą gotowe na 9 stycznia. Jacques i Jeanne Helloch napisali więc list do ojca, w którym nie zapomniano ani o sierżancie Martialu, ani o małym Indianinie. List ten dotrze do Santa Juana za pośrednictwem kupców, którzy zwykle z początkiem sezonu deszczowego płyną w górę rzeki. Było w nim to, co mogły wyrazić dwa wdzięczne i szczęśliwe serca.

W przeddzień odjazdu pasażerowie zostali po raz ostatni zaproszeni do gubernatora San Fernando. Na czas tego przyjęcia nastąpiło zawieszenie broni i nie wznowiono dyskusji hydrograficznej. Nie dlatego, że została wyczerpana, lecz dlatego, że dyskutanci mieli miesiące i lata, by ją dalej prowadzić.

— A więc, *señor* Miguel — zapytała młoda dama — wasza „Maripare” nie będzie towarzyszyła „Gallinetcie” i „Moriche”?

— Wydaje się, że nie, madame — odparł *señor* Miguel, bardzo zresztą zrezygnowany perspektywą przedłużenia swego pobytu u dopływów Atabapo i Guaviare.

— Mamy jeszcze kilka ważnych punktów do ustalenia — stwierdził *señor* Varinas.

— I badań do przeprowadzenia... — dodał *señor* Felipe.

— A więc do zobaczenia, panowie — powiedział Jacques Helloch.

— Do zobaczenia? — zdziwił się *señor* Miguel.

— Tak — odparł Germain Paterne — w San Fernando... gdy wrócimy tu... za sześć miesięcy... Wszak jest mało prawdopodobne, że rozstrzygnie się problem Orinoko.

Nazajutrz, 9 stycznia, żegnani przez gubernatora, *señora* Miguela i jego kolegów, podróżnicy wsiedli do łodzi. Porwane prądem rzeki, która zwała się Orinoko, Atabapo lub Guaviare, dwie pirogi wkrótce zniknęły z oczu mieszkańców San Fernando. Po godzinie Jeanne dostrzegła miejsce, gdzie *falcas* zostały wyrzucone na brzeg, to samo miejsce, gdzie uratował ją, z narażeniem własnego życia, Jacques, w czasie straszliwych podmuchów *chubasco*.

— Tak... kochanie — potwierdził Jacques — to było tutaj.

— Tutaj również, mój kochany, postanowiłeś nie opuszczać swego drogiego Jeana... towarzyszyć mu pośród tylu niebezpieczeństw, aż do końca jego podróży...

— A kto jest z tego niezadowolony? — wtrącił się Germain Paterne. — Na pewno sierżant Martial! Och! Niezadowolony ze wszystkiego, wuj swego siostrzeńca!

Przez kolejne dni, korzystając ze sprzyjającej bryzy, pirogi płynęły bardzo szybko. Wkrótce dotarły do rancho *señora* Mirabala w Tigrze.

Obietnica musiała zostać dotrzymana. Pasażerowie *falcas* dwadzieścia cztery godziny spędzili w gościnie u tego wspaniałego człowieka. Jakaż była jego radość z pomyślnego zakończenia wyprawy.

25 stycznia *falcas* dotarły do Caicary. W tym właśnie miasteczku Jacques Helloch, Jeanne, Germain Paterne rozstali się z szyprami i ich załogami, dziękując z całego serca tym dzielnym ludziom, którzy oddali im tyle bezcennych usług.

Z Caicary statek płynący z Apure przewiózł podróżników w ciągu dwóch dni do Ciudad Bolivar, skąd pociągiem dotarli do Caracas. Dziesięć dni później byli w Hawanie u rodziny Eredia, a jeszcze dwadzieścia pięć dni później w Europie, we Francji, w Bretanii, w Saint Nazaire, w Nantes. Wtedy Germain Paterne mógł powiedzieć:

— Czy wiesz, że zrobiliśmy pięć tysięcy kilometrów po Orinoko! Czy nie wydaje ci się, że trwało to zbyt długo?

— Nie w drodze powrotnej! — odparł Jacques Helloch, spoglądając na szczęśliwą i uśmiechniętą Jeanne.

**señor* (hiszp.) — wym. senior, pan.

* Orinoko (*Rio Orinoco*) — rzeka w Wenezueli; główne dopływy: Guaviare, Meta, Apure (lewe), Caroni (prawy) (przypis red.).

* Orografia — pierwotnie dział geografii, zajmujący się rozmieszczeniem, opisem i klasyfikacją gór (przypis red.).

* Kordyliera Środkowa, Wschodnia, Zachodnia — części Andów; Kordyliera Wschodnia — obszar źródlowy rzek: Orinoko, Amazonki, Paragwaju, Parany oraz rzek Colorado, Negro (przypis red.).

* Simón Bolivar — bohater antyhiszpańskich walk o wyzwolenie Ameryki Płd. W latach 1816–1822 wyzwolił m.in. Wenezuelę i Kolumbie. Dążył do utworzenia federacji republik południowoamerykańskich (przypis red.)

* Ciudad Bolivar — miasto w Wenezueli, port nad Orinoko, stolica stanu Bolivar.

* Llanos [czyt. Ijanosy; od hiszp. liano — równina] — nizinne, porośnięte bujną trawą i

pojedynczymi drzewami (głównie palmami) sawanny dorzecza Orinoko, okresowo zalewane przez rzeki. Nazwą Llanos określa się też całą krainę geograficzną — Nizinę Orinoko (przypis red.).

* Caroni — rzeka we wschodniej Wenezueli, prawy dopływ Orinoko.

* Peon (hiszp.) — w Ameryce Łacińskiej: robotnik, zwłaszcza robotnik rolny, wyrobnik.

* Llanero (hiszp.) — wym. Ijanero, mieszkaniec równin; konny pastuch w llanosach (przypis red.).

* Saint-Nazaire — miasto we Francji u ujścia Loary do Oceanu Atlantyckiego (przypis red.).

* Caracas — stolica Wenezueli (przypis red.).

* Brest — miasto we Francji (przypis red.).

* Nantes — miasto we Francji, duży port morski nad Loarą (przypis red.).

* Chodzi o San Fernando nad Apure, którego nie należy mylić z San Fernando u ujścia Atabapo do Orinoko (aut.).

* Magdalena — największa rzeka w Kolumbii (1540 km), uchodzi do Morza Karaibskiego (przypis red.).

* Spardek (ang.) — na statkach starego typu górny lekki pokład, rozciągający się od stewy (belki dziobowej do rufowej; obecnie — pokład środkowej nadbudowy (przypis red.).

* *barranca* (hiszp.) — wąwóz (tłum.).

* Eksplorator (łac.) — badacz, poszukiwacz (przypis red.).

* Cayenne — Kajenna, stolica Gujany Francuskiej, nad Oceanem Atlantyckim (przypis red.).

* *rio* (hiszp.) — rzeka.

* *tafia* (hiszp.) — rodzaj rumu z trzciny cukrowej (przypis red.).

* *aguardiente* (hiszp.) — wódka (tłum.).

* *cerros* (hiszp.) — pagórki (tłum.).

* Arauca — rzeka w Kolumbii i Wenezueli, lewy dopływ Orinoko, długość ok. 920 km (przypis red.).

* Ocelot — amerykański drapieżnik z rodziny kotów, brunatnoszary w czarne plamy i pręgi (przypis red.)

* * *cobija* (hiszp.) — narzuta, pled (tłum.).

**hato* (hiszp.) — stado, trzoda (przypis red.).

* *Interior* (łac.) — dosłownie: znajdujący się bliżej środka; geogr. terytorium położone w głębi kraju, daleko od wybrzeża morskiego, od ośrodków przemysłowych (przypis red.).

**sierra* (hiszp.) — łańcuch gór (tłum.).

* Reclus Elisee (1830–1905) — geograf francuski, autor obszernej geografii regionalnej świata (przypis red.).

* Wyjce (*Alouatta*) — południowoamerykańskie małpy szerokonose, charakteryzujące się donośnym głosem (rezonatory — worki krtaniowe) (przypis red.)

* Gwajawa — drzewo z rodziny mirtowatych, uprawiane w Ameryce Środkowej dla smacznych owoców; kora i korzenie dostarczają garbników (przypis red.).

* Brest — miasto we Francji (Bretania) nad Oceanem Atlantyckim (przypis red.).

* Rennes — miasto w północno-zachodniej Francji (Bretania) (przypis red.).

* Pekari (*Tayasmidae*) — rodzina ssaków parzysto-kopytnych, pokrewna świniom; występuje w lasach północno-wschodniej części Ameryki Południowej i Ameryki Północnej (przypis red.).

* Meta — rzeka w Kolumbii (częściowo na granicy z Wenezuelą, lewy dopływ Orinoko, żeglowna w środkowym i dolnym biegu (przypis red.).

**angosturas* (hiszp.) — przesmyki (tłum.).

**raudal* (hiszp.) — wartki potok, bystrzyna (tłum.).

* Manaty — (brzegowce, lamantyny, *Trichechidae*) — rodzina ssaków morskich z rzędu syren, występują w strefie tropikalnej w ujściach rzek; dziś chronione (przypis red.).

* Białucha, *Delphinapterus leucas* — wal biały, wieloryb z rodziny narwali (przypis red.).

**mesa* (hiszp.) — płaskowyż (tłum.).

* estuarium — lejkowate ujście rzeczne (tłum.).

* Solferino — miasto w północnych Włoszech. W 1859 r. zwycięstwo wojsk francusko-sardyńskich pod dowództwem Napoleona III nad Austriakami (przypis red.).

**chorro* (hiszp.) — strumień, wytrysk (tłum.).

* Kadyks (*Cadiz*) — miasto w Hiszpanii nad Oceanem Atlantyckim (przypis red.).

**sitio* (hiszp.) — miejsce, oblężenie tu: koczowisko (przypis red.).

* Drętwa — żyworodna ryba, mająca między grzbietem i płetwami piersiowymi narządy elektryczne, które pełnią rolę obronną lub służą do rażenia zdobyczy (przypis red.).

**pava* (hiszp.) — indyczka (tłum.)

**estero* (hiszp.) — kałuża (tłum.).

Spis treści

[Część 1 3](#)

[I Señor Miguel i jego dwaj koledzy 4](#)

[Część 2 68](#)

[I Kilka słów o przeszłości 69](#)